Athenaeum

TOM I. – II

ATHENAEUM

PISMO POŚWIĘCONE

HISTORYI, LITERATURZE,
SZTUKOM, KRYTYCE
i t. d.

WYDAWCA

J. I. KRASZEWSKI.

Tom pierwszy.

WILNO.

W DRUKARNI TEOFILA GLÜCKSBERGA
KSIĘGARZA I TYPOGRAFA WILEŃSKIÉJ CESARSKIÉJ MED.
CHIR. AKAD. I SZKÓŁ BIAŁORUSKIEGO NAUKOWEGO WYDZIAŁU

1841.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno 1840 roku 25 Września.

Cenzor Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego
Jan Waszkiewicz.

I.

HIȘTORJA.

ELEKCYA MICHAŁA WIŚNIOWIECKIEGO.

Z pamiętników Kaspra Hrabiego Chavagnac a)

„W tym czasie właśnie umarła Marya Gonzaga królowa Polska, na której zgonie tak uczuł Król Kaźmierz, że przedsięwziął zrzec się Korony. Zaledwie o tém wieść doszła do Wiednia,

a) Cały tytuł rzadkiego dzieła, z którego następny wyjątek umieszczamy, jest taki:

Mémoires de Gaspard Comte de Chavagnac. Maréchal de camp dans les armées du Roy, Général de l'artillerie, Sergent de Bataille de celles de Sa Majesté Catholique et Lieutenant Général des Troupes de l'Empereur et son Ambassadeur en Pologne. A Amsterdam. Chez Jean Malherbe dans le Stilsteeg. 1700. 24 *pp*. 504. Wyjątek nasz zajmuje od str. 290 do 323.

wszyscy ministrowie, którzy mieli przyjaciół lub krewnych, mogących się dobijać o koronę polską, poczęli starać się wszelkiemi siłami, o pozyskanie protekcyi Cesarza. Ja, czule kochając xięcia Lotaryńskiego, doradziłem mu, aby i on o tém pomyślał. Znalazłem go tak niedecydowanym w téj mierze, iż pospieszyłem natychmiast do Cesarzowéj wdowy, która właśnie była u stołu, aby się z nią rozmówić.

Lecz usłyszałem ją, dającą rozkaz, aby nie wpuszczano Hrabiego Chavagnac, aż w czasie wetów; ciekawy byłem dowiedzieć się dla czego. Jedna z dam dworu powiedziała mi, że to był dzień urodzin Cesarzowéj, a zwyczaj był w Wiedniu tego dnia zastawiać przed Cesarzową tyle jaj, ile miała lat, co się jéj wcale nie podobało. Pozwoliłem sobie ze wszelkiém winném uszanowaniem pożartować trochę z tego; poczém prosiłem o posłuchanie w bardzo ważnéj sprawie. Przeszedłszy do gabinetu Cesarzowéj, przełożyłem jéj szczęśliwy skład okoliczności, w którym mogła być wielce użyteczną xięciu Lotaryńskiemu, mającemu obietnicę jéj protekcyi, i nieraz doznającemu dobrodziejstw Cesarza, za jéj wstawieniem się. Dodałem, aby ją więcéj zachęcić, że tym sposobem, mógłby się ożenić z Arcy-xiężniczką Eleonorą, jéj córką, ku któréj xiąże czuł wielką skłonność i z którą ożenił się później, po śmierci Michała króla polskie-

go, piérwszego jéj męża, Cesarzowa dziękowała mi za podany wniosek, i w téjże chwili poszła o tém mówić z Cesarzem, który, chociaż go natarczywie oblegali xiążęta Aversberg i Lobkowitz, dał jednak słowo, że jeśli za kim, to za xięciem Lotaryngii się ogłosi.

Po tych piérwszych próbach, xiąże całkowicie się zdecydował; ale dla doprowadzenia rzeczy do skutku, potrzeba było, pieniędzy gotowych najmniéj dwa kroć sto tysięcy talarów, których xiąże nie miał. Musieliśmy się poradzić ojca Richarda Jezuity, spowiednika xiążęcego, zazdrośnego o niego jak o Kochankę, jakim by sposobem ichdostać. Ten zaczął filozofować, ale rady nie dawał, porwałem pióro i obrachowałem pensye xięcia, pieniądze które ja i jego przyjaciele mogliśmy mu pożyczyć, wszystkiego nie było więcéj nad osiemdziesiąt tysięcy franków. Postanowiliśmy żeby xiąże odezwał się do starego xięcia, o pomoc, a przynajmniéj o klejnoty matki, jeśliby nic więcéj dać nie chciał; tym czasem zaś radziłem posłać kogo do Warszawy dla zjednania przyjaciół i tworzenia partyi. Tak uradziwszy, przedstawiliśmy projekta Cesarzowéj i dwom Ministrom Nostitz i Schvartzenbourg, którzy pochwaliwszy je, wyjednali u Cesarza, że się na nie zgodził.

Ułożywszy więc wszystko, wysłano do polski pewnego Irlandczyka, którego xięciu wyswa-

tał Hrabia Taff, Podpółkownik jego Regimentu; sam zaś xiąże wyjechał z moim synowcem de Lugarde, który był do mnie w odwiedziny przyjechał z mojemi dworzanami la Mothe i des-Roches. Dojechali pocztą do Strasburga, gdzie xiąże znalazł Kuryera od starego xięcia Lotaryngii; z oznajmieniem i radą, aby się wrócił do Wiednia, a nie jechał do Lotaryngii, (coby mogło Króla nie spokoić), z obietnicą przysłania wexlów na dwa kroć sto tysięcy talarów.

To przyrzeczenie zatrzymało xięcia w Strasburgu, zkąd napisał do ojca, prosząc aby go nie opuszczał w tém położeniu. Xiąże stary przysłał mu zapięćdziesiąt tysięcy talarów klejnotów matki jego, z któremi i nadzieją innych pomocy, wrócił bardzo rad ze swéj podróży.

Tego dnia którego miał przybyć, Lobkovitz i Aversberg, nieprzyjaciele jego, tak bardzo prosili Cesarza, aby się ogłosił za xięciem Neyburskim, iż uczynił jak chcieli. Gdym o tém przed wjazdem do Wiednia powiedział mu, tak się zdziwił, że chciał wszystkiego starania zaniechać; żaląc się, iż Cesarz, który dotąd nigdy słowa swojego nie złamał, zaczął od niego, niemającego innéj protekcyi.

Perswadowałem mu ile mojéj możności, aby się nie zrzekał starania o koronę, póki by się z Cesarzową nie widział. Ta, radziła mu pokryć niechęć i widzieć się z Cesarzem. Na po-

słuchaniu, które otrzymał, Cesarz Jego Mość raczył mu powiedzieć, że był zmuszony ogłosić się za xięciem Neyburskim, dla bardzo ważnych przyczyn, lecz że dowiedzie mu swéj przychylności, czynną pomocą. Xiąże się tém zaspokoił, i pozostało nam tylko znowu, starać się o pieniądze.

Cuny, dworzanin starego xięcia, przybył nareszcie z wexlami na sto tysięcy talarów, lecz z rozkazem nie oddawania ich, aż po obraniu xięcia Królem; co go tak okropnie rozgniewało, że byłby dworzanina brzydko skrzywdził, gdybyśmy z Cesarzową niezapobiegli temu.

Pomimo wszelkich starań naszych, nie podobna było od Cuny więcéj wyciągnąć, nad dziesięć tysięcy talarów, i klejnoty, które mogły być warte pięćdziesiąt tysięcy talarów. Cesarzowa także zastawiła klejnotów za sto dwadzieścia tysięcy liwrów u Pestalozzego, bankiera dobréj sławy, który jéj pożyczył nakartkę trzydzieści tysięcy florenów, i tak dostawszy pieniędzy, zaczęliśmy serjo myśleć o wyprawie xięcia. Szczęściem miałem w ówczas dość koni, a tak kochałem tego szanownego xięcia, żem mu z serca dał dwadzieścia dwa konie; Margrabia Grana, darował mu sześć bardzo pięknych, reszta zaś dworu, gdzie miał wielu przyjaciół, tyle mu ich nadawali, że w krótce miał ich dosyć; ekwipaż piękny i liczny

Powodzenie naszéj sprawy, zależało w wielkiéj części od tego, jak sobie postąpić miał poseł Cesarski na Elekcyi; xiąże więc nie żałował starań sam i przez przyjaciół działając, abym ja był mianowany posłem.

Cesarzowe obie, młoda Królowa, dzisiejsza xiężna, tak potrafili działać na umysł Cesarza, że ja mianowany zostałem na poselstwo z rozkazem mówienia za xięciem Neyburskim, lecz pomagania tajemnie we wszystkiém xięciu Karolowi. Zaledwiem odebrał instrukcye, natychmiast jak najspieszniéj do Warszawy wyjechałem. Już em był na granicy polskiéj, dawszy wprzód znać o sobie, gdy otrzymałem od Cesarza przeciwne rozkazy. Xiąże z przyjaciółmi i Regimentem swoim, stał na granicy Szląskiéj w miasteczku Turnawiec (?) *a*) gdzie mu dodano straż honorową dla czci, i czekał on na xięcia Vexein, mającego być posłem od starego xięcia. Ale ten, że nigdy słowa niedotrzymał, czy to przez zazdrość względem synowca, czy to przez skępstwo że nie chciał ponieść kosztu na utrzymanie xięcia Vexein w Warszawie, niedozwolił mu wyjechać. Xiąże Karol w największym był kłopocie, nie mając nikogo, komuby powierzył poselstwo, z zupełném zaufaniem, że jego sprawę szczérze popierać będzie.

a) Tournavitz.

W téj ostateczności pomyślał xiąże, że nikt mu tak niepotrafi usłużyć jak ja; napisał o tém do Cesarzowéj i do Cesarza, a gdy ten zezwolił, dano mi rozkaz złączenia się z xięciem Lotaryńskim w Turnawcu, i zdania moich not i instrukcyj Hrabiemu Schaffhouse, który na mojém miejscu, mianowany został posłem dla Neyburga. Zaledwiem przybył, gdy xiąże, ściskając mnie, rzekł, że w nikim na świecie nie ma takiego zaufania jak we mnie, że mię przeprasza iż tak sobie bez mojéj wiedzy postąpił. Odpowiedziałem na te grzeczności jakem był powinien. Ale że to potrzeba było teraz ukazać się posłem od kandydata i pretendenta do tronu polskiego, że należało występować bardzo wspaniale, musiałem powiększyć swój dwór znacznie.

Posłaliśmy czterech ludzi tym czasem nim by Sejm nadszedł *in cognito* do Warszawy, aby sądować usposobienie umysłów. Myśmy się zabawiali polowaniem w Turnawcu, dokąd xiąże swoje psarnie sprowadził; trzymał stół otwarty na dwadzieścia cztéry osoby, ja na dwanaście. Odwiedzała nas, a raczéj najeżdżała drobna slachta polska, skłonna do pijatyki; musieliśmy dla ich natręctwa uprosić jednego z dworzan Hrabiego d'Angel, aby im stół otworzył i traktował. Zdatny był do tego, bo pić mógł cały dzień; a ludzi tych trzeba było menażować, boi oni jak najwięksi panowie, mają głosy na

elekcyi. Prawda, że nie wiele ich przyjęcie kosztowało, bo byle im dano wina, piwa, soli i chleba z koprem, kontenci byli; poczém każdemu z nich ofiarowano blizko talara i wracali szczęśliwi. Tak nas odwiedzało i wytrzymać musieliśmy całe Województwo Krakowskie.

Upływały nam dnie dość spokojnie, gdy Cesarz napisał do xięcia, że właśnie układał operę, w któréj sam miał śpiewać, i rad był, że widzieć ją przybył. Xiąże nazajutrz wziął pocztę z Hrabią Jaff, mnie poruczając zupełnie sprawy swoje w Polsce.

Nadszedł czas Sejmu; wyjechałem sześcią tygodniami wprzód, wziąłem z sobą powodnych koni dwadzieścia, dwunastu dworzan, dwunastu lokajów, sześciu paziów; reszta ekwipażów w stosunku do tego. Sekretarzem moim był xiądz Riguet, a Radźcą, Jezuita Richard.

Za przybyciem mojém, panowie Senatorowie dali mi posłuchanie i przyjęli bardzo uczciwie, naznaczywszy kwaterę w ..... *a*) Nie traciłem czasu na negocyacyach; postrzegłem zaraz że xiąże Kondeusz miał silną partyę, na czele któréj stali Arcy-Biskup Gnieźnieński, zastępujący Króla, (sic) wszyscy Lubomirscy i Potoccy, Senatorowie Rey i Jabłonowscy, jeden Wojewoda Ruski,

a) Niepodobna z rozumieć oryginału, który pisze, — „ après m'avoir nommé charissé pour mom quartier. “

drugi Wojewoda Podolski, wielki Podkomorzy Koronny i Leszczyński Kanclerz Koronny; tylko Xiąże Dymitr i Podkanclerzy (*a*) nie trzymali za nim, zresztą wszyscy Biskupi byli za Kondeuszem a żaden z Senatorów nie chciał Neyburga.

W Litwie, miał xiąże Kondeusz Kanclerza Paca, dom Sapiehów. Podkomorzy Radziwiłł ogłosił się za Neyburgiem.

Posłałem Kurjera do xięcia z oznajmieniem, w jakim stanie były rzeczy, że xięcia Neyburskiego nie potrzeba się było lękać, ale cudem chyba da się wywrócić przygotowana Elekcya xięcia Kondeusza.

Tymczasem Kanclerzyna Pacowa, francuzka rodem, przysłała do mnie brata swego Hrabiego de Mailly z tém, że bardzo się dziwiła, iż jakkolwiek jéj krewny, nie odwiedziłem ją. Niewiedziałem ja o połączeniu naszém z tym domem, które zresztą zaszczytne było dla mnie, bo byli w pokrewieństwie blizkiém z xiężną; ale gdybym nawet i nie był im powinowatym, w takiém zdarzeniu, należy z całych sił starać się i przyznawać do pokrewieństwa wszystkich. Poszedłem ją odwiedzić, a chociaż wiedziałem że

---

a) Tłumaczym tytuły jak są, tu pisze „Vice-Chancelier de Colme“

była za Kondeuszem, przyjęła mnie jednak grzeczniéj niż można było krewnego. Mąż jéj, Kanclerz ofiarował mi swoje usługi i zapewniał najmocniéj o przyjaźni, dając mi do zrozumienia, że się ogłosi za xięciem Lotaryńskim; dawał mi rad bez końca, ale usłuchałem tych tylko, które mi się dobre zdały.

Stary xiąże Lotaryński przysłał swemu synowcowi przez kawalera d'Harcourt wielki dyament ceniony cztérykroć sto tysięcy liwrów i niejakiego Visaucour, człeka zręcznego do interessów, ale takiego filuta, jak ten który go przysłał. Xiąże sądząc że mi pomoże, przysłał mi go, z czegom się niezmiernie ucieszył, bom miał tylko Hrabiego Zany, mało doświadczonego człowieka, ojca Richard, któremu suknia do negocyacyi zawadzała, wreście niejakiego Manfredi, włocha, dawniéj pocztmistrza, którego wierności w usługach dość ocenić nie mogłem. Jakem tylko użył przysłanego mi Visaucour, chwycił się zaraz wywracać com ja przygotował już, powiadając wszędzie, że sumienie obowiązywało go wyznać, iż stary xiąże synowcowi do utrzymania przyzwoitéj jego przyszłemu stanowi wystawy, nie pomoże, i tym podobne rzeczy, mogące łatwo polaków zrazić Wieczorem potém opowiadał mi, że cudów dokazywał, a jam mu się z niczém nie tail; i nazajutrz wywracał co ja zbudowałem.

W przeciągu tygodnia ostrzegł mnie o tém Hrabia de Mailly, przysłany od siostry; a że w tym kraju wdzięczność okazuje się pieniędzmi, dałem mu trzysta pistolów za oznajmienie. Naradzałem się z Hrabią Zany i Ojcem Richard co tu robić. Zany radził go zabić, Jezuita zamknąć, ja bez wiadomości Xięcia Karola, ani na to ani na drugie nie godziłem się; lecz zwoławszy zdrajcę, spytałem go dla czego tak postępował. Zdziwił się niesłychanie, ale widząc że wszystko odkryte, a lękając się czego złego, wyznał że takie miał rozkazy Xięcia pana swego.

Oznajmiłem o tém Xięciu Karolowi, który dozwolił mi z nim zrobić co by mi się podobało, a ja wypędziłem go jak łajdaka; z wielką pracą pozyskałem lędwie na naszą stronę Podkanclerzego Koronnego, który napisał był xiążkę, okazując że należało obrać polaka, lub Xięcia Lotaryńskiego. Senat także promulgował prawo, którém odrzucano kandydatów, starających się pieniędzmi pozyskać koronę. Lecz korona polska jak inne wyborowe godności, bez tego się obejść nie mogła, żeby pieniędzy nie rozsypywano, starając się o nią. Pozyskałem także Wianowskiego (sic) *a*) Hetmana Polnego i kilku Starostów, między innemi Podoloskiego (?) największego łotra

a) Patrz w końcu objaśnienia.

w świecie, bo brał pieniądze od Kondeusza, od Lotaryńskiego, od Neyburga, trzech jedynych pretendentów, i wszystkim trzem narówno dopomagać obiecywał.

Poseł Neyburski z niewielą swojéj partyi ludźmi, codziennie puszczał paszkwile szkaradne przeciw Xięcia Kondeusza; ja com lepiéj znał jego osobistą wartość, bom był świadkiem odważnych jego czynów, mówiłem o nim tak dobrze jak mogłem i powinienem był, nie szkodząc sprawie Xięcia, którego stronę trzymałem.

Tak się rzeczy miały, gdy zwołano Województwa na wybór Króla. Kondeusze porozumiawszy że Xiąże Lotaryński będąc blizko, musiał sobie ująć część szlachty, wysłali niejakiego Jakuba Pinion, dla mówienia wczasie Sejmu do zgromadzonych. Zaledwie ten odjechał, pewien zwany Piotrowski (Petreski) niegdyś Jezuita, przyszedł do mnie o czwartéj zrana i ofiarował mi, że może wyrobić exkluzyą Kondeusza. Był to biédak, okryty nie wiele wartym łachmankiem, ale bardzo zręczny i dowcipny. Odpowiedziałem mu, że tego nie żądałem, że szkodzić Kondeuszowi nie chcę, ale staram się tylko aby wybrano Xięcia Lotaryńskiego. Na te słowa rzekł mi: Widzę że się Pan nie chcesz otworzyć przedemną. Potém prosił abym mu pożyczył sto czerwonych złotych; zezwoliłem na to, to jest dałem mu je. Nazajutrz wszedł na Sejm, a że był do-

hrym mówcą i miał tam głos, okazywać zaczął, że należało exkludować Kondeusza, który pieniędzmi zjednał sobie prawie całą ślachtę i więcéj połowy Senatorów.

W moment ozwało się tysiąc głosów, że należało go exkludować; i ta ciżba bezrozumna z szablami w ręku poszła do Senatu, wołając na Arcy-Biskupa Gnieźnieńskiego, aby exkludował Kondeusza jako korruptora. Tym sposobem zwyczajnie odrzucają z liczby kandydatów tych, którzy przekonani są o pozyskanie głosów pieniędzmi. Arcy-Biskup który był zaklął się, że prędzéj się da ukrzyżować, niż na innego Króla jak Kondeusz pozwoli, uczuł gorliwość swoję zmniejszającą się na widok tysiąca szabel wzniesionych, grożących i natychmiast ogłosił exklusyją Kondeusza. Tłum szedł potém zawsze z dobytą szablą, do Sobieskiego, od niego do Wielkiego Kanclerza, a od Kanclerza do Morsteina, zmuszając do podpisania exkluzyi. Morstein chciał był uciec, ale widząc że go szukają i śledzą a więcéj się lękając od innych, podpisał prędzéj jeszcze niż wszyscy.

Dowiedziawszy się o tém, szedłem do Paca Kanclerza, który mi powiedział:—Ach! Kuzynku, cóżeś to najlepszego zrobił, popsułeś sobie interessa, exkludując Xięcia Kondeusza. Protestowałem się, że to nie było za moją sprawą, że nikt w świecie dowieść mi nie potrafi, abym

nawet przeszkadzał w czémkolwiek jego elekcyi. On zaś dodał—Nikt tego nie mógł inny uczynić, bo Neyburg nie ma pieniędzy; ale jeśli jesteś niewinny, nie masz się czego lękać, choć pewnie całe stronnictwo Kondeusza, obróci się przeciw temu, który był przyczyną jego exkluzyi.

Poseł Neyburski, który w tém także nie miał udziału najmniejszego, jakby ztamtąd było mil tysiąc, począł się jednak z tego chwalić, i szedł z prośbą do Kondeuszowskich, aby na jego stronę przeszli, nie mając już względem nikogo obowiązków. Pac dał mi o tém znać, zaprosił mnie do siebie i od téj chwili dawał mi bardzo dobre rady, których słuchałem, i najlepiéj na tém wychodziłem, bo wszyscy Kondeuszowscy cisnęli się do mnie. Bardzo mnie cieszyło jego ze mną postępowanie, chciałem mu ofiarować pięćdziesiąt tysięcy talarów, a żonie tak się to podobało, że jeszcze bliższym niż kiedykolwiek uważała mnie krewnym; lecz ten pełen uczciwości człowiek, nie chciał ich przyjąć, powiadając, że gdy Xiążę Lotaryński zostanie Królem, tysiąc będzie miał sposobów, zawdzięczenia jego usług.

Audjencye posłów zbliżały się; byłem u wszystkich. Najwspanialéj przyjmował Marszałek Sobieski, dwór jego był niemniéj liczny, jak wiele zamożnych Xiążąt. Potém zwołano wszystkie Rycerstwo. Zgromadza się ono w polu i tam posłowie mówią do niego od swoich panów.

Podkanclerzy i Pac radzili mi obrać sobie miejsce na ostatku; i tak się stało. Kuzynka moja, Pacowa, chciała abym się przypatrzył wjazdowi posła Neyburskiego, z domu jéj na przedmieściu, w którém była galerya; życząc abym wszystko pilnie uważał, i mój wjazd uczynił równie świetnym i bijącym w oczy. Nakazawszy moim ludziom pilną na wszystko dawać baczność, udałem się do wskazanego mi ogrodu, sam, bez ludzi i powozów, aby nie być postrzeżonym i poznanym.

Ledwiem tu pół godziny przesiedział, ujrzałem więcéj trzydziestu kobiét wyższego towarzystwa, wytwornie ubranych, wchodzących na galeryę. Zdziwiły się widząc obcego jakiegoś, samego a dość przyzwoicie ubranego. Najpozorniejsza z nich, po niejakiém wahaniu, znaglona ciekawością, przystąpiła do mnie pytając po polsku, z jakiéj przyczyny tu się znajdowałem i ktobym był. Dałem znak głową, że przykro mi było, iż odpowiedzieć nie mogłem, nierozumiejąc krajowego języka. Zawołała drugiéj z pań, która o to samo spytała mnie po Niemiecku; ale chociaż lat dwadzieścia byłem w Niemczech, niemogłem się tego języka nauczyć. Potém towarzyszącego jéj pana prosiła aby do mnie mówił po łacinie — i tego języka nigdym się nie uczył. W końcu nadeszła młoda osoba niezmiernie piękna, która powiedziała do mnie, że ponieważ

nie rozumiałem języków któremi dowkoła mówiono, muszę więc być francuzem; — że matka jéj Xiężna Radziwiłłowa, miała wiele szacunku dla tego narodu i dla tego chciała wiedzieć, co mnie tu sprowadziło, pochlebiając sobie, że potrafi być użyteczną cudzoziemcowi, okazującemu się nie ordynaryjnéj Kondycyi.

Odpowiedziałem Xiężniczce Radziwiłłównie ze wszelkiém winném jéj uszanowaniem; przyznając się tylko żem był szlachcicem francuzem, którego ciekawość widzenia Elekcyi króla polskiego sprowadziła; dziękowałem Xiężnie za jéj łaskę, oświadczając wdzięczność. — Wdaliśmy się w dalszą rozmowę i Xiężniczka powiedziała mi, że jéj matka będąca partyi Neyburga przybyła dla widzenia wjazdu posła, paczém dla nich podaną będzie w galeryi kollacyą; uwiadomiła mnie także, że niektóre z przytomnych pań były za xięciem Lotaryńskim.

Poselstwo przeszło; nie było nic osobliwego, byłem pewny, że mój orszak i wjazd przynajmniéj temu co do wspaniałości nie ustąpi. Tylko co przeszła kawalkata, zastawiono bardzo wytworną kollacyą na stole ciągnącym się przez całą długość galeryi. Wypytywano się mnie tyle i na różne sposoby, że w końcu domyślać się poczęto kto byłem; powiedziały mi te Panie że muszę być Hrabią de Chavagnac, a Xiężniczka Radziwiłłówna, posadziła mnie u stołu przy sobie

i drugiéj jakiéjś pięknéj pani, umiejącéj po francusku, która była Wojewodziną Sandomirską; mąż jéj trzymał zupełnie naszą stronę. Gdyśmy usiedli, powiedziała mi, że dobrze trafiłem, bo Xiężniczka Radziwiłłówna, była gorliwszą jeszcze stronniczką Xięcia Lotaryńskiego, niż jéj matka Neyburga. Odpowiedziałem, iż mnie to mocno cieszy; że Xiąże Lotaryński, o którym mi mówiła, bardzo był szczęśliwy i bez wątpienia musi zostać Królem, mając za sobą głosy dwóch najpiękniejszych w świecie kobiet, które mu będą szczęśliwą wróżbą; że co się tycze mnie słyszałem o nim wiele bardzo dobrego, i czułem ku niemu skłonność nie znając go.

Przerwała nam rozmowę xiężna Radziwiłłowa i wziąwszy wielki kubek złoty, włożyła weń kawałek cukru spory i piła do mnie zdrowie Neyburga. Podziękowałem z największém uszanowaniem, lecz prosiłem Wojewodzinéj aby jéj powiedziała, iż błagam o pozwolenie wypicia wprzód zdrowia jéj i dam przytomnych. Podziękowała mi, kazała przynieść drugi kubek, zawsze z cukrem; i wypiłem zdrowie jéj, potém przytomnych pań, potém Neyburga. Xiężniczka Radziwiłłówna piła do mnie zdrowie xięcia Lotaryńskiego, które, wprzód jéj wypiwszy, spełniłem. Wtém, przyszedł do mnie Hrabia Zany, wcale porządnie ubrany, dałem mu znak aby udał, że mnie nie zna; zrozumiał wybornie; panie

zrobiły mu miejsce u stołu i tyleśmy pili za zdrowie ich i pretendentów, że jeśli się nie mylę w rachubie, znalazło się w końcu w moim żołądku, ze trzy butelki wina, i pewnie jaki funt cukru.

Ale cóż robić w takich okolicznościach, trzeba pić przez politykę; jednakże ja i Zany bylibyśmy niewytrzymali, gdyby wreście poselstwo nie przeciągnęło nazad. Wszyscy ruszyli do okien, a potém panie się rozjechały. Towarzyszyłem xiężnie do jéj karety; xiężniczka polecała się mojéj przyjaźni, a Wojewodzina Sandomirska powiedziała, że mając mnie za poufałego przyjaciela Hrabiego Chavagnac, prosi abym mu od niéj oznajmił, iżby znajdował się o drugiéj z północy w kościele...... a) w kaplicy Najświętszéj Panny zapewniłem ją, że Hrabia nie chybi.

Po odjeździe dam, poszedłem do Kanclerzynéj Pacowéj, opowiedziałem jéj maję przygodę. Smiała się z niéj bardzo i rzekła, że w dzień mojego posłuchania trzeba wystąpić jeszcze lepiéj, sprosiwszy wszystkie te panie i inne jéj przyjaciółki. Odpowiedziałem, że to uczynię, Czekałem końca audyencyi. Biskup Beziers, poseł

---

a) l' Eglise des Escalopies .. nie wiadomo co to ma znaczyć.

Francuzki, nie chciał mieć posłuchania, z powodu, exkluzyi xięcia Kondeusza.

Posłuchanie Neyburga i wjazd jego był mizerny; orszak składało sześciu lokai ubranych szaro z srébrnym galonem, za niemi szła kareta z trzema dworzanami.

Nadszedł dzień posłuchania mojego. Marszałek wielki przysłał po mnie karetę i dwóch posłów rzeczypospolitéj, wedle zwyczaju. Siadłem do niéj z xiędzem de Riguet i kazałem iść za mną czterem moim karétom mocno złoconym, w których było cztérech dworzan, przy każdéj z nich dwunastu lokai, w liberyi domu zielonéj, ze złotemi galony na wszystkich szwach. Sześciu paziów moich jechało konno tak samo ubranych, tylko że galony wszędzie były podwójne. Za nimi jechało dwudziestu stajennych w jednakiéj barwie; wszyscy z wielkiemi pękami piór czerwonych, białych i zielonych, których tylko stajenni nie mieli. Ci prowadzili w ręku dwadzieścia najpiękniejszych jak być mogło koni, ślicznie ubranych i osiodłanych.

Kanclerzyna Pacowa nie zapomniała przybyć do domku swego na przedmieściu z zaproszonemi damami. Była tam xiężna Radziwiłłowa z córką, którym przejeżdżając ukłoniłem się. Xiężniczka spytała matki czy wjazd Lotaryńskiego, nie piękniejszy jest od Neyburczyka. Stara

xiężna odpowiedziała jéj: Szalona jesteś, zważasz tylko na błyskotki. Wszedłem do Senatu; nie umiejąc po łacinie, kazałem napisać mowę xiędzu Riguet, którą wszyscy bardzo chwalili, powiedział ją tak dobrze, że wołano i dawano oklaski. Wróciłem potém mimo okien tych pań, które mię obsypały życzeniami powodzenia. Z tą samą ceromonją kareta Marszałka Wielkiego odwiozła mnie do domu, gdzie zaledwie przybyłem, siadłem do jednéj z moich karet i pospieszyłem do pań, które przyjmować miałem.

Znalazłem je wybierające się do pani Kanclerzynéj, po chłodnikach które im moi słudzy podali a które się bardzo podobały. Kollacya któréj się spodziewały, pokazała się wytworną ucztą. Kanclerz nie radził mi siadać do stołu z paniami, aby nas nie spoiły, lecz życzył zająć stół w kątku z Hetmanem wielkim Litewskim, jego krewnym, gdziebyśmy swobodnie o interessach mówić mogli. Tyleśmy pili za zdrowie pań, xięcia Lotaryńskiego i moje, że o drugiéj z północy, nie wiele mieliśmy ochoty skorzystać z muzyki, która przybyła. Robiłem jednak z siebie co mogłem i gdy towarzystwo całe wesoło się zabawiało, wykradłem się dla negocyacyi, które mnie gdzie indziéj powoływały.

Nazajutrz synowiec Marszałka Sobieskiego, dzisiejszego Króla, przyszedł do mnie od Marszałkowéj Sobieskiej, prosząc abym się znią wi-

dział, tak, aby o tém nikt nie wiedział, mając być wpuszczony tylnemi drzwiami. Zgodziłem się na to chętnie i zaraz po obiedzie siadłem do powozu bez lokaja, z nim tylko. W pół drogi, dobyłem zegarka, aby zobaczyć godzinę, była to kosztowna sztuka, ozdobiona kamieniami i wartująca najmniéj trzysta pistolów. Towarzysz mój prosił o pokazanie, a gdy chwalić zaczął, zmusiłem go do przyjęcia, po niewielkich ceremoniach. To tak go uradowało, że nie mógł wytrzymać i powiedział mi: Zmuszasz mnie pan swojém slachetném postępowaniem do wdzięczności; w dowód jéj, oznajmuję mu, że Biskup Bezierski Poseł francuzki będzie w czasie rozmowy ukryty, podsłachiwać jéj z za obicia; strzeż się W. Pan i uważaj co mówić będziesz. Sobieska jest rodem francuzka, córka hrabiego d'Arguien, bardzo przywiązana do interessów swego kraju, pełna zręczności, dowcipu i od dziecińśtwa nawykła do interessów i negocyacyi.

Przyjęła mnie Marszałkowa jak najgrzeczniéj; mówiła z początku o rzeczach obojętnych, poczęła potém unosić się nad wspaniałością mojego wjazdu, i powiedziała mi, że francuz tylko potrafić mógł wszystko tak pięknie urządzić. Potém wymawiała się, że mnie do siebie wezwała, lecz miała rozkazy królewskie (Króla Francuzkiego) dla mnie. Odpowiedziałem że będę im ślepo posłuszny, byleby mnie do zła-

mania zasad honoru nie zmuszały. Spytała mnie potém, czy życzę sobie aby xiąże Lotaryński był Królem. Odpowiedziałem iż za tém i dla tego przybyłem.

Kiedy tak, rzekła, posłuchaj pan moich propozycyi i dozwól mi je do końca wyłożyć. Przyrzekłem nie przerywać jéj mowy i słuchać spokojnie.

Zaczęła od tego, że jeśli xiąże chce, aby mu wszystko dobrze poszło, powinien dać jéj mężowi Ekonomię Samborską, czyniącą sto tysięcy liwrów dochodu, że dla niéj potrzeba ofiarować wielki dyament wartujący cztérykroć sto tysięcy franków, któren kawaler d'Harcourt przywiózł od starego xięcia; dla Potockiego Chorążego koronnego sto tysięcy franków, dla Biskupa Bezierskiego przyrzec nominacyą na Kardynała; że potrzeba było aby xiąże Lotaryński ożenił się z siostrzenicą nieboszczki królowéj Maryi, a nakoniec dodała, iż Król życzy sobie aby uczyniony był traktat, któren ja podpisać mam za xięcia a Biskup Bezierski za Króla, przeciwko Cesarzowi; za co nagrodzić mnie ma laską Marszałka Francyi i wielkiemi pensiami dla utrzymania świetnie téj godności.

Gdy skończyła, począłem mowę jéj roztrząsać artykułami: ofiarowałem mężowi jéj Ekonomię Samborską; wielki dyament dla niéj, z warunkiem, że go będziemy mogli wykupić za sto

tysięcy talarów; sto tysięcy liwrów dla Potockiego; Kardynalski kapelusz dla Biskupa. Co się tycze małżeństwa Xięcia, o tém stanowić niemogłem, bom przyrzekł Senatowi, iż nie inaczéj jak za zgodzeniem się Rzeczypospolitéj zawrzę małżeństwo, w tém zaś ona i mąż jéj mając tyle wpływu i znaczenia łatwo potrafią uczynić jak zechcą.—Nakoniec, co do traktatu przeciw Cesarzowi, dziwiło mnie, że Król względem tego rozkazy przez nią nadesłał, wiedząc, że nie zostawałem w służbie Xięcia Lotaryńskiego, ale Cesarskiéj. Sam Xiąże znajduje się, dodałem, o mil tylko cztérdzieści, można z tém do niego posłać, bo ja do tego artykułu żadnéj nie mam władzy. Nie wątpię, że król potrafi nagrodzić tych, którzy mu służą wiernie, ale mam nadzieję, że nadto mnie zna z dobréj strony, aby mógł sądzić że laskę Marszałkowską zechcę pozyskać podłością i zdradą względem mojego pana.

Rozmowa nasza trwała blizko siedmiu godzin, w końcu których odjechałem nic nie zrobiwszy, bom na ostatni warunek nie chciał się zgodzić. Siadałem już do stołu, gdy tenże synowiec Marszałka Sobieskiego, przyszedł do mnie od stryja swego, z wyrażeniem nieukontentowania, jakie mu sprawiły propozycye jego żony, z prośbą abym się znajdował o północy u Wojewody Podolskiego. Poszedłem tam. Wyparł się tego co żona mówiła i zawarliśmy umowę po-

dobną do wprzód ułożonéj, wyjąwszy małżeństwo xięcia i traktat przeciwko Cesarzowi. Powiedział mi, że każe spisać umowę na czysto i przyśle mi ją przez swego Kapellana, dla podpisania u Podkanclerzego Koronnego.

Nazajutrz, była to wilja elekcyi, korzystałem z czasu i odwiedzałem Panów Senatorów. Spotkałem się z Kapellanem Sobieskiego, który mi powiedział, że pan jego nie miał czasu kozać umowy przepisać, lecz ufa memu słowu. Żona to jego była tego przyczyną, bo zapomniała wyrobić jeszcze cokolwiek dla brata swego, kawalera d'Arguien, a że dzień Elekcyi wypadał na Boże Ciało, starała się o odłożenie jéj o dzień jeden z przyczyny święta, aby miała czas wymódz jeszcze co dla niego. Wojewoda Podolski, którego miała za sobą, nie znalazł lepszego sposobu dla odroczenia Elekcyi nad proponowanie obioru Piasta, to jest polaka. Wiedział on dobrze, że nigdy polacy nie wybiorą Litwina, a Litwini Polaka, bo dawniéj bywało to przyczyną wielkich zamieszek w kraju, (?!) a tak, sądził że dla tumułtu odłożą Elekcyę i Marszałkowa będzie miała czas wymódz na mnie jakie zechce warunki. Wyszedłszy od niéj poszedł Wojewoda do swoich i rzekł im, że idąc napadnięty został przez rój pszczół, które go przeprowadzały aż do pola elekcyi, tłumacząc, że to znaczyło widocznie, konieczny wybór Piasta.

Natychmiast wszyscy zawołali: Piast! Piast! i z Województwa do Województwa rozszedł się ten głos. Któś krzyknął: Neyburg! i rozsiekano go w momencie. Inni wołali: Lotaryńczyk! ale za wrzaskiem słychać ich nie było. Litwa opierała się, ale nic poradzić nie mogła — Polacy byli cztéry razy liczniejsi. Marszałek Sobieski widząc tumult, chciał się wymknąć, ale posłano za nim trzy poczty jazdy, żeby go rozsiekać, jeśliby nie wrócił. Kanclerz Pac, który chciał podnieść głos i ogłosić Xięcia Lotaryńskiego, postrzelony z muszkietu, z którego któś do niego wymierzył i suknią mu tylko przedarł. Inni Senatorowie przerażeni, obwołali Królem Michała Wiśniowieckiego, który jak był niewiedzieć jakim Senatorem, tak potém i Królem. Pochodził on z ich dawnych królów rodu, ale wcale się zaszczytu tego nie spodziewał i kiedy go ogłoszono, opierał się prosząc, żeby mu dali pokój. Ubogi był tak, że przycisniony potrzebą, czterma dniami wprzódy, prosił mnie o dwieście talarów, które mu kazałem natychmiast wyliczyć.

Taki był skutek mojego poselstwa; zdawało się ze wszystkiego, wszelkie podobieństwa wskazywały, że Xiąże Lotaryński byłby obrany, gdyby nieprzewidziany obrót rzeczy, nie pozbawił go korony, którą byłby potrafił piastować, godniéj od wszystkich królów w świecie, a mnie szczęścia przyszłego, większego nad wszelkie nadzieje.

W nocy przybył do mnie Marszałek Wielki Sobieski, proponując mi detronizacyę króla; odpowiedziałem mu, że miałem polecenie przewodniczyć elekcyi, nie detronizacyi, że może posłać do Turnawiec do Xięcia Lotaryńskiego. Niemógł się pocieszyć, po tym niespodzianym razie. Arcy-Biskup Gnieźnieński był w rospaczy, a Kanclerz Pac szalał. Gdym mu mówił o xiążce Podkanclerzego, zalecającéj Piasta, śmiał się ze mnie i mówił mi, że gdyby był się Podkanclerzy domyślał najmniéj przyszłości, byłby zniszczył co napisał. Wreście sądzić można jaki to był król, gdy nazajutrz po jego Elekcyi, nikt się nie chciał przyznać, że go wyniósł na tę godność.

Wszyscy tak byli pewni, że Xiąże Lotaryński zostanie obrany, iż Burmistrz Warszawski przychodził do mnie z zapytaniem, w jakiéj części miasta chcę mieć mieszkanie. Domy tam są z drzewa i nad brzegiem wisły, w trzy tygodnie zbudować mogą pałac xiążęcy; są zupełnie gotowe, które tylko złożyć trzeba, i taki mi miasto ofiarować chciało. Kapitaliści na prostą moją kartkę przychodzili mi ofiarować dwa miljony szelągów. Potocki idąc na pole Elekcyi wstępował do mnie, chciałem mu dać obiecane sto tysięcy franków, odrachowane na stoliku; ale on tak był pewny swego, że odłożył wzięcie ich do powrótu. Gdy tak wszystko się szczęśliwie składało, moje to chyba nieszczęście naprowadziło

biédy Xięciu; a raczéj tajemne zrządzenie Opatrzności, która chcąc go wyprobować ciągłemi przeciwnościami na tym świecie, zachowała zasłużoną nagrodę na drugim.

We dwa dni potém wyjechałem z Warszawy, ale nie wprzód aż widziałem i pożegnałem króla, który takich mi rzeczy nagadał, że ich powtarzać i pisać nie warto. Wróciłem do Turnawiec, gdzie zastałem Xięcia, który wyszedł na przeciwko mnie, i tylą mię przyjął grzecznościami, jakbym go był królem zrobił......

Nota. Ciekawy tén wyjątek, noszący na sobie charakter prawdy, wystawia w nowém świetle towarzystwo wyższe w Polsce w końcu XVII wieku. Niepochlebny zaiste obraz! ci dostojni Dygnitarze, Senatorowie. Xiążęta, panowie, frymarczący koroną, jak towarem, wołający prawie bezwstydnie: kto da więcéj! Rola, jaką tu autor daje kobiétom, nastręcza także wiele uwag: widzim tu Marją Sobieskę wprzód jeszcze intrygantką niż królową; widzim; że kobiéty nie były obce polityce, jak powszechnie u nas trzymają, że pomagały szczęśliwie mężom do dobijania targów. Żywy obraz arystokracyi polskiéj w XVII wieku, już pokalanéj wpływem obczyzny: bo Pani Pacowa, Pan Sobieska, francuzki obie.

Oto jest objaśnienie względem imion Senatorów niedokładnie wspomnianych, lub poprzekręcanych u Chavagnaca:

Arcy-Biskup Gnieżnieński, *Mikołaj Prażmowski.*
Marszałek Litewski, *Krzysztof Zawisza.*
Kanclerz Koronny, *Jan Leszczyński.*
Kanclerz Litewski, *Krzysztof Pac.*
Podkanclerzy Koronny, *Jędrzéj Olszowski.*
Podkanclerzy Litewski, *Karol X. Radziwiłł.*
Marszałek Nadwor. Kor. *Jan Klem. Branicki*
Marszałek Nadwor. Lit. *Teodor Lacki.*
Hetman Koronny, *Sobieski.*
Hetman Polny Koronny *Dymitr Xże Wiśniowiecki* Wda Bełzki etc.

Wspomniany u Chavagnaca *Xiężę Dymitr*, jest to ten ostatni Hetman Polny.

Jędrzeja Olszowskiego książka wydana za obiorem Piasta lub Xięcia Lotaryńskiego, nosiła tytuł: *Censura Candidatorum sceptri Polonici*, 1669, 8. wyszła bezimiennie.

Wianowski, którego Chavagnac pisze, że pozyskał na swoję stronę, jest to ten sam Xiężę *Dymitr Wiśniowiecki*, o którym wyżéj.

Wojewodą Sandomirskim był podówczas *Jan Tarło*, żona jego *Anna Czartoryjska.*

Wojewodą Podolskim, który złym fortelem Xięciu Lotaryńskiemu chcąc pomódz, zaszkodził, był to *Alexander Stanisław Bełzecki.*

II.

Potwierdzenie praw i swobód Tatarom Litewskim, uczynione r. 1568, d. 20 Lipca.

Żygimont Awhust i t. d. Oznajmujem sim listom naszim nynieszním i na potom buduczim, czto pierwej sieho za predkow naszich i za szczastliwaho panowania naszoho nadany i upriwilewany wolnosti i swobody Kniaziem, Ułanom. Chorunżim, Marszalkom i wsiem Tatarom, kotoryje osiełosti swoi w Państwie naszom Wielikom Kniażestwie Litowskom majut, ino tych czasow buduczi nam Hospodaru na Sojmie Wielikom Walnom Horodeńskim,opowiedali pered nami Kniazi, Ułani, Chorunżje, Marszałki i wsi Tatarowie Państwa naszoho Wielikoho Kniażestwa Litowskaho o tom,jakoby w Statutie nowo ot nas Hospodara wsim obywatelam Państ-

Żygmunt August i t. d. Oznajmujemy tym listem naszym teraz i na potém będącym, że przedtém za przodków naszych i za szczęśliwego panowania naszego nadane były i uprzywilejowane wolności i swobody Xiążętom, Ułanom, Chorążym, Marszałkom i wszystkim Tatarom, którzy osiadłości mają w Państwie naszém Wielkiem Xięztwie Litewskim; teraz zaś gdy my Hospodar byliśmy na Sejmie Wielkim Walnym Grodzieńskim opowiedali, przed nami Xiążęta, Ułany, Chorążowie, Marszałkowie i wszyscy Tatarowie Państwa naszego Wielkiego Xięztwa Litewskiego, o tém jakoby w Statucie nowo od nas Hospodara wszystkim obywatelom Państwa

wa naszeho Wielikoho Kniażestwa Litowskaho ku sprawowańju wsiakich spraw wydanom niekotoryje artykuły protiwku wolnostiam i swobodam ich ot predkow naszich i ot nas Hospodara nadanych ufalenij, a mienowitie diej w Rozdielie diewintom, artykuł tretij a w Rozdiele wtorom nadcatij artykuł piatyj im dotkliwe i wolnostiam ich szkodliwyje opisany, za czim oni niemałoje ubliżeńje wolnostij swoich byli mienujuczy, bili nam czołom iżbychmo ni w czom praw, swobod i wolnosticj im nadannych nie naruszajuczy pri mocy zostawili i nikotoroho ublizeńja im nad prawo i wolnosti nadanyje pryjmowati nie dopustili, o czom i Panowie Rady naszi ich Miłost Duchownyje i Swietskie za nimi zalecajuczi wieru, cnotu i ochotu ich kotoruju oni w służbach Ziemskich Wojennych czastokrot' okazywajut' nas żedali; a tak za doznaniem wiery i cnoty ku

naszego Wielkiego Xięztwa Litewskiego, dla przewodu wszelakich spraw nadanym, niektóre artykuły przeciwko wolnościom i swobodom ich przez przodków naszych i przez nas Hospodara nadanych uchwalone zostały, a mianowicie w Rozdziale IX, artykuł III a w Rozdziale XII, artykuł V im dotkliwie a wolnościom ich szkodliwie opisane; za czém oni z niemałą to szkodą i ubliżeniem swobód swych mniemali i bili nam czołem ażebyśmy ni w czém praw, swobód i wolności im nadanych nienaruszając, wcałéj je mocy zostawili i żadnego im ubliżenia nad prawo i wolności nadane czynic nie dopuszczali, o czém i Panowie Rady nasi I. M. Duchowni i Świeccy za niemi zalecając, wiarę, cnotę i ochotę ich, którą oni w służbach Ziemskich, Wojennych częstokroć okażywali, przekładali; a tak doznawszy ich wiary i cnoty

służbam naszym Hospodarskim i Ziemskim tyje poddannyje naszi wsi Tatarowie Państwa naszoho Wielikoho Kniażestwa Litowskoho ot predkow naszich i ot nas Hospodara nadanych, zostawujem i to im tim listem naszim utwierżdajem, majut' oni, wo wsiem raditi i sprawowatisia a w sprawach swoich zarowno s inszymi obowateliami Państwa naszoho Wielikoho Kniażestwa Litowskoho stanu szliacheckoho, potomu jako i do sich czasow wolnostiej swoich używali i w nichsia sprawowali a artykuły wysze pomieniennyja w Statutie nowom wydannom opisanyje, to jest w Rozdiele 9 art. 3 a w Rozd. 12 art. 5 i inszyje wsi artykuły Statutowyje kotoryje by prawam i wolnostiam ich ot predkow naszich i ot nas Hospodara im nadannym protiwny byli, niezoho wolnostiam i swobodam ich szkoditi i na perekazic byti niemajut wiecznymi czasy, i na tojeśmo Ułanom,

ku służbom naszym Hospodarskim i Ziemskim, tych poddanych naszych wszystkich Tatar Państwa naszego Wielkiego Xięztwa Litewskiego (przy prawach i swobodach) od praodków naszych i przez nas Hospodara nadanych, zostawujemy i te im tym listem naszym potwierdzamy, mają się oni według tego rządzić i sprawować w sprawach swych zarówno z inszemi obywatelami Państwa naszego Wielkiego Xięztwa Litewskiego, stanu szlacheckiego, wedle tego jak dotąd swobód używali i sprawowali się, a artykuły wyżéj wspomnione w Statucie nowo wydanym opisane, to jest w Rozdziale IX, art. III, a w Rozdziale XII art. V, i insze wszelkie artykuły Statutowe, któreby prawom i swobodom ich od przodków naszych i przez nas Hospodara im nadanym przeciwne były, w niczém wolnościom i swobodom ich szkodzić i przeszkadzać nie

Chorunżim, Marszałkom i wsim Tatarom Państwa naszoho Wielikoho Kniażestwa Litowskaho dali siej nasz list, do kotorohojeśmo i pieczat naszu priwiesiti rozkazali. Pisan w Grodnie, lieta Bożeho narożońja tysiacza piat sot szestdesiat ośmaho. Msca Julja 20 dnia.

(*Z kopii współczesnièj.*)

mają na wieczne czasy. I na tośmy Ułanom, Chorążym, Marszałkom i wszystkim Tatarom Państwa naszego Wielkiego Xięztwa Litewskiego dali ten nasz list, do którego i pieczęć naszą przywiesić zozkazaliśmy. Pisano w Grodnie, lata od Bożego Narodzenia tysiąc pięć set sześćdziesiąt ósmego, Miesiąca Lipca 20 dnia.

III.

List Sokołowskiego do Biskupa Kujawskiego w sprawie Akademii Krakowskiéj.

(XVII w.)

Illmie ac Rndme Dne!

Quis mihi dabit pennas columbae, ut vobiscum sim et loquar. Bo listy, prawie listy, wiatr je rozwieje, a też już na nie nie odpisują. Strony tego ożenienia Collegiatów z Jezuitami, dobrzeby je zawiesić do słusznego czasu, wszakoż to nie ostateczny Synod, a też milczaną obrócić może jako chce, jako owo czynią w Rzymie, a z xiąg rzeczy dobywać trudno i nie miło. Niewadziłoby się przypatrzyć i ludziom i rzeczy. Widzę ja, że tu oni wielkie aedificium u S. Szczepana budują, acz ja to wiem na co. Powiedział mi rzemieślnik, żeby tego za kilka lat nie zbudował, jakoż jednak gdzieby mieli w Collegium czytać, musieliby mieć gniazdo, w którym mieszkając się i żywiąc się, tamby chodzili, czegoby bez osobnéj szkoły niezwykli czynić, ani mogą. Bo niechcianoć przedtym jeno S. Barbary, a już tèraz i na S. Szczepana mało, poczekajmy onego wielkiego rerum interpretem, czasu, i do czego się rzeczy powiodą. Jabym ci wierę nie rad widział dwie szkół w Krakowie, juxta illud: qui binos lepores una sectatur in hora, uno quandoque, et quandoque carebit utroque. Wszak też

indzie Collegia swoich mają dosyć, est ubi facultates exerceant suas. Atoli i ci za dziesi 9 grzywien, jako powiada Satyr Kochanowskiego, dosyć wymyślają, neque nos unquam penituit loci istius. Nad którym ja jednak widzę quandam benedictionem Dei, że przecie non desunt viri, qui teneant locum, bez myta statecznego, ba wierę i bez chleba. Et fuit aliquando Regnum hoc solo loco contentum. Ale dobrze żeby było siła operarios z obudwu stron godnych i dobrych. Tak jest jedno quisquis in statione sua, by za się, mając walczyć przeciwko nieprzyjacielowi, z sobą się nie wadzili. Dziwne to zwierzęta Philosophowie, trzeba je w rozworach chować, tak, żebym rad Jezuity do kościoła, a żaki do szkoły pognał. Nietylko tu u nas, ale i wszędzie, bo inaczéj ani nauki, ani też podobno pietas do swéj perfectiej nie przyjdzie. Ale ja to lepszemu baczeniu {W. M. poruczam. Łasce się W. M. pilnie zalecam.

(z Rękopismu współczesnego.)

IV.

Stanislaus Miński surdus, Nicolao Simeoni Samborzecki coeco S. P. D.

(XVII s.)

Si non vides, bene est, ego quoque nihil audio. Cieszyłem się w tym przypadku uszu moich, żem tego niemiall słyszeć, kiedy mi się kto

długu upominałł. Przyczymeś mię WM. widzę niechciałł zostawić. Bo skoruczkom za myasto wyjachałł zarazemeś WM. chciałł wziąc w tysiącu złł. kamienice moje która przynajmniej dla tego że była quondam domicilium sławnego Rayce Krakowskiego pana Erazmusa Czeczotki, godna była więtszego uszanowania, więc i ludzi nie trzeba było trwożyć, bo już będą rozumieć że sądny dzień niedaleko, kiedy ślepi na głuchę następują, czego nie tak zwyczaj Chrześciański uczy i on niezwykł pogański — si fueris caecus, ne dic convitia surdo, atolim za ten tysiąc złł. kazałł dom zapłacić, z którego proszę abyś WM. kwitował mnie zaraz, a też gdzie najbliżéj w Grodzie począł, ma się podobno tymże cyceronem skończyć, jeśli się to spolnym będzie przyjaciołom zdało, znowu sobie zwykłą, przyjaźń przypowiedzieć możem. Si vales bene est, ego te amo, tua tueor abste amari dolo: vale et abi.

(z *Rękopismu współczesnego*).

V.

Uniwersał Hetmana Żołkiewskiego, przeciwko partyzantowi Poniatowskiemu. a)

(1608.)

Stanisław Żołkiewski Hetman.

Mniemam wiadomo jest WM. jako niejaki poniatowski zebrawszy niemało ludzi swowolnych, nie będąc ni od kogo w służbie zaciągniony, większą część korony począwszy od granic pruskich, aż tu do naszych krajów splundrował, zacne Senatory i miasta J. K. M. duchowne i świeckie, z tą kupą poszacował i deputował, gwałty białymgłowom uczciwym poczynił i inszych wiele rzeczy złych przykładem szkodliwym bardzo, gorszym już niż Nalewajkowski zaciążeniem ludzi ubogich, wśród spokojnych krajów coronnych narobił. Nakoniec będąc odemnie napomniony, aby się rozjachali i tych złych rzeczy zaniechali, miasto tego teraz pod Jarmark Lubelski do Lublina z rozpuszczonemi chorągwiami obyczajem nie polskim, przyciągnąwszy, kupce złupił i podarł tak że już Commertia ustać muszą i korona zaniechaniem kupiectw i handlu do wielkiego niedostatku przyjdzie i daléj patrząc na te jego tak

a) Szczegóły dotąd niewiadome, do historyi Zygmunta III. P. R.

szkodliwe postępki trudno inaczéj rozumieć jedno iż zacząwszy to swe towarzystwo łupem gwałty, impane poczynionemi na tym nie staną, ale do jakiego szkodliwego i niebezpieczniejszego Riptej zatrudnienia udadzą się. Ostrzegając się tedy abyście WM. o miłosierdzie tych swowolnych w domiech swych z zdrowiem i majętnościami swemi nie dostawali i daléj aby się to złe nie szerzyło mając rozkazanie J. K. M. przychodzi mi dla pohamowania tego swowoleństwa ruszyć wojsko J. K. M. i przeciwko nim tanquam hostes patriae, którzy ani na powinność swą, ani na prawo pospolite względu nie mają czynić. WM. tedy do wiadomości przywiodłszy proszę, abyście się WM. do wojska J. K. M. kędy się WM. o mnie dowiecie kupili i społem ze mną, uspokojeniu ojczyzny i niebezpieczeństwu swemu zabiegając zaniedbywać nie raczyli. O czym wydane też są uniwersały J. K. M, do grodow, z których się WM. i z publikatij ich strony sprawić będziecie raczyli. Nie wątpię że WM. poczuwszy się w tym niebezpieczeństwie, w jakim od tych swowolnikow sąście WM. bo nie tu ich swowola stanie jeśli się jéj nie zabieży, pójdzie to złe daléj, będziecie WM. chcieli dobrego się przyczynić, a niedopuszczać temu swowoleństwu ojczyzny swéj niszczyć, wstydy uczciwych białychgłów gwałcić i rozbojów jawnych czynić.

Z tym służby nie zalecam w łaskę WM. WM. w Nudachowie. 4. martii 1608 r.

VI.

Uniwersał Poniatowskiego.

My Ludwik Poniatowski Pułkownik, Towarzystwo i wszystko Rycerstwo, komu to wiedzieć należy, a zwłaszcza JW. I.MM.PP. Duchownym, wojewodom, starostom, podstarościm, urzędomże i innym obywatelom wiadomo czyniemy tym naszym skriptem, iż my z koła naszego Rycerskiego zezwoliwszy się wysłaliśmy towarzystwo swe do Łowicza i kluczów do niego należących, także i do inszych miast i dóbr tak królewskich jako i duchownych dla statiej i dociągania żywności na wojsko nasze, przeto WM. swych MM.PP. prosimy aby ich jako ludzi rycerskich poszanowawszy onym jako od nas in comissis mają dostanowienia, aby im wiara była we wszystkiem dana. Na co dla lepszego upewnienia daliśmy im ten list (gdyż się siła najduje takich, którzy pod pretextem naszym wybierają stacią) z pieczęcią i podpisem rąk naszych. W Kamieńcu d. 11 Januarij r. 1608.

Ludwik Poniatowski. Maciej Dębiński.
Andrzej Kotuski. Maciej Bodzanowski.
Paweł Krasicki. Wojciech Brzecicki.
Wojciech Pawłowski. Florjan Gorecki.

(*z Rękopismu współczesnego.*)

II.

LITERATURA.

JAKÓB KWIETKIEWICZ.

Wyjątek z niewydanych tomów Romansu E. Tarszy pod tyt: STANNICA HULAJ POLSKA.

Późniejszy strażnik Sieniuchy Jakób Kwietkiewicz, urodził się w téjże wsi co i ostatni Koszowy Zaporoża. Była to jedna z wiosek Humańskich i nawet w przechodzie, Zaporożak ukazał Jerzemu na kręty łańcuch jarów, który mierzchnąc i siniejąc szedł do leżącéj na boku, a nikły strumyk wody który się na dnie jaru sączył, o dwie mil daléj tworzył staw szeroki na samym sródku sioła. Więzień poprosił żeby mu wolno było zejść do strumienia, napił się naczerpanéj w dłonie wody i rzekł z przekleństwem, że dawno już nie pił tak chłodnéj i tak dobréj: taka była jedyna oznaka jego przywiązania do rodzinnego miejsca.

Otoż w wiosce co w tych jarach leżała, spędzili razem prawie niemowlące lata, dwaj późniejsi zaklęci wrogi; ale kozak u rodziców choć ubogich, szlachcic w sieroctwie i na łasce serc litościwych. Te wszakże serca litościwe, które mu nie dały umrzeć z głodu i zajedzionym zostać od robactwa, nie unikały bynajmniéj napoić go każdego dnia łzami i nakarmić krzywdą, jako odziomek cudzego i nie lubi onego rodu, bo mały Jakow był synem zubożałéj slachty, czyli jak we wsi mówiono *banitów*. Rodzice umarli najpewniéj z nędzy i zostawili cztéroletnie dziécię na łup takiejże saméj głodnéj śmierci; wszelako dożyło ono jakoś do lat dwunastu; walając się po ulicach i po przyzbach chat, początkowo karmione miłosierdziem gospodyń, potém za przyrostem sił i wieku, przemocą, kiedy ujrzał u słabszego od siebie chłopczyka bublik albo warenik w zasmolonych ręku: albo przemysłem kiedy bliźniuki z obiadem czekały w ściernisku na kończącego wiązać snopy żniwiarza lub żniwiarkę. Wszelako najzwyczajniejszy kawałek chleba znajdował *Laszek Sierota* (tak go nazywano) u rodziców młodego Dżułajenka, z którym był jednego wieku; matka tego chłopca, który potém zasłynął na Zaporożu pod nazwiskiem Sydora Białego, przyrzekła umierającéj matce piérwszego, że go nieopuści. Pamiętała więc o tém ile jéj pozwalało ubóstwo i

co soboty przynajmniéj brała go do siebie z ulicy, żeby wymyć i uczesać. Dla tego dwaj malce rośli z sobą prawie razem i w kłótniach z drugiemi dziećmi stali jeden za drugiego. Obydwa chłopce mogli mieć po lat dwanaście, kiedy za szlachcicem odezwali się jego krewni, wynaleźli go i wzięli do siebie dokądś w głębszą polszczę. Takim sposobem niespodzianie zniknął ze wsi, w któréj się urodził, bez niczyjego żalu, a nawet z niewielkiém zmartwieniem nierozdzielnego z sobą Dżułajenka.

Już o nim zapomnieli, i rowieśnicy jego po śmierci ojców albo po odejściu w dziady, zostali sami młodymi gospodarzami wioski, kiedy znowu się pojawił. Tą razą przyjechał żołnierzem, z wielkim brzękiem i dzwiękiem; na dawnych znajomych patrzył z wysoka, nie poznawał tych na czyich śmieciach się grzebał, jednakże dla dawnego przyjaciela okazał dawną przychylnosć, wprost do niego przyjechał; może rad był dać mu poznać zmianę, jaka w jego losie zaszła, bo też i przyjazdu do téj wioski zdaje się innéj nie miał przyczyny, jak pochlubić się nową okazałością, niepodobną do stanu w jakim zeszły jego lata dziecinne.

Dżułajeńko przyjął go serdecznie, pyszny był z fortuny przyjaciela; wdzięczny że do niego się przyznawał; kilka dni z rzędu pili i hulali, najmowali muzyki i chodzili z niemi po ulicach;

bili kto nie zdejmował przed nimi czapki, tak że dobrzy ludzie wyglądać zaczęli, kiedy od nich ta się bieda odczepi. Widząc pustą chatę przyjaciela, bo już go ojciec i matka odumarli, pytał P. Kwietkiewicz (tak już się wtedy nażywał) Dżułajeńka, czemu się nie żeni? Przyznał mu się ten wtedy, że poswatał najpiękniejszą i najbogatszą dziewczynę w wiosce, która jako piękna i bogata, długo już z nim dziwaczy, ale musi się na tém skończyć że jego żoną zostanie. Nazwał wtedy swą ulubioną, a hulaka Laszek przypomniał że ją widział dziecięciem, zażądał żeby pójść do niéj z przyjacielem, a Dżułajeńko (choć mu wieszcze serce cóś odradzało) obiecał mu i obietnicy dotrzymał.

—,,Byłem wtedy, opowiadał sam koszowy, młody i głupi, utopiłem serce w czarnych oczach i białém liczku krasawicy, tak że czarne tylko oczy i białe jéj liczko na całym Bożym świecie widziałem. Prawda, była hoża dziewucha, wysoka i smukła jak trzcina, rumiana jak kalinowa jagoda, usta jak rozkrajany kawon czerwony, ząbki jak perły na jataganie tureckim, to tylko źle było, że wiedziała do siebie, że jest tak urodziwa. Nie raz kiedy pójdzie zrana po wodę, to już koromysła cedrowe włoży na plecy, a jeszcze stoi pochylona nad krynicą i przygląda się swemu obrazowi widnemu w czystym stoku, przy świetle jasnego porannego nieba,

Inną razą zajrzę bywało w okienko jéj świetlicy kiedy niema nikogo, stoi przed ścianą, przed zwierciadełkiem oblepionćm w papier czerwony uśmiecha się do siebie, wygina na wszystkie strony, jak gdyby chciała zobaczyć czarne swoje kosy, spływające po plecach, aż rozradowana swoją niedorównaną krasą, weźmie się pod boczki i zacznie tańczyć po izbie przyspiewując na swoją własną pochwałę. Ja głupi stoję także wtedy bywało sam nie pamiętam jak długo, a nalubować się jéj nie mogę. Długo jeszcze tyle i mojego było, co się na nią ukradkiem napatrzę, to przemówię, to mnie wyśmieje, pożartuję to połaje, przysunę się to i białą rączką palnie — „*het*, *otczepysia*!“ Włóczyłem się za nią jak pajęczyna za wiatrem, a ona odemnie jak woda od brzegu uciekała. Wyrzucała mnie że ona bogata, a ja ubogi, ona piękna, a ja brzydki, ona biała i delikatna, a ja jak niedźwiedź szorstki i nieobrótny, ja jednakże nie rzucałem się jéj, bo myślałem że wtedy i duch mój ciało opuści. A że nareście miłością i pokorą, prośbą i odgrażaniem, staraniem ludzi i swoim uporem przywiodłem, że się zaczęło po mojemu składać, i wtedy kiedy Lach przeklęty dobił do naszego brzegu, już moja Jaryna dała mnie ręczniki, a choć odwlekała wesele, nie mogła ze mną zerwać bez wstydu dla siebie i obrazy swoich i moich krewnych.“

W takich był stosunkach z swą narzeczoną młody kozak, kiedy przyprowadził do niéj na wieczornicę swego przyjaciela. Powiadał że był wtedy napiły, bo bez tego nie dałby się był mu namówić. Jakkolwiek jednak był napiły, postrzegł, że pan Kwietkiewicz osłupiał na widok pięknéj i zalotnéj Jaryny, a chociaż u niego samego tyle było urody (tak się wyrażał zazdrośny kozak) ile u djabła, kiedy ubłocony z trzęsawiska wyłazi, wszelako śmiałość młodego szlachcica, przekonanie o swojéj wyższości, wdzięk żołnierskiego stroju, a szczególniéj pochlebstwo, którém trafiał do dumy młodéj krasawicy, zdawały się korzystnie za nim przemawiać. Lach, miał pieniądze, pokazywał że je ma i że ich nie skąpi; jak tylko Jaryna pozwoliła, posłał za muzykantami; przyszli skrzypaki i cymbaliści, zeszły się dziewczęta, zaczęły się tańce i zabawa. Lach wykręcał ze wszystkiemi a najlepiéj z Jaryną, dawał dziewczętom podarki a najpiękniejsze Jarynie. Jaryna była najweselsza z hojnym i wesołym żołnierzem, najzimniejsza z swym narzeczonym, który wytrzezwiał z zazdrości i całą noc dusząc się tłumioną wściekłością, powrócił już do świtu z swym przyjacielem z nieszczęśnéj pohulanki.

Nazajutrz nic nie wymawiał Dżułajeńko Kwietkiewiczowi, lecz kiedy wieczorem ten mu przełożył, żeby znowu pójść do narzeczo-

néj, kozak spuścił czoło na dół i powiedział ponuro, że nie chce. Lach sam wspomniał o zazdrości, lecz się zaklinał, że nie było do niéj powodu, ażeby rozwiać smutek, który go naszedł, powiódł z sobą do karczmy; pili tam do północy i chytry żołnierz upoiwszy na śmierć zazdrośnego kochanka, poszedł znowu wyprawiać huczną wieczornicę u Jaryny. Dowiedział się o tém, dopióro nazajutrz kozak, lecz wtedy powiedział mu Kwietkiewicz, że on się zakochał nie w Jarynie, ale w jéj siostrze i że dla niéj to chodził; ażeby go o tém przekonać, namówił żeby poszli razem na trzeci wieczór. Wprawdzie dwie siostry razem mieszkały; Makryna także była ładna jak i jéj o kilka lat starsza siostra; poszedł więc i niedowierzający i chcący zarazem uwierzyć kozak i w istocie Lach ani się przyznawał do Jaryny, tańczył z jéj siostrą, rzucał pieniędzmi na muzykę i trunki, wszystkie dziewczęta zarówno śmieszył i zachęcał do tańca, umyślnie unikając spójrzeć na narzeczoną przyjaciela, jak gdyby dla tego, żeby go zupełniéj uspokoić. Mało jednak skorzystał na tém zakochany Dżułajeńko; bo choć Jaryna nie zajmowała się wyłącznie jak pierwszą razą nowo przybyłym żołnierzem, ale dla niego była po dawnemu zimna i nieprzystępna, i nie podarowała ani słówkiem ani spójrzeniem.

Ubijał smutek nieszczęśliwego Kozaka, cho-

ciaż teraz nie mógł obwiniać o nic swego przyjaciela. Ten co wieczor sprawiał hulanki w domie Jaryny, ale do niéj się nie przybliżał i rzadko kiedy wymienił słowo; zaczynali jednak przebąkiwać ludzie, że oni się widują gdzie indziéj, o innéj porze. Dżułajeńko postanowił położyć koniec swoim troskom i utrapieniom, upominając się u Jaryny, ażeby naznaczyła dzień ślubu, jak to między narzeczonemi się dzieje. Chcąc wybadać prawdziwe myśli Kwietkiewicza, spytał się o jego radę w téj mierze. Lach pochwalił zamysł, powiedział że z nim pójdzie do Jaryny, namawiać ją i upamiętywać, gdyby się okazała uporną. Zrobili jak ułożyli. Poszli więc zrana, a na oświadczenie Dżułajeńka, zbladła jak śmierć rumiana dziewczyna, spójrzała na pana Kwietkiewicza, służącego w téj chwili za bojarzyna swemu przyjacielowi. Młody kozak uczuł także, że mu w oczekiwaniu odpowiedzi krew podeszła pod serce, a oczy ziemi nie widziały w téj chwili, nie dostrzegł więc jak się Lach nachylił i szepnął cóś do ucha dziewczynie; powróciła ona natychmiast do przytomności, i rzekła do swego narzeczonego, żeby jutro przyszedł do niéj o téj porze, że na ten czas sprosi swoich krewnych i w ich przytomności da mu odpowiedź, a jak się spodziewa, naznaczy dzień ślubu. Upadł jéj do nóg szczęśliwy kochanek; nie bez trudności podniósł go przyja-

ciel i odprowadził do domu szalonego z radości jak nie dawno był ze smutku.

Na czas naznaczony stawili się obaj przyjaciele. Chata dwóch siostr napełniona była ich krewnemi; gospodarze w czapkach i gospodynie w rozpuszczonych namitkach siedzieli za stołem, dziewczęta otaczały Jarynę stojącą u okna, rzekłbyś że zbiegły się ratować w razie niebezpieczeństwa towarzyszkę. Pan Kwietkiewicz przy szabli i z kitą u czapki, wszedł przy boku przyjaciela, pokłonił się ludziom, kobiétom, narzeczonéj i w dobranych słowach, ponowił wczorajsze jego żądanie. Odpowiedziała sama Jaryna, że niewolném sobie być rozumie odwlekać dłużéj spełnienie przyrzeczeń, które przyjęła względem swojego narzeczonego, naznacza więc na ślub najbliższą niedzielę „ lecz gdyby " dodała „ na ten dzień nie uprzątnął wszystkich trudności, jakie do cerkiewnego poświęcenia ich małżeństwa mogą się spotkać, wtedy dla wstydu, któryby ztąd na nią spłynął, nigdy już nie pozwoli na połączenie się z nim w innym czasie, a tym samym narzeczony od swoich praw odstąpi, i bez gniewu i żalu do niéj ręczniki jéj powróci. "

Odpowiedź dziewczyny jakkolwiek na pozór przychylna, mogła wszakże mieć najgorsze następności. W tym czasie dla poddanego gminu, uzyskanie ślubu jak ogólnie wszelkich ko-

ścielnych obrzędów, podlegać mogło nieprzewidzianym trudnościom. Skutkiem niedarowanéj niebaczności rządu, zostawione było chciwości, samowolności nie tylko dziedziców ziemskich włości, ale dzierżawiących od nich dochody, a nawet prostych ich sług ekonomicznych, okładać lud rozlicznemi daninami, bezpośredniemi i pośredniemi podatkami. Pomiędzy tymi zdziercami, znajdowali się tak niebaczni, że nie wahali się wynajdywać zbogacenia się, w przedmiotach najświętszych dla uczuć ludu, w religii którą wyznawał. Takim sposobem zadzierżawiano Cerkwie, to jest, pobieranie opłaty od ślubów, chrzcin, pogrzebów, wszelkich dochodów kościelnych, a jakby dla powiększenia miary swawoli rozdrażnienia głębszego, ludu, te dzierżawy oddawano tak samo jak inne artykuły propinacyjne żydom, którzy trzymali u siebie klucze od Cerkwi, dzwony, sprzęty i ubiory do obrzędów potrzebne, i z każdym potrzebującym któréjkolwiek z usług kościelnych, targowali się po mierze jego dostatku, albo swojéj chciwości. Sprawiedliwość zmusza powiedzieć, że działy się podobne bezprawia w Ukrainie, chociaż pod koniec ośmnastego wieku były już one coraz rzadsze; nie były one zapewne ani powszechne, ani prawem publiczném pokryte, wszelako jeden i drugi podobny przykład rozgłosił się po kraju, uważany był za powszechną

krzywdę, za umówiony ucik nieunickiego wyznania i jątrzył najsrożéj serce ludu przeciwko Polakom.

Na nieszczęście, takiemu haraczowi podlegała osada, gdzie żyła wyniosła Jaryna i jéj posłuszny kochanek. Prosty zawiadowca ekonomiczny, człowiek głupi i niepoczciwy, odważył się na to bezprawie, ażeby się czém prędzéj zbogacił, a na poborcę tych bezbożnych dochodów, obrał sobie prawdziwą pijawkę krwi chrześciańskiéj, bogatego żyda, który może jeszcze bardziéj dla nasycenia nienawiści religijnéj i natrząsania się z obrządków chrześciańskich, niż dla zysków, które mu okoliczne zaarendowania szynków zapewniały, podjął się równie nienawistnéj jak niebezpiecznéj dzierżawy. Ledwie więc ucieszył się nasz kochanek, że już mu tylko kilka dni zostaje do spełnienia słodkich swych życzeń, objęły go zarazem smutne niepewności, czyli w tak krótkim czasie potrafi przywieść do ugody żyda, o którym niewiedział jeszcze co od niego zażąda, lubo nie wątpił, że go nie pożałuje, a daj Boże żeby tylko pragnął, co dać będzie mu w stanie.

Odchodzącemu w smutnych dumaniach Dżułajeńce, przyszedł na pomoc przyjaciel. Poradził żeby sam nie jechał do Arendarza, a na niego zdał wyrobienie kwitu, bo z nim jako z Lachem i z żołnierzem nie będzie miał śmiałości

drożyć się zbytecznie i sprzeciwiać. Duch wstąpił w kochanka: w radości swego serca zapomniał o podejrzeniach mianych do Kwietkiewicza, klął się, że całém życiem odsługiwać mu będzie to dobrodziejstwo. Lach skrócił jego rozczulenie, rzekł że nie było czasu, do stracenia, bo rzecz się działa we czwartek o południu, postanowił jechać zaraz do żyda, arendarz bowiem nie mieszkał we wsi, ale o pół mili ukraińskiéj od niéj na trakcie, w miejscu gdzie kilka dróg się schodziło i dochodny punkt stanowiło, a może też ustronne jéj położenie, ługi gęste opodal (bezpieczne przytulisko różnego gatunku ludzi,) wygodniejszém ją zrobiły miejscem jak środek wioski, do wymiany i frymarku różnymi przedmiotami, które mu ci włóczęgi podnosili, do zarznięcia skradzionéj krowy, albo nawet do ukrycia łupów zrabowanego gdziekolwiek dworu.

Pojechał więc Pan Kwietkiewicz do żyda, obiecawszy przyjacielowi, że wieczorem a najdaléj nazajutrz rano powróci. Kozak miał rozliczne zatrudnienia przed tak ważną dla niego niedzielą, i oddał się takowym, i do wieczora niemyślał o Kwietkiewiczu; kiedy jednakże nie wrócił na noc, różne myśli zaczęły mu przechodzić przez głowę. — Zrana nie było go jeszcze, do południa nie powrócił Kwietkiewicz, niespokojność go objęła, nie mógł wytrzymać na jednèm miejscu, ale pod czas kiedy się wahał,

godziny płynęły, już było ku wieczorowi,—wybiegł za wieś: poseł jego powracał, ale bez żadnego pospiechu. •Lach zdawał się smutny na twarzy, spotkał przyjaciela ze złemi nowinami; żyda nie było, czekał go napróżro w karczmie. Przeklął w duchu Dżułajeńko nieszczęsnego wyręczyciela, onby był za żydem pojechał, wynalazłby go chociaż pod ziemią, a ten opój przez dwa dni pił zapewne na jednèm miejscu. Był to piątek. Żyd musi na szabas wrócić do domu, niemówiąc już ani słowa kozak pospieszył do karczmy;' Kwietkiewicz mu nie odradzał a sam powrócił do wsi.

Zamierało serce w kozaku żeby nie opóźnił się przed nocą, bo wiedział że przez dobę nie zechce z nim gadać pobożny żydowin. Szedł spiesznie, lecz słońce spieszniéj chyliło się ku zachodowi, poglądał na nie i klął; zdawało mu się, że leniwe zawsze słońce biegnie teraz widocznie po śliskiém niebie. Zaszło nareście czerwieniejąc za piaszczystemi wzgórkami, ale już i karczmę widać było. Puścił się biedz, dopadł nareście wrót; w téj chwili świeczki szabasowych lichtarzów zabłysły przez potłuczone okna karczemne. Stracił więc wszelką nadzieję, ponuro wszedł do izby, i jak przewidywał, stojący przed stołem arendarz, w śmiertelnéj koszuli, z dziesięciorgiem przykazania na czole, dał mu znak poważném ręki skinieniem żeby milczał, kiedy

o interessie za którym przyszedł chciał przemówić.

Wyszedł na podwórze kozak i rzucił się naziemię pełen rospaczy, przez całą sobotę nie jadł i nie pił z troski serdecznéj, wyglądając tylko końca tego dnia nieznosnego. Słońce lazło jeszcze powolniéj jak zawsze, zleniwiało może po wczorajszym biegu. „Patrzyłem, mówił koszowy, za gwiazdami na niebie z takiém upragnieniem, jak ci nieczyści wróżbici na Tureczczyznie, co się do nich modlą i ich mocą wyrabiają dziwy.“ Zabłysły nakoniec, zejściem swojém oznaczając koniec szabasu; żydzi odprawiali przecie swoje modlitwy i arendarz sadzając kozaka za stół, powiedział że gotów był słuchać jego żądania. Bądź jednakże dla tego, że przezorny żyd, zmiarkował po niecierpliwości Dżułajeńka, jak bardzo chodzi mu o skutek interessu w jakowym przyszedł, bądź inne tajne miał do tego powody, okazał się tą razą jeszcze trudniejszym jak zwyczajnie. Cenę za kwit na ślub położył tak wysoką, że kozak aż porwał się z za stołu i schwycił za głowę. Gdyby wszystko co miał spieniężył do ostatniéj na sobie koszuli, nie wyniosłoby to jeszcze całéj téj summy. Napróżno oddawał chciwemu żydowi cały swój dobytek, woły i krowy, a resztę obowiązywał się oddać mu po ślubie, albo odsługiwać do ostatniego grosza; żyd słuchać nie

chciał; żądał nie fantów ale gotowizny i to natychmiast. Nieszczęśliwy człowiek napłakawszy się i naprosiwszy napróżno, stracił cierpliwość, zaczął się kłócić i odgrażać. Żydzi zbiegłszy się całą rodziną, wzięli go za plecy i wypchnęli z izby.

Powracał do domu Dżułajeńko z rospaczą w duszy — „Gdybym, mówił sam do siebie, wiedział o cenie podłego żyda, przed dwóma dniami, poszedłbym na rozbój i zdobył pieniędzy; zaprzedałbym duszę djabłu i dostał pieniędzy; teraz marnie przyjdzie się zgubić ze świata" Myślał więc czy się powiesić, czy utopić, i w tych wesołych rozwagach dobrnął do domu. Kwietkiewicza nie było w chacie, hulał jak zwyczajnie u dwóch siostr. Kozak pomyślał, czy on co rozrzuca pieniędzmi, nie zaratuje go w złym razie, czekał więc jego powrótu z ostatkiem nadziei. Przyszedł dopiéro z dniem białym, lecz na prośbę przyjaciela wytrząsł próżną kalitę i oświadczył że ostatni grosz przehulawszy, zamyśla powrócić do chorągwi pod którą służy. Dodawał jednak dobréj myśli kozakowi, obiecywał mu że Jaryna odstąpić może od warunku i poczeka do następnéj niedzieli, a w ciągu tego poradzą sobie jakoś z dzierżawcą Kluczów cerkiewnych. Radził mu żeby szli do niéj, bo już była umówiona pora. Poszli, ale kozak w głębi duszy niczego się niespodziewał. Chata dwóch

siostr wyględała świątecznie, — krewni i sąsiedzi się zeszli. Panna młoda ubrana była do ślubu; niechcąc się domyślać złéj nowiny, z którą przychodził jéj narzeczony, a którą łatwo było wyczytać z jego smutnego czoła, odezwała się owszem do niego z uśmiechém, że gotowa iść z nim do cerkwi. Musiał więc nieszczęśliwy kozak w obec wszystkich, wyjąkać swoję złę dolę. Udała dziewczyna że doznaje wielkiego wstydu i żalu, zakryła oczy rękoma i przez łzy się odezwała, że ten co ją w tak wielką uwiódł sromotę, powinien ją nazawsze opuścić, i że nigdy nie pójdzie za człowieka, co w obec ludzi przyznał się że jest hołysz i nie ma czém ślubu z nią zapłacić. Napróżno przytomni krewni miarkowali jéj boleść, napróżno namawiali ją ażeby z swoim kochankiem udała się do cudzéj wsi, gdzie cerkwie nie są w drzierżawach, i gdzie dziś jeszcze nic jéj nie przeszkodzi wziąć ślubu; odpowiedziała z gniewem dziewczyna, że nie będzie po cudzych stronach szukać zamężcia i jak zbieg pokryjomu stawać u ołtarza, narzekała że ci, co jéj tę radę dają, ubliżają jéj sierocie i uczciwym jéj rodzicom śpiącym w grobie, równie jak ten niegodziwiec, co ją tego sromu nabawił. Daléj za płaczem i narzekaniem słowa do siebie przemówić nie dała.

Straciwszy takim sposobem wszelką nadzieję kochanek, wpadł w przystęp najgwałtowniej-

széj rospaczy. „Musiał zgadnąć Lach przeklęty, opowiadał temi słowy koszowy, że dusza moja nie zaspokoi się, aż zgładzę kogoś ze świata i że jego samego już blizki byłem poświęcić mojéj wściekłości, bo podsunął mi sam na kogo ją wywrzeć.“ Kwietkiewicz wspomniał mu arendarza i wystawił że on to był sprawcą całego nieszczęścia. Kozak zakipiał zemstą. Odeszli na stronę i ułożyli pomiędzy sobą sprawę mordu. Kozak mówił, że oddawna zamyślał, gdyby go dłużéj durzyła Jaryna, porzucić wszystko i pójść na Zaporoże „lecz teraz, mówił zgrzytając zębami, muszę pierwéj wybawić lud Chrześciański od nieczystéj gadziny, która mu się koło samego serca obwiła.“ Kwietkiewicz utrwalał go w tym zamyśle i obiecał mu dopomódz. Obydwa wiedzieli a przynajmniéj domyślali się na pewno, że żydowin nie omieszka wyjechać w nocy na jarmak, przypadający w poniedziałek, do blizkiego miasteczka. Umyślili zrobić na niego zasadzkę na drodze wiodącéj przez puste wydany piasczyste otaczające karczmę; tylko ponieważ pan Kwietkiewicz nie myślał uciekać na Zaporoże, wypadało mu uniknąć pozorów i starać się żeby nikt go już więcéj nie widział dnia tego z Dżułajeńkiem. Rozstali się więc z sobą natychmiast, naznaczając za miejsce schadzki wzgórki piasczyste i za porę wschód miesiąca.

Kozak był zawczasu na swojém stanowisku.

Karczma jak już rzekliśmy stała na zbiegu dróg, ale w odludném miejscu; z powodu tylko zatrzymujących się ciągle przy niéj podróżnych, sama przez się stanowiła punkt ludny, przeto była bezpieczną dla mieszkańców swoich; wieczorem także zbierali się w niéj różni podejrzani ludzie, ukrywający się przez dzień, a w nocy szukający w niéj żywności i trunku, a żyd przebiegły, który z nich ciągnął korzyść, nie pytał co byli, a z wielą nawet miał ściślejsze porozumienie. Tymczasem okolica téj karczmy była istotny wertep; w dole ługi olchą zarosłe, wyżéj bezśledna pustynia z przenośnych piasków. W tych odludnych miejscach odpowiednich dzikiemu usposobieniu jego umysłu, leżał lub błądził cały dzień kozak gotując się na pierwszy mord, który miał w życiu popełnić. Z dziką radością lubo nie bez lekkiego strachu, postrzegł że zaczyna już ciemnieć w okolicznych parowach od wieczornego zmierzchu; potém noc nastała, potém miesiąc krwawy wytoczył się powoli nad gęste ługi ze wschodniéj strony—podniósł się wyżéj, przygasił twarz płomienną, pomniejszał, pobladł i spójrzał po piasczystéj naokoło pustyni. Dżułajeńko przypomniał, że to chwila w którą połączyć się z nim obiecał Kwietkiewicz. Nie było go dotąd. Pomyślał czy nie mylił sięwzględem miejsca gdzie się umówili spotkać. Nie, to był istotnie najwyższy pagórek

piaskowy, około którego przechodzić musiała droga z karczmy do miasteczka. Trzeba było zaczekać. Lach wiedział dobrze, że żydzi przed wschodem miesiąca nie puszczają się w drogę, a nawet czekać może będą zarania. Ułożył się zasnąć pod wzgórkiem, lecz go sen nie brał. Dziwiło go czemu nie ma wspólnika zamierzonéj zbrodni. Wstąpił na wierzch pagórka, spójrzał naokoło; nikt nie spieszył w to miejsce. Noc tymczasem zrobiła się widniéjszą od dnia ladajakiego, miesiąc świecił jasno i zdawał się odbijać światło od białych przestworów piasczystych; wydmy te okoliczne wyglądały jak fale zastygłe morza, lekki cień znaczył wklęsłość dolin, a blask żywszy łyse czoła pagórków. Wśród piasków w dali czerniała się karczma. Kozak widział ją jak na dłoni; światła nawet z okień migały dość wyraźnie i znać było po cieniu ile razy drzwi się otwarły i kto z nich wyszedł, i policzyć było można każdą ciemną postać, która ciągnęła do karczmy z ługów, albo do nich powracała. Noc jednak upływała a nikt z tamtąd nie puszczał się w drogę; czyhający zbójca zaczął się obawiać żeby mu nie uszły z rąk jego ofiary i wytężał wzrok w tę stronę jak pająk czatujący na zjawienie się owadu. Kiedy się zrobiło późno, rzadkie postacie przestały przychodzić i odchodzić z szynku; karczma zdało się zasnęła na chwilę; ale w porze letniéj noc póź-

no zetknęła się ze wczesnem zaraniem. Z jednéj strony miesiąc zaczął się schylać, lecz z drugiéj zabłysła zorza poranna i zabieliło się niebo. Do tego światła ujrzał bezsenny wartownik, że ludzie krzątali się przy karczmie, pakowali wóz i zaprzęgali konie; kilka osób siadło, na brykę i puścili się w drogę. Widocznie ci to byli na których oczekiwał. Znać było, że ostróżny arendarz nie śmiał się puszczać w nocy i czekał bezpieczniejszéj chwili świtania. Serce w zbójcy zabiło; oglądnął się jeszcze czy nie było tego, który mu obiecał pomoc w téj sprawie. Nie było nikogo. Miałże ustąpić i wyrzeć się tak długo rojonéj ulgi dla swéj zdziczałéj duszy?.. Niepodobna;—zbyt dużo od doby przeniósł wstydu i zniewagi, żeby dostąpił tych jeszcze, że sam się nie odważy zrobić co wzmowie z drugim ułożył. Że na wozie widział cały ładunek żydów—niewadzi, ufał że ich przemoże, a nie żałował wszystkich pogubić. W takich myślach leżał spokojnie przy drodze aż wóz nadjechał; porwał się wtedy i zatrzymał za cugle leniwo pod piaszczysty wzgórek idące konie. Lękliwi podróżni wydali krzyk przeraźliwy, schwycił się jeden z nich z wozu i zaczął uciekać, ale poznał już kozak wczorajszego nieużytego arendarza, rzucił buławą,—uderzony po nogach upadł z jękiem na ziemię; poskoczył ku niemu zbójca, konie przelękłe uniosły wóz z dziećmi i żydówkami, a żyd dzierżawca

został w ręku swego nieubłaganego wroga. Nie długo męczył się widokiem śmierci; wkrótce leżał w krwi własnéj jak zarznięte bydle.

Nie czuł zbójca więcéj zgryzoty niż gdyby istotnie bydle pozbawił życia, i we dwadzieścia lat późniéj to opowiadając, w przesądzie, że żyd nie ma zupełnie duszy, nie umiera ale zdycha, mówił o tém z największą obojętnością. Ledwie wszakże dokonał tego krwawego czynu, posłyszał że ktoś ku niemu pędzi; poznał konia i jezdną postać pana Kwietkiewicza, nieustraszył się a tylko zdumiał że tak późno przybywa. Został spokojnie słuchając, czy nie dysze jego ofiara, ale tuż za Kwietkiewiczem przyskoczyło także kilku żołnierzy, a wszyscy razem jakby niespodziewanie zobaczywszy trup zabitego żyda, podnieśli krzyk przerażenia i schwytali mordercę. Nie miał Dźułajeńko sposobności ratować się ucieczką, ani czasu wyrzucać zdradę przyjacielowi, który widocznie naprowadził nań żołnierzy, bo pojmanego na uczynku zbrodniczym, oddano zaraz do więzienia.

Proces jego nie był długi; skazano go na szubienicę i dla wykonania wyroku przyprowadzono do wsi z któréj był i gdzie zbrodnię popełnił. Póki trzymano go w turmie nie wiedział o Bożym świecie, nikogo bowiem do niego niedopuszczano; dopiero więc w dniu naznaczonym na karę, zobaczył znowu znajome twarze, po-

między któremi jednak nie postrzegł ani tego który go namówił na zbrodnię i wydał, ani téj za któréj wiadomością i (jak przeczuwał) zgodą to się wszystko dopełniło. Mógł rozpatrywać wygodnie, kiedy go wprowadzono na zbudowane rusztowanie. „Pięknie, nie ma co mówić“ opowiadał późniéj sam Koszowy „pięknie i daleko widać z pomostu pod szubienicą. Nie żałowałem życia, bo wiedziałem że już było po niém, radbym był tylko plunąć w oczy mojemu zdrajcy, a także wyznać trzeba, że serce ludzkie krewkie do ostatka, bo życzyłem żeby ta co ze mną postąpiła tak niewdzięcznie, posłyszała przynajmniéj jak przed samą śmiercią, niezmienionym głosem odezwę się do ludu, że lekko mi śmierć ponosić pomściwszy się jego krzywdy i zniewagi Boskiéj. Podczas jednak, kiedy upatrywałem jéj czarnych warkoczy, między zgromadzoném na placu chrześciaństwem, oczy moje spostrzegły (bo powiedziałem już że dobrze patrzeć z szubienicy) iż w obłoku pyłu kilka powozów ze służbą konną i pieszą zbliżało się do wioski; ale ja wtedy drwiłem już ze wszystkich Lachów i Panów ile ich było na świecie.“ Jednakże musiał przyznać, że przyjazdowi téj kalwakaty winien był ocalenie swoje. Podczas długiéj ceremonii czytania dekretu i przygotowań kary na postrach i zbudowanie pospólstwa, powozy stanęły we wsi; otaczała je poważna as-

systencya nadwornego żołnierza, poznano że to sam dziedzic téj wsi i rozległych naokoło kluczów, zjeżdżał niespodziewanie do dóbr swoich; uderzyło nawzajem przyjezdnego niezwyczajne zgromadzenie ludu, posłał dworzanina wywiedzieć się o przyczynie, a tymczasem postrzegłszy wysokie rusztowanie, kazał się rozstąpić otaczającemu orszakowi i zeszedłszy pomiędzy lud, sam się dowiadywał o nazwisko delinkwenta i jego zbrodnię. Uradowani wieśniacy z téj zręczności przełożenia swoich krzywd panu, opowiadali uciski rządzcy i chciwość dzierżawcy kościelnych posług, i jako wskutek przywiedzenia jednego z mieszkańców do rospaczy, ostatni padł jéj ofiarą. Dowiadywał się ze zgrozą o tém nadużyciu magnat, przewidując jak ważne może pociągnąć wynikłości upewnił lud że koniec mu położy; wypędził natychmiast sromotnie zawiadowcę, a dla ukojenia rozdrażnionych umysłów, obiecał że przebaczenie zabójcy żyda wyjedna. Na rozkaz jego zawieszono exekucyę, a niebawem i samo ułaskawienie wyroku nastąpiło.

Dowiedział się wtedy Dżułajeńko że jego niewinna narzeczona istotnie oddawna z Lachem się oddaliła; zapewne za jego to poradą wynalazłą środek zerwania z nim nieprzyjemnych związków; lecz nieprzestając na tém Judasz, że mu odmówił kochankę, chciał się od je-

go prześladowań zabezpieczyć i dla tego namówił go na zamordowanie żyda, któremu może sam naznaczenie niepomiernéj ceny zalecił. O tém, że czekał ukryty, aż kozak dopełni zbrodnię, nie było prawie wątpliwości, bo jeszcze przed zachodem słońca, widzieli niektórzy ludzie ze wsi, leżących kilku żołnierzy w téj stronie, pod białymi wojskowymi płaszczami; co ;sprawiło, że po miesiącu nie mógł ich rozróżnić od wydmów ruchomego piasku.

—

II.

BIAŁA NA PODLASIU.

Wspomnienia.

Według mnie, nie ma nic naturalniejszego nad chęć poznania i wyśledzenia historyi miejsc, które nas pod jakimkolwiek względem zajmują dzisiaj. Jest to, jak kiedy ukochanego przyjaciela staramy się wiedzieć przeszłość, żeby go znać pełniéj, lepiéj, żeby się wcielić w niego niejako. Gdyby każdy znajomych sobie okolic, starał się poznać szczegółowie choćby niebardzo odległą przeszłość, ale tę któréj szczątki tkwią w niéj jeszcze, gdyby każdy spisywał dzieje takie, złożyłaby się wprędce zajmująca bardzo historya wewnętrznego życia kraju. Niepotrzebaby nie omijać, nic z niéj usuwać, wszystko bez wyboru, co tylko pod najrozmaitszemi względy zająć może, mieścić w ten wielki skład, z którego póź-

niéj nieraz surowszy nawet dziejów pisarz czerpaćby musiał. Tylko że jedni spożywają życie swoje, nie patrząc na to, co je poprzedziło, bez zastanowienia jaki między niemi a ich poprzednikami moralny zachodzi związek i następstwo; całkiem dniem dzisiejszym zajęci, nie poznają, że *dziś* bez *wczoraj* jest bardzo krótkie, krótsze niż *dziś* bez *jutra*, bo *wczoraj* jest naszą własnością i nikt go nam nie wydrze; a *jutro*? któż to wie?

Pozwólcie mi więc z przyzwoitą powagą prawić wam dzieje miasteczka, którego może dotąd i z imienia nieznaliście, o którego istnieniu nie wiecie; nie się nie dziwujcie jego i mojéj pomieszanéj tu historyi, według mnie nawet historya starych butów mogłaby być nauczającą i użyteczną, cóż dopiero miasteczka i człowieka. Taki jest mój sposób myślenia w tym względzie, a że każdy swojego systematu koniecznym być musi exekutorem bądź co bądź, i ja także bez litości nad wami, bez strachu o siebie, zaczynam swoje.

Ach! w téj to Białéj przebyłem ja moje młode lata, w niéj się moja dusza otworzyła na świat, tu poczułem raz pierwszy chętkę do pisania i raz pierwszy wziąłem pióro w rękę! Widzicie teraz dla czego tak kocham Białę i szanuję jéj wspomnienie. Wy, którym moje nieustanne pisanie, może się już nieraz sprzykrzyło

(choć go nie czytacie) nie wiele zapewne będziecie wdzięczni miasteczku; ale ja, ja je kocham ja je szanuję. Mimowolnie w starości czuje każdy przywiązanie jakieś czułe do pierwszéj kochanki (bodaj ta była służącą jego matki) tak ja do tego miejsca, w którém poznałem raz pierwszy roskosz wylania duszy na papier, czuję dotąd, coś nakształt tego przywiązania. Plebania Bialska (pod względem powierzchowności-była oryginałem mojéj plebanii w *Panu Wale*) *rym*, patrząc na nią ukradkiem z okna sali szkolnéj, opisywałem ją na okładkach sexternu jeografii. Cały *Wielki Świat małego miasteczka*, osnuty jest późniéj daleko, w kilkanaście lat, ale na tle wspomnień o Białéj.

Biała jest to miasteczko na Podlasiu, położone na drodze między Brześciem Litewskim a Międzyrzeczem, niegdyś punkt graniczny między Polską a Litwą, a bodaj czy nie na wpół linią graniczną rozcięte. Leży ono wpośród riwnin, lasów i błót, ma ruiny zamku Radziwiłłów, kilka klasztorów, kilka kamienic (których teraz znacznie przybyło), wszystko co zwykle składa stare miasteczko, niegdyś rezydencyonalne możnéj rodziny, potém wyglądające jak futerał od czegoś, pełen pająków i pajęczyny, gdy ożywiający je dwór i dziedzic znikną.

Pięknie się jeszcze za moich czasów (1825, 1827) świecił w Białéj zamek niegdyś obronny,

otoczony wałem, na którym rosły stare lipy, naszych przechadzek wieczornych i śpiewów wesołych świadki i słuchacze. Patrzaliśmy w wyschłe fossy; dumaliśmy o zamczysku na które n jedno wejrzenie, dziś mi maluje całą jego przeszłość i dawniéj jego mury podaniami domyślonemi, usłyszanemi, wydumanemi, zaprzątały głowę chciwą dziejów i wzruszeń, ciekawą powieści i łaknącą ich jak powszedniego chleba.

Ten zamek niegdyś obronny, te wały zarosłe lipami, a wśród nich, w ich wianku późniejszego życia już pałace, officyny, kaplice, groty, malują i przypominają i wieki najazdów, wojen, niepokojów, i wieki przemocy arystokracyi tak nieszczęściem silnéj w ostatnich czasach, która drąc się z sobą i ze szlachtą, dumnie brząkała o szablę, w niéj tylko widząc Kodex prawa dla siebie; — aż póki i szabla i ręka co nią trzęsła nie upadły wproch nazawsze.

Cieniste, stare lipy wałów, ileżeście to dziecinnego życia scen widziały, ileśmy to pod waszemi gałęźmi bajek sobie napletli patrząc w te fossy, w których gdzie niegdzie stęchła i zielona woda, odzywała się do nas głosem tysiąca żab, ostatnich dziedziców zamkowéj okolicy, najgłośniéj podobno i najdłużéj pewnie panujących.

Wchód do zamku strzegła pięćdziesiąt dwu łokciowa wieża i brama ciemna, w któréj wiwatowe stare armaty jeszcze leżały bez nóg, spara-

lizowane i umarłe, zapchane śmieciem i piaskiem. Z téj wieży dzwonił jeszcze ostatni co przeżył wszystkich w zamku — stary zegar, ale dzwonił nie dawnym panom swoim, nie weselu i dostatkom — dzwonił nad głową kajdaniarzy w wieży zamkniętych, dzwonił godziny nędzy, upodlenia, występku, rospaczy. Mój Boże, myślałem nieraz o tém, gdy godzinę uderzał zimno, równo, jednostajnie, tak jak za dawnych czasów bywało, myślałem jak się pod nim ten czas który on mierzył tak równo, odmienił. Dawniéj wesela, uczty, biesiady, albo pacierze pobożnéj staréj xiężnéj; dziś godziny więźniów, godziny stworzeń głupich i występnych. A wszystko jednakowo.

Szczęk łańcuchów tych ludzi, był dla mnie, pomnę, najstraszniejszym dzwiękiem — obawiałem się ich tak bardzo, nieśmiałem spójrzeć na nich, gdy przechodzili ulicą, uciekałem gdym zbliżających się usłyszał.

Zamczyska dziedziniec pusty zarosły był zielem, zamek pusty także, straszliwie pusty, bo wyjąwszy boczną officynę, w któréj mieszkał ktoś jeszcze, wydając się tam jak jaskółka pod dachem, reszta murów była mieszkaniem duchów, bajek, sów, i wróbli. Sale stały ogromne, smutne, puste, zawalone potłuczonemi szkłami okień; ledwie dawnego życia ślady pisały się po murach w otłuczonych gipsach, w których lę-

gły się wróble, w malowanych naddrzwiach. Osobliwością zamku były dwa żebra wielkoluda (w istocie kości wieloryba o których niżéj będzie) i kocioł duży, w którym jak niosło podanie, Radziwiłł któryś kąpał się w winie, a tym winem potém szlachtę sejmikową poił. Pańskie brudy tak jéj jeszcze smakowały!!

Był tam i tradycjonalny zwierciadlany niegdyś pokój, w którym (wedle tych którzy wszystko do ostatecznych konsekwencyi posuwają) miała być też i podłoga zwierciadlana. Zakrawałoby to jednak na facecyą z czasów Ludwika XV, któréj u nas trudno dać wiarę.

Na najwyższym piętrze zamku (ile zapamiętam) w murze był niewielki luft, który przez całą jégo wysokość, aż do podziemnych schodził sklepień, i kończył się studnią. Rzucaliśmy tam kamienie i nastawiali ucha, jak długo obijając się o ściany, padały, padały coraz ciszéj, aż plusnęły w wodę. Były tam i ślady małego teatrzyku na górném piętrze. W ogrodzie objętym wałami (przestrzeń którą one otaczały, była wielka) zarosłym zdziczałemi drzewy, chwasty i kapustą dzisiejszych mieszkańców zamku, była grota z muszli i gipsatur, z któréj tylko to pamiętam, żem w niéj pierwszy raz widział krzyż S. Stanisława trzymany przez aniołów; musiało to być na wieczną pamiątkę kawalerstwa któregoś z ostatnich Radziwiłłów; — wróble na tym wiele

skorzystały, bo zdaje się że dla nich nic w świecie nie ma wygoduejszego na gniazda, nad połamane a do muru przystające gipsatury. Była tam też wśród kapuścianych grządek fontanna bez wody, kaplica bez nabożeństwa i słupy bez parkanu, tak jak zamek bez panów i bez duszy. Jedna część zamczyska za moich się czasów obaliła w nocy, z ogromnym łoskotem — początek putrefakcyi tego trupa, którego godziny i lata wydziobią i pożrą jak krucy i sępy.

Mieszkałem u Rektora Prejssa niedaleko zamku, na przeciw farnego kościoła, w domu pompatycznie zwanym Akademią (była to dawniéj colonia naukowa.) Naprzeciw okien stał murowany słup dawniéj granica Litwy i Polski. W tym to domu na strychu, pierwszy raz rozmiłowałem się w starych xiążkach — i jakimże wypadkiem, tam leżących!!

Uczeni swego czasu professorowie (wyjmuję z ich liczby Adama Bartoszewicza, który pewnie o tém nie wiedział) otrzymawszy do biblioteki dar xiążek wielu starych, wybrali nowsze i lepiéj oprawne, a resztę kazali wyrzucić na strych. Chodziłem tam postrzegłszy to i jakem się bawił przeglądając stare holcsztychy, usiłując zrozumieć co tam było napisano w niepojętych jeszcze dla mnie językach. Już wówczas jakiś węzeł sympatyi łączył mnie z xięgami, czułem na ich widok, to co czuje młodzieniec,

gdy ujrzy przeznaczoną mu od wieka — kochankę. Zdało mi się, żem gdzieś widział to wszystko, żem znał, przypominał sobie, zdało mi się że gdzieś, kiedyś te xiążki czytałem, że nie były mi obce, czułem że nie pierwszą już kocham je miłością. Goethe byłby powiedział z Lejbnitzem, że duchowna moja monada szlachetniejsza część mnie, wyszła świeżo z jakiegoś bibliofila, mnie się to zdaje i zdało prostém tylko przeczuciem przyszłośći, które brało na się postać wspomnienia.

Naprzeciw naszéj Akademii stał jakem powiedział Kościół farny, nie stary jeszcze, ale czarny i posępny, bo brudny, wśród smętarza obmurowanego, otoczonego lipami, na którym jeden tylko kamień grobowy w tyle za kościołem leżał. Czytaliśmy go jeszcze z mchu odzierając, pamiętam że tam były wiersze polskie, że kamień pokrywał doktora czy aptekarza. W kościele żadnych pamiątek.

Ileż to tu odbyło się wesołych festów! biegaliśmy na roraty z papierowemi latarniami drżąc od zimna i chuchając w skosniałe palce śpiewaliśmy *Gorzkie żale* po niedzielnych nieszporach; tuśmy stroili ołtarze na Boże Ciało, to święto tak wesołe, w które trudno się modlić inaczéj jak duszą, bo wszyscy tak strojni, bo dzień tak piękny, tak wesoły, tak zielony i kwiecisty! Ileż tu znowu widzieliśmy ślubów i wesel. Pa-

miętam jedno. — Szła para do ślubu, a z Kościoła szarym zmrokiem nieśli trupa na mogiłki. Spotkało się wesele z pogrzebem w pół smętarza i poszło swoją drogą wesele, swoją drogą pogrzeb, łzy w jedną, nadzieja w drugą stronę. Szeptali wszyscy o złéj przepowiedni — mąż wkrótce potém umarł. I jak było nie wierzyć w tajemnicze przestrogi losu?

Od Fary szła droga szeroka, na lewo rzucając zamek, do klasztoru PP. Miłosierdzia, któren mi jest pamiętny nie jednym smacznym u panny starszéj podwieczorkiem. W drugą stronę od Fary wiodła ulica do rynku, w prawo mniejsza, na któréj wiele mieszkało studentów ku Bernardynom i przedmieściowi Woli. Tu był szpital kościelny, na któren patrzałem nieraz z okien Akademii, ciekawie śledząc wypadki życia ubogich, którego nie pojmowałem spełna, wyobrażając je sobie poetyczną mieszaniną nędzy i dziwów. Tam daléj ku Woli, częstośmy po nad zarosłym trzcinami stawem chodzili na przechadzki. W lewo stał smutny, posępny jak życie mnisze klasztor i kościół Bernardynów. Idąc rynkiem w miasto, ku końcowi jego ukazywała się dziwaczna struktura kościoła xięży Bazyljanów, którego architektem był sławny xiądz Szczurowski, fundator nowego zakonu upadłego podobno i asceta niepospolity. Jest jego drukowana Missya Bialska; a mimo tych wszystkich

dział niewątpliwa, że miał coś nakształt pomięszania. Dowodzi tego poczęści i architektura kościoła z mnóstwem galeryjek, galeryi, wschodów, nisz i t. d. Nad wielkim ołtarzem złożone ciało Błogosławionego Jozafata Kuncewicza.

W rynku miasta była apteka, kramy drewniane, poczta, traktyer i t. d.

Mieszkałem u Rektora w staréj owéj Akademii, o któréj wspomniałem. Dzień nasz schodził na nauce, zabawkach w ogrodzie, trzpiotaniu się, a nareście ukradkowych czytaniach xiążek już pożyczanych, już to tysiącznemi sposoby łapanych na drodze. W rekreacye chodziliśmy na spacery na wały zamkowe, do ogrodu Akademickiego, do Pohulanki na warszawskiéj drodze, rysowaliśmy lub tysiące czyniliśmy doświadczeń fizyczno — chemicznych, do których Gabryelek dopomagał nam dostarczaniem ingredyencyi. Nieraz Bóg wie jakiego stuku i zapachu narobiliśmy naśladując Wezuwiusz w garnuszku. A co tam były za ciekawe experjencye z fizyki xiądza Nolleta z machiną elektryczną i elektroforem naszéj fabryki!!

Ze wspomnień Białéj, nic mi mocniéj w pamięci nie zostało, nad częste miasteczka pożary. Raz pomnę, miasto zaczęło się palić w nocy, zbudził nas głucho odzywający się dzwon Bernardyński, porwaliśmy się z łożek i pobiegli patrzéć. Płomienie świeciły w rynku, czerwony dym pod-

nosił się na czarném niebie i czerwono malowała się w oddali oświecona łuną facyata prosta kościoła Bernardynów, z któréj dzwonek ciągle bił trwogę powoli. Ludzie biegali, krzyczeli, płakali, inni stali ziewając i patrząc, inni wstawać z łóżek lenili się, dowiedziawszy się że pożar daleko, a wiatr w przeciwną stronę. Trwał pożar tak do rana, a zrana żaczęło się miasteczko palić w dwóch i trzech innych miejscach. Wiatr zapewne głównie poroznosił, lecz głucha wieść rozeszła się, że więźniowie z turmy zamkowéj dobywszy się podpalają i będą rabować. Cóż to był za przestrach nas dzieci! — Drugie niemniéj przykre i pamiętne wrażenie zrobiła na mnie śmierć biednéj kobiéty, która nie wiem za co wzięta do turmy, z rospaczy wlazła na topolę nad stawem i z niéj skoczywszy utopiła się. Prowadzono ją cicho, zakrytą, na wozie, widziałem tylko nogi, lecz historya została mi w pamięci.

Zapytacie mnie, dla czego to wszystko spisuję? Przepraszam, przepraszam, zagadałem się niechcący, lecz oto już zaraz i poważna historya nastąpi, chwilkę tylko jeszcze poczekajcie.

Radziwiłłowie, którzy tu mieli zamek rezydencyonalny, pamiętni są jeszcze w podaniach i powieściach gminu, które z ust do ust podawane, przetwarzane, na cudaki porosły. Mówiono że w lochach będących wewnątrz wałów, otaczających zamek, znajdowano kości okutych

w kajdany ludzi w wielkiéj liczbie, dowody ucienięženia, przemocy i ucisku, o które trudno posądzać Radziwiłłów. Lecz — może to tureccy jeńcy, może — występni, a może, może — może zresztą i jacy niepotrzebni xiążętom, zawadzający panowie ślachta. Jeden jakoby z tutejszych dziedziców (mówi podanie miejscowe) więził za cóś ślachcica trzydzieści lat w lochach, aż ślachcicowi długa broda porosła i posiwiała nędzą i niewolą, bo wspominał zagrodę i żonę i dzieci; a wyrwać się nie mógł, a umrzéć nie potrafił.

Nareście przypomniał sobie pan i kazał go wypuścić i do siebie przywołać. Kazano ślachcicowi brodę przez uszanowanie dla xięcia ogolić; — niepozwolił na to, chciał ją mieć jako pamiątkę cierpień, z nią stanął przed panem, stary z młodego, zgrzybiały i drżący. Trzydzieści lat pańskiego życia nie tyle zużyły pana, ile trzydzieści lat więzienia zmęczyły ślachcica. Spójrzał na niego obrażony pan, któremu donieśli zausznicy że brody nie chciał ogolić, przystąpił, wziął brodę w rękę, potrząsł nią i rzekł: — Krótka jeszcze, nie będziesz miał się z czém pokazać.

I kazał go znowu wtrącić do lochów. Tak mówi podanie.

Inny, czy ten sam, bo w powieściach gminu nie ma imion i nazwisk, spotkawszy w drodze żyda, kazał mu wleźć na drzewo i kukać, a gdy

ten spełnił rozkaz, strzelił do niego i zabił jak ptaszka; toż samo opowiadają o Staroście Kaniowskim.

Drugi raz spotkawszy dziegciarza, zapłacił mu za beczkę smoły sowicie i kazał ją wylać na ziemię. Gdy pan odjechał, biedny wyrobnik, jął powoli rozlaną zbierać znów smołę, ale dójrzawszy tego xiąże, wrócił i za chciwość okuciem w tęż samę beczkę ukarał.

Powiadają że w lecie do bliskiego pałacyku, rezydencyi letniéj, gdy się któremu zachciało sannéj, drogę solą wysypywano, aby mógł swéj fantazyi dogodzić. Szaleństwo godne Neronowych czasów i śmiechu. Lecz któż policzy te gadki. Tylko jedna jeszcze.

W Nieświéżu *Panie kochanku* utrzymywał jak wiadomo wojsko i artyleryę. Jednéj nocy, budzi się po jakimś przestraszającym śnie zapewne, woła, krzyczy na ludzi. Zbiegają się kto żyw.

— Wojsko na koń, do broni! artylleryа za miasto! konia! konia!

Ubiera się xiąże, wszyscy spieszą do koni, pan Wojewoda także. Gdy siła zbrojna stanęła gotowa, wyciągają w porządku za miasto. Tu rozkaz dany, — ognia! Strzelają; — strzelają noc całą. Po kilku godzinach dowódzca zbliża się do xięcia z zapytaniem:

— Czy W. X. Mość jeszcze strzelać rozkażesz, nie widać nieprzyjaciela — nikogo, ludzi tylko straszym, a oto dzień już świta.

— Co? już nie ma nikogo! spytał xiąże.

— A ktoż to był? rzekł z cicha dowódzca.

— Chwała Bogu że uciekł — odpowiedział wzdychając Wojewoda. Alboż nie wiecie że ten łotr Celibuk, szatan o jednym oku attakował Nieświéż?

Wiadomo że Pan Wojewoda jak sam nieskończenie pozwalał sobie *polować* (wyraz techniczny) tak też lubił kłamców i gadułów, którzy mu baje pletli. Jeden taki żart wniś o gruby poszedł zakład z xięciem, że mu tak skłamie, iż xiąże uwierzyć nie zechce. Xiąże trzymał zakład, że wszystko uzna prawdą, co ten powie. Rozpoczął dworak opowiadanie najdziwaczniejsze, jako po sznurze kręconym z sieczki, łatając się urywanym od dołu, lazł do nieba, jako tam widział, wiele dziwnych a osobliwych rzeczy. Xiąże śmiał się i potakiwał. Nareście ku końcowi bajki dodał ów dworak:

— Co mnie najbardziéj tam zdziwiło, to żem spotkał prapradziada W. X. Mości, pasącego — świnie.

— Kłamstwo! kłamstwo! zakrzyczał xiąże, tego nigdy żaden Radziwiłł nie robił.

— W. X. M. przegrałeś zakład.

— No, no, z wami tak zawsze! Jeszcze mi obrzydził mego prapradziada!!

Przy zamku Bialskim był niegdyś wspaniały zwierzyniec, o którym Rzączyński *a*) wspomina, że w nim chowano sześćset danieli, niedźwiedzie, dziki, wilki i zające w osobnych dla nich poczynionych zagrodach.

Nie wiem czy nie w zamku także, w Białéj, widział Rzączyński chowaną sławną potworę *b*) dziécię o dwóch głowach, która mu powód dała do zawiązania dysputy, czy to był jeden człowiek, czy dwóch ludzi. Odniósł rozwiązanie do serca, które, pisze, jeśli było podwójne, dwóch było ludzi, bo serce jest źródłem życia. Znać w tém Aristotelesowego ucznia. Tu także widział ten sam naturalista wielki krajowy onyx, misternie obrobiony *c*).

Historya miasteczka nie obfituje w fakta zajmujące, nie zaszły w niém żadne wypadki, nic stanowczego się nie stało dla kraju. Żyło dla siebie i sobie. Nazwisko Białéj bodaj żeby nie miało jakiego związku z nazwaniem owego hetmana litewskiego Jana Białego, po którego córce Kiszka wziął wszystkie majętności, a z nie-

---

a) H. N. 232.

b) *H. Nat. Cur. p.* 352.

c) Caput manulii Turcico cultro apponendi.

mi i Białę, która do Kiszków należała wprzód niż do Radziwiłłów. Jan Biały umarł około r. 1498 *a*).

Odziedziczyli Białę Radziwiłłowie dopiéro po Janie Kiszce z Ciechanowca, kasztelanie wileńskim i wojewodzie brzeskim, sławnym w Polsce protektorze unitariuszów sekty. Tu nawet jego czasu w Białéj była szkoła unitariuszów, w któréj katechistą i nauczycielem był Jan Falconius *b*). O odziedziczeniu tém Białéj przez Radziwiłłów, tak podają niektórzy pisarze, lecz bodaj czy się nie mylą w dacie i okolicznościach, gdyż jenealogie okazują inaczéj.

Jedna z najpierwszych Colonii naukowych, zaszczyconych szumnie tytułami akademii, była Bialska, filja krakowskiéj matki, założona w r. 1628, do któréj professorów i mistrzów sprowadzono z Krakowa. Starowolski pisze, że się to stało za jego czasów *c*). Upadła jednak wkrótce Colonia, a podniesienie jéj X. Fl. Jaroszewicz przypisuje X. Katarzynie z Sobieskich Radziwiłłowéj. W r. 1726 z Synodu dowiadu-

---

a) *Niesiecki. T. II.* 522.

b) Of. *Biblioth. Antitrinitar. p.* 54—82.

c) *Starowol. Ed. Dant.* 1652 *p.* 106 Biała ubi palatium ducum Radivillorum pulcherrimum est, et *nunc* Gymnasium publicum erutum, vocatis ex Acad. Cracov. Magistris et Professoribus in omnibus disciplinis peritis.

jemy się, że *Bialensis Colonia* (tak ją zwano,) mimo odmian, jakim naturalnie z czasem ulegać musiała, trwała jednakże. W r. 1726 czytamy w tymże Synodzie, że professorowie winni byli czynić wyznanie wiary przed biskupem, lub deputatem na to przez niego wysadzonym. Tenże Synod *a*) pisze, że tu był fundusz Radziwiłłowski na pewną liczbę ubogich uczniów *b*).

Różnych czasów powstały tu kościoły. Najdawniejszy farny nie wiadomo przez kogo i kiedy początkowo założony. Odnowić go swym kosztem kazała, wieżami i ołtarzami ozdobiła, xiężna z Sobieskich Katarzyna Radziwiłłowa. Tamże xiąże Karol Stanisław Radziwiłł wymurował kaplicę wspaniałą i nadał fundusz na kilku xięży z obligacią modlitw za dusze zmarłych swych przodków. Tekla Wołłowiczówna żona xięcia Alexandra Ludwika marszałka W. X. L. założyła przy tym kościele kaplicę Różańcową. Trzecią fundował X. Michał Radziwiłł, na ciało S. Wiktora męczennika, które tu, będąc do Rzymu legatem, sprowadził. On przyjmował tu w Białéj Jana Kazimierza z senatem. Nie pa-

a) C. VIII de Scholis et juventute instruenda.

b) Et cum in Bialensi Colonia certus numerus juventutis studiosae, sumptu Coloniae alendae et sustentandae per Fundatores est definitus, ad eum conservandum perillustrem Directorem obligamus.

miętam żadnych tu nagrobków, pisze jednak Niesiecki, że się miał u Fary znajdować nagrobek Zofii de Czeberek Orzeszkowéj Krzysztofa Piekarskiego Podkom. Brześciańskiego żony, zmarłéj około 1640 r.

Za moich czasów wisiały nad drzwiami kości znacznéj wielkości, jakich pełno widuje się wszędzie, a które lud dobrodusznie kośćmi wielkoludów zowie. Takich kości nasz Rzączyński *a*) wiele po wielu miejscach wspomina, w kościele katedralnym Krakowskim, w zamku Marienburskim rękę ogromną, w kościele S. Małgorzaty w Poznaniu ząb potężny, w Gnieźnie w kościele katedralnym, w Trzemesznie, w kościele S. Jana w Warszawie, we Lwowie u S. Jerzego, w Kaliszu, Piotrkowie, Koprywnicy, Gdańsku *b*), w zamku Rynkówce w Prusiech, w aptece Oliwskiéj, w Pelplin u Cystersów, zęby wielkości drugiego palca, podobny ząb znaleziono w Mariampolu w rozbitéj skale; w Leżajsku u Franciszkanów, gdzie jeden zawieszony, a wiele innych odkopano. Zwykle wszędzie z tych szczątków przedpotopowych źwierząt lud układał bajeczki o olbrzymach.

Klasztor i kościół XX. Reformatów założony w r. 1671 pod tytułem P. Maryi Anielskiéj przez

---

a) *H. N. C. p.* 8.
b) *Auct. p.* 13.

X. Katarzynę z Sobieskich Radziwiłłowę (inni chcą *a*) przez Michała Kazimierza na Ołyce i Nieświéżu) i we wszelki opatrzony porządek „według ubóstwa naszego, ale dosyć ozdobnie, pisze historyk zakonu *b*). Poprawę fundacyi i uposażenie większe kościoła przyznają kazania pogrzebowe xiężnie Annie z Sanguszków Radziwiłłowéj, która z Paryża sprowadziła do ołtarzy jednakowe ozdoby.

Kościół XX. Bazylianów, nie wiadomo kto początkowo fundował. Być to musiała przed XVII wiekiem stara cerkiew, do któréj się potém xięża Bazylianie przysiedli, w roku 1690 za fundacyą xięcia Karola Stanisława Radziwiłła approbowaną konstytucya. W r. 1747 jeszcze kościół murowany nie był dokończony; pomagała do wzniesienia poczętych murów xiężna Anna z Sanguszków Radziwiłłowa. Miała nawet podobno postanowienie cały kościół zmurować swym kosztem, ale nie wiadomo z jakich przyczyn, do skutku to nie przyszło. Przyczyniał się do fabryki kościoła xiąże Karol Stanisław kanclerz W. L. mąż jéj.

W tym kościele spoczywa ciało Błogosławionego Józafata Kuncewicza, kanonizowanego przez Urbana VIII. Leżało ono wprzód, nim

---

a) *Niesiecki. T. III.* 837.

b) *X. Fl. Jaroszewicz. Matka SS. f.* 160.

kościół wymurowano, w kaplicy Zamkowéj *a*) do r. 1747 i po tém jeszcze, od czasu jak je z Połocka, w czasie wojen z Rossyą przewieziono na Podlasie. „Będąc w Białéj, (pisze X. Jaroszewicz, którego wyrazy pełne wiary pobożnéj wypisujem) po odprawieniu przed niém Mszy S. otworzone było przez X. Generała Zakonu S. Bazylego, widziałem je memi oczyma, wonią wdzięczną i nadprzyrodzoną z niego wynikającą uczułem. Ciało bynajmniéj i nos nawet nieskażone, ręka prawa (bo lewa słyszę jest w Połocku) tak wolna jak u żywego, da się podnosić, którą ucałowałem. Ubior Biskupa cały jak nowy etc." Zestawują to ciało z ołtarza w dzień Świętego na inny nizki, po prawéj ręce w kościele, gdzie lud je czci i całuje relikwie. Jest powieść, o odkąszonym przez kogoś z całujących rękę, palcu z pierścieniem bogatym, i cudowném odkryciu kradzieży.

Oprócz opustoszałéj dziś kaplicy zamkowéj, jest tu jeszcze kaplica przy klasztorze Panien Miłosierdzia, założona przez tyle razy już wspomnianą Xżnę Katarzynę z Sobieskich Radziwiłłowę, siostrę Jana i żonę Xięcia Michała Kazimierza Wdy Wileńskiego.

Anna z XX. Sanguszków Radziwiłłowa, wyjednała dla téj kaplicy odpust z Rzymu na dzień

a) *X. Flor. Jaroszewicz. Matka SS. f.* 462.

S. Karola; opatrywała ona klasztór, co lat trzy starała się o sprowadzenie siostr Panien z Francyi, pomnożyła fundusze, dała srebrá i apparaty kościelne. Za jéj czasów było panien zakonnych sześć, a sześćdziesiąt sierot. Taż pobożna pani utrzymywała tu jeszcze szpital wdów, których jednym obowiązkiem było, modlić się u XXży Reformatów.

Ulubioną téj pani rezydencyą była Biała. *a*) Tu ona wnuki swoje chowała, jak przypominał im, po śmierci babki, na jéj pogrzebie, X. Jan Teodor Werner. *b*)

—„Przypomnijcie sobie tylko jako przed trzema laty z wami się X. Teofilo i Katarzyno w Białéj cieszyła J. O. Babusia wasza, jako u małego stolika z wami siedząc, potrawki krajała, talerzyki podawała, jak się z wami pieszcząc od radości nie raz łzami zalewała.“

Niezmierne jéj pochwały w kazaniach na pogrzebowych obchodach mianych, rozrzucone, tak są przesadne, że z nich wyobrażenia prawie o charakterze jéj wyciągnąć nie podobna. Taki to jest skutek przesady. Zakazała X. Anna pochwalnych mów na pogrzebie swoim, woli jéj nie tylko że zadość nie uczyniono, lecz zgwałcono najdziwniejszą nadętością. Zacytujem tu

---

a) *Kazanie pogrzebowe. K. odur.*

b) *Kazanie w Uzie. d.* 10 *Sept.* 1747.

z tych mów pochwalnych, niektóre charakterystyczne szczegóły jéj życia; mijając już początki jak zawsze cudowne, chorobę i uzdrowienie łaską i cudem Studzieńskiego obrazu. Wychowywała się X. Anna u babki z Hlebwiczów Sapieżynéj Wdzinéj wileńskiéj, potém oddana do klasztoru Klarysek w Wilnie, do Wizytek w warszawie, przeszła z tamtąd do PP. Sakramentek i wreście na dwór Maryi Kazimiry. Tu ją przyszły mąż poznał, to jest zdaleka zobaczył, bo uważmy jak ją za mąż wydano. ,, Gdy tandem powróciła do babki, pisze jéj biograf, JW. Hetmanowéj, przy któréj już w Słonimie, już w Wilnie rezydowała, w takiéj karności i skromności ze wszelką subjekcyą na wolą babki żyła, iż nic własną wolą nie poczynała, żadnych sobie partyi nie obierała, żadnych inklinacii, affektu nie miała; w żadne się partykularne przyjaźni nie wdawała, lubo wielu godnych i znacznych nawijało się konkurentów. Że nakoniec gdy już babka postanowiła wydać ją za J. O. Xiążęcia Im. Karola Stanisława Radziwiłła Kanclerza W. X. L. (słuchajcie przykładu, który z godnych ust, saméjże J. O. Pani słyszałem) — pewnego dnia soboty, każe jéj babka i wszystkim dworu swego damom być nabożnemi do N. Panny, w cudownym w wilnie obrazie w kościele S. Michała, i tam kommunikować; co chętnie z partykularną dewocyą Xiężniczka wykonała. Po południu

widzi Xiężniczka znacznie do wesela przygotowania, nie wie zaś o żadnéj negocyacyi małżeństwa (ani pod ten czas Xiąże Imość był przytomnym w Wilnie) w tym każe babka, ubierać Xiężniczkę do ślubu. Strwoży się na niespodzianą wieść Xiężniczka, ni o czém nie wiedząca, spyta skromnie, z zwykłém uszanowaniem dla babki. Z kim też to? każe brać ślub babka? Surowie za tę *ciekawość* strofowana od babki, tę tylko wzięła odpowiedź, iż podług staropolskiego zwyczaju, nie prędzéj aż u ołtarza zobaczy, komu ma ślubować. I tak się też stało. Bo gdy z wielką pompą i paradą z pałacu Sapieżyńskiego wprowadzono do kościoła, przed tymże Matki Najświętszéj S. Michalskiéj ołtarzem, i przed JW. Konstantym Brzostowskim Biskupem Wileńskim Officjantem stanęła do ślubu, dopiero postrzegła JO. Xięcia Imści stawającego też do ślubu. Przetoż serdecznym westchnieniem Boskiéj opatrzności, oraz Matce Najświętszéj opiekunce, głębokie oddała dzięki.“

Dodajmy do tego, że miała naówczas lat szesnaście xiężniczka. Serce się ściska, czytając o takiém barbarzyństwie — lecz dla czegoż dawniéj przymus taki w bardzo małéj liczbie małżeństw ciągnął za sobą niezgodne i złe pożycie? Inny świat był trochę, inne wychowanie usposobiało do tego. Mężczyzna jako mężczyzna, kobiéta jako kobiéta, każdy i każda byli równi, nie

było serca jak dziś, było to po zwierzęcemu, ale dla rodziców wygodnie.

— Daję ci męża, mówiono córce — powinna była mężem jakiego dano kontentować się. Daję ci żonę, mówiono synowi, i syn padał do nóg, dziękował nie patrząc. Dzisiejsze czytelniczki zadrżą pewnie czytając o ślubie X. Anny.

Nie długo ona żyła z mężem, owdowiała mieszkała w Białéj, gdzie tak wiele śladów swéj dobroczynności zostawiła. Oto jeszcze parę rysów z jéj życia. Bibliotekę swoją, którą dostatnią miała z heretyckich i gorszących xiąg oczyściła. Za przytomności natenczas X. Wernera, dość drogo w Hamburgu zapłaconą 100 talarów xięgę, *Clavicula Salomonis*, w kosztownéj oprawie, jak skoro jéj powiedziano, że była czarnoxiężka, zaraz spalić kazała. — Na lat dwa przed śmiercią, gdy tenże X. Werner na Ś. Annę z rozkazu jéj miał mieć kazanie w Białéj, zawoławszy go w wilją wieczorem do siebie, przykazała mu, aby z ambony nic o niéj z okoliczności tego dnia nie mówił, dodając:

— Świętą Annę chwalcie mój xiąże w kazaniu, a po kazaniu mnie grzesznicę świętym modlitwom proszę polecać.

Cała była oddana pobożności, dobroczynności, ubogim swoim i modlitwie. — „Widzieć było można nie raz na dziedzińcu obszernym zamkowym w Białéj seciny ubogich żebraków,

którym ona jałmużnę ręką swoją codziennie rozdawała, a ci ją nie inaczéj tylko matką ubogich zwali, i za jéj karétą tłumem chodzili."

Chwaląc ją z życia, X. Werner Kanonik Łucki, tak opisuje dawne kobiece zatrudnienia, już za jego czasów zmienione. „Słyszycie — nad włóczką i krosieńkami lub przy kądzieli siedzieć, to to *fortia* białogłowskie, to dzieła ich odwagi, w ręku igła pałasz, to kopja, zgoła męztwo niewieście w ręku nie próżnujących. Bywały kiedyś staropolskiéj cnoty panie nie tylko ślacheckiego, ale i xiążęcego Senatorskiego stanu, które przystojną robotą ręczną i włóczką się zabawiały — teraz nie moda. Palce im od wrzeciona drętwieją, igiełki utrzymać nie mogą, głowa się im od kołowrotka zawraca, wszystka praca wpróżnowaniu, muskaniu, albo szukaniu się w zwierciedle jakby zginęły. Najczęściéj u drugich zobaczysz miasto igły *piórko*. Tak one listkami po świecie latają, skrybentów chowają, Bóg wie jakie reskrypty w szkatule zamykają, w publiczne wtrącają się interessa."

Dostojny kapłan w sam czas przymawiał kobiétom, ich wdawanie się niepotrzebne w politykę, od panowania Jana Kazimierza, nabrały były do niéj smaku, osobliwie panie wyższego towarzystwa.

Nie takie było życie X. Anny; która i skoń-

czyła pobożnie wymawiając słowa: — *Boże bądź miłościw.*

Pogrzeb jéj odbył się z niesłychanym przepychem. Z Białéj, gdzie w r. 1746 d. 23 Grudnia umarła, ciało jéj odprowadzał X. Kazimierz Giedrojć Juraha S. I. T. do Nieswiéża. Tu przy wielkim zgromadzeniu obywateli Litewskich i duchowieństwa ciągnęły się obrzędy pogrzebu od d. 10 Września do 16. *a*) z wspaniałością królewską. Oprócz Biskupów, Xięży świeckich i t. p. wszyscy prawie Jezuici prowincyi Litewskiéj byli przytomni. Z niemi rachowano do kilkuset duchownych. Codziennie odmieniano i na nowo strojono w amblemata katafalk. A ileż to mów i kazań powiedziano, których nikt nie słuchał!

J. I. Kraszewski.

---

a) (r. 1747) Wyszły *Kazania pogrzebowe,* miane wówczas w r. 1750 w Wil. w druk. Akad. S. 7 fol. z ryciną.

III.

UŁAMEK Z POEMATU

Smutna przygoda i śmierć żałościwa nadobnéj Wirginijej dziewice Rzymskiéj, ośmiorakiem rymem opisana przez Hieronima z Lipia Lipskiego roku Pańskiego 1652; *znaleziony przez P. Samuela Nowoszyckiego przy oryginalnym, równie jak i ten ułamek dotąd nie drukowanym rękopisie tegoż autora, zawierającym w sobie obszerny poemat: Woyna Chocimska.*

. . . .

Ja przy niey stawam i z rodzonym wujem,
Ociec za miłą bije się oyczyznę:
Za nim swóy dekret, nie za tym day szujem —
Przebóg na jego respektuy siwiznę!
Ey często za to skwapliwych żałujem —
I ty skończywszy twoję robociznę,
Którey już minął czas jak wiecie sami,
Nie będziesz sędzią i zrównasz się z nami.

Do teyći przyszło smiałości· Jcilli?
Odpowie na to Appiusz zażarty;
I usiądziesz ty podle mnie po chwili,
Sądząc o cudze sasiadów bękarty. —

Wiem jako pełna twoja łbica szpili,
W bunty to ufasż, boś w nie zdawna wtarty;
Ja com rzekł, tom rzekł, na mą siwą głowę,
Idż siepacż, weż tę z kupy białogłowę.

Już się okropni ruszają siepacze
Wyniozszy rózgi i długie siekiery.
Tłum wszystko wzdycha, cicho, cicho płacze
Kiedy Jcilli „Nie dwadzieścia cztery,
Niech wszyscy waszy staną poziewacze
Chcący wykonać te twoje emiry.
Dopiero przez krew, przez trup i me rany,
Wydrzesz mi Api kleynot obiecany.

Zląkł się Appiusż bo był w małey kupie.
Nie dla ciebie to buntowniku pewnie
Czynię, co czynię; bo i po twym trupie
Wlecbym ją kazał jak po zgniłym drewnie,
Wirginiego w zasługi, w okupie,
A że tak płacze dzisia barzo rzewnie
Do jutra te to odkładam terminy,
Ty masż Jcilli z osobna rok inny.

Kto za nią ręczy że prawa dostoi?
Rzecze Numitor, i ja nie omylę;
Jeśli Wirgini poczuwa się w swoi
Prawdziwey córce, choć na krótką chwilę
Zbieży na sprawę; a to we łbie roi
Że niepodobna taką luźną milę.
Bo się to działo przed zachodem słońca
A mil dwiadzieścia ociec i obrońca.

Tak się rozeszli, a Jcilli lotem
Brata na rączym wysyła batraku
Do Wirginiego, dając mu znać o tém.
Jakoż ten równy skrzydlastemu ptaku
Budzi w pułnocy pod płuciennym płotem,
Wstań, wsiaday oycze, rychło nieboraku,
Przetrzy sen z oczu, niech ci się nie drzymie,
To to się dzieje z twoją dziewką w Rzymie!

Już w drodze, już był Wirgini za szańcem,
Kiedy Appiusz, lecz nie według czasu,
List do kolegów śle swoim posłańcem
Żeby mu w drogę żaden niedał pasu.
A ten gdy Febus szedł na świat z kagańcem
Pod czas samego zbiegł tego hałasu;
Córki nie zastał, bo ta leiąc rzewne
Łzy, obiegała znajome i krewne.

Targała włosy uboga dziewczyna
I na sromotną gładkość narzekała:
Taż będzie mojey obelgi przyczyna
Z kądem ja szczęsnych godzin wyglądała?
To mnie zabija, to jest moja wina!
Nie tweżem piersi wdzięczna matko ssała?
Pomnę cię przebóg rodzicielko złota,
Nieszczęsna dziewka,, nieszczęsną sierota!

Wszystkie tym tonem różnych niewiast mnóstwo
Nóciły; już był pełen rynek ludu,
Gdy się to z ojcem uchwyci ubóstwo,
Dosyć patrzącym żałości i cudu.
Na głowie płachta, wszystkie ochędóstwo,
I on z nocnego nie otarty trudu,

Ten jey na głowę, ona mu na stopy,
Leje wrzących łez gorące ukropy.

Już czas na ratusz, gdzie w strasznej posturze
Siedzi Appiusz lepiey opatrzony,
Żeby wczorayszey nie było nań burze
Orszakiem krewnych i sług otoczony.
Kazał siekiery wynosić ku górze;
Tam Wirginiusz stanął utrapiony.
A jako przy swey macierzy jagniątko
Tuli się gdy wilk bierze niebożątko.

Tak oycowskiego nieodstąpi boku,
Mizerne dziewczę co się tylko ruszy
Wzrok pełen płaczu trzyma w iego wzroku
Ani wybladłych jagod nieosuszy;
Wirgini czeka i w tym stoi kroku,
Że mu niewinność jego dobrze tuszy:
W koło ich liczna otoczy rodzina
Kiedy on Koczot tak skargę poczyna:

Wielmożny sędzia! jakom prosił wczora,
Abyś mnie moję niewolnicę własną
Przysądził; w domu Wirginiego, która
Do tych czas była, z moją krzywdą jasną,
Niech dzisieyszego nieżyję wieczora
Niech mi ostatnie dzisia zorze gasną,
Iżem drzwi moich nieopatrzył klamki,
Wykradły mi ją niecnotliwe mamki.

Cóż na te skargi odpowiesz Wirgini?
Rzecze Appiusz, podobno niebożę
Owa cię dawna przypowieść obwini:

Miey u każdych drzwi, w każdym oknie stróże.
Ani gospodarz ani gospodyni
Nie wiedzą co się w ich domu stać może:
Daleko prędzey i sam mi to powiesz
Swey się przygody od sąsiada dowiesz.

Mogła twa córka umrzec w leciech małych,
Jako to dzieciom zawsże przyzwoita:
A przez rostropność piastunek zuchwałych
Mogła być w dom twóy podrzucona i ta.
Bez przyczyn bowiem i on poufałych
Pewnie że się jey przed sądem niechwyta;
Ja, jaki dekret napisałem wczora,
I dziś nie cofam nazad mego piora.

Słyszałeś klątwy i jego przysięgi
A białogłowy tysiąc sztuk mistrzynie —
Żebym też moje gluzować miał xięgi
Jak żywo tego nigdy nierad czynię.
Wczoray tey dziewki płacz mię ruszył tęgi
I twa niebytność, obie te przyczynie
Były, żem do dnia dzisiejszego kazał
Dekret odwołać, nie żebym go mazał.

Tu gniewem z żalem Wirginiusz opłonie:
Bóg zapłać za ten dekret panie sędźi,
Tedy niedawszy ucha drugiey stronie.
Takich wyroków dowcip twóy nieszczędzi,
Które Jupiter pisze na swym łonie —
Ten moję krzywdę nie długo opędzi —
Słyszysz to Boże, przed którego twarzą
Zli aniołowie takich sędziów karzą.

Kędyż dowody? Kędyż stawił swiadki,
Że się to dziecię w jego progach lęgło?
Zły człek na moje stworzony upadki,
Bogday go wszelkie nieszczęście dosięgło!
Niebrałem nigdy córki mey w ukradki,
Jako z iey matką Niebo mnie rozprzęgło. —
Nie tobiem dziewkę Appii poślubił
Boday cię i z nim Bóg pospołu zgubił!

Patrzay co czyniż i przeczytay sobie,
Co król Kambizes w Persyey urobił.
Miał też sędziego podobnego tobie,
Zdarszy mu skórę stolicę nią obił.
I syna na tey posadził ozdobie,
Żeby się w lepsze sądy przysposobił.
Znajdziem i w Rzymie taki kozik drugi,
Coć niewstydliwe zedrże z sęstwa rugi.

Rozjadł się jak pies Appiusz na stołku.
Nie uydą wam tu dziś wczoraysze bunty,
Jeśli z teściem jednaki pachołku,
Choćby mi płacić obu was na funty:
Ciśnie tablicę co miał na podołku,
Sądów-że moich chcecie wzruszyć grunty.
Nie da tego Bóg na siwiznę moję,
Idźcie siepacze; bierzcie wszytko troje.

Sunie się długi szereg po za stołu,
Patrzy żałośnie Wirginiusz w strony,
Pełne ma serce żalu, pełnę bolu,
Jeźli kto przy nim stanie odważny
A widząc-że nikt, krzyknie, proszę królu.
Niech w tym przynajmniey będę pocieszony,

Pozwól na ustęp i z nią wynisć mało,
I pytać się mamki jako się to stało.

Niechay to z serca ciężki żał opłoknie —
Pokorą wskórasż, ale gorą tyla,
Odpowie tyran i sam stanie w oknie;
Już mu się nisko Wirginiusz schyla
A we łzach krwawych całém sercem moknie,
Szedł wziąwszy córkę a z nią niewiast kila
A skoro mijał już rzeznicże jatki,
Nieszczęsna rzecze dziewko swojey matki.

Brońmy czystości świętey jako możem —
I w lot porwawszy z ręku od rzeznika
Pchnie ją konczystym w miękkie piersi nożem.
(Toż skoro go krew gorąca osika,)
Nadzieja w wielkiém miłosierdziu Bożem,
Na Appiusza co ma garła krzyka:
Że ta krew przez twą wylana przyczynę
Przeklętą twych żądz ugaśi wścieklinę.

Dzierż, goń, w ostatku na mą kopią zabiy;
Co z garła wrzeszczy tyran rozjedziony —
I już go byli oskoczyli drabi
Gdy i on pałasż wyjął naostrzony
Zaraz go gonić poczynali słabi — (słabiéj
W ostatku srogim tłumem obtoczony
Wyszedł, za broną, tam dosiadłszy koni
W wielkim orszaku niebał się pogoni.

Krzyk zatym straszny po wszem wstanie mieście—
Co żywo bieży na to dziwowisko,

Appiusz przecie siedzi na suggeście,
Już mu rozpaczy, iuż szaleństwa blisko —
Gdy widzi oknem, bo tamtędy przeście,
Niosących ono ciało na ognisko,
Wuja z Jcillim, one łzy, krew ciało
Po całym rynku, po ulicach lało. —

Rozje się znowu jak pies tedy rzecze,
Jeszcze mi się tu jak na złość przesusza,
Jeszcze mnie swym kłem jadowitym siecze,
Niosąc mi trupa około ratusza —
Przynaymniey mi ten malarz nieucieeze,
Niechay się tą krwią darmo nieojusza —!
Przywiedźcie mi go, a jesli się bronić
Będzie, łatwiey go zabić nizli gonić.

Zwykłym siepacze poszli animuszem —
Tam, kędy nowym zadumani cudem
Stał Horaciusz i z Waleryuszem
Między zebranym pospolitym ludem.
Ci krzykną: długoż tyrana niesuszém —
Minął czas jako siedzi nad talmudem.
Do śmierci pewnie ten nasz wielkorządczy
Żeby panował, tych tablic nieskończy.

Tu za czuprynę ująwszy siepacza
Horati naprzód, a potym Walery;
Po same uszy w błocie go umacza,
Połamią rózgi, potłuką siekiery;
Już i pospólstwo z bojaźni wystracza
Widzącej takie przy sobie kozery:
Bo, że w senacie siadali ci oba,
Znaczna ich była w tey cizbie osoba.

Widzi Appiusz i ieszcze się gniewa,
Alić i boiaźń iuż na sercu czuie:
Którey im sporzey nagły strach przylewa,
Tym chyżey i złość i gniew ustępuie,
Zwykłą to iednak postawą odziewa,
I ludzi przed się przez woźnych zwoluie:
Idzie co żywo na pochyłe wschody,
Ale Horati i Walery wprzódy. —

Wszyscy stanęli: Ci dway iako z proce
Usiedli sobie wedle jego krzesła:
Takżeś Appii oszalał szeroce,
Także daleko twa cię żądza zniesła?
Tośty jeden pan a my wszyscy sroce
Padli z ogona? tegośmy rzemiesła
Ludzie, co i ty, darmo dzwigasz chwosty,

IV.

SZTUKA DRAMATYCZNA I TEATR DZISIEJSZY W ANGLII.

Szkoła sentymentalna. Szkoła metafizyczna. Szkoła archaiczna.

(Sheridan Knowles — Robert Browning — Henryk Horne — Leigh Hunt — Edward Lytton Bulwer.)

W téj chwili, w Anglii, daje się czuć popęd ku sztuce dramatycznéj, teatr zrzuca z siebie całun którym był pokryty i usiłuje powrócić do życia. Wyborny aktor Macready, człek z dowcipem i smakiem, stoi z E. Lytton Bulwerem, na czele téj reformy. Przy ich złączonym wpływie, znika zakulissowe zepsucie, a kilka dramatów w różny sposób godnych uwagi, ukazało się na scenie lub wyszło z pod prass. Zasłużyły one lub już otrzymały dobre przyjęcie u publiczności.

Z początkiem tego wieku, kilka usiłowań w tym samym celu ożywienia teatru, obudziły

uwagę: probowano wrócić do naiwnego dramatu XVI wieku; starano się utworzyć dramat obserwacyjny, analizy metafizycznéj; naśladowano dramat grecki, prostoty i namiętności pełny. W tym ostatnim rodzaju Byron i Talfourd utworzyli odznaczające się dzieła. Naśladowanie dawnego teatru angielskiego natchnęło Milmanowi i Lamb zaledwie parę próbek godnych uwagi. Zupełnie zaś nie udała się Coleridgeowi i Szkotce Joannie Baillie próba podstawienia analizy myśli, w miejscu rozwijania charakterów.

Dramat jest to akcya przedewszystkiém. Nie potrzeba tu wywodu etymologicznego i mozolnych poszukiwań, aby udowodnić, że pierwiastek wyrazu *drama*, panuje jeszcze nad całą teoryą sztuki, którą oznacza. Do dramatu nie potrzeba ludzi dumających i płaczących, lecz działających tylko. Oda wyśpiewuje swój zapał, filozofia rozmyśla. Najgwałtowniejsza i najsroższa nawet czynność, zasadą jest dramatu; trzy ludy z charakteru swego pojęły to: Grecy, Hiszpanie i Francuzi. Dramat, zmięszany z pierwiastkiem lirycznym, ubrany w wyrazy ogniste i złociste, ozdobę poetyczną, przesiękły namiętnością, wzmocniony nauką charakterów ludzkich, wznosi się do cudownych utworów. Zostając przy suchym tylko swoim pierwiastku, wystarcza sobie i obchodzi się na-

wet bez wymowy, stylu i podobieństwa do prawdy. Najnędzniejszy utwor grywany na teatrach bulewarów paryzkich, jest jeszcze skeletem dramatu; gdy nie jedna tragedia niemiecka i angielska, elegia lub dytyramb, nie jest właściwie dramatem. Nie powiadam ja, żeby należało dramat przerobić po prostu w widowisko ciekawe, jak to czynią teraz we Francyi; w widowisko będące zagadką dla umysłu, a złudzeniem dla oczu — byłoby to cechą upadku; lecz nawet taki dramat nie zaparł się swego charakterystycznego pierwiastku, którym jest *akcya*. Jest on ubogi, jest sztuczny; nie zostawi po sobie śladów w dziejach umysłu ludzkiego, potrzeba mu wyższych przymiotów. Ztém wszystkiém sądzić go można jako dramat i za dramat rachować.

Ze wszystkich kształtów, w które myśl ubierają, nie ma bardziéj uderzającego, popularniejszego nad ten; możesz co bardziéj zajmować ludzi, nad *czynności ludzkie*? Doszedłszy do pewnego stopnia ciekawości naiwnéj, prostodusznéj, do pewnego umysłowego ukształcenia, naród każdy tworzy sobie dramat. Czyni to naówczas wedle instynktowego natchnienia. Wybiera on, co mu najlepiéj do smaku przypada z igrzysk tego świata, złożonych z przeznaczenia i swobody, skutków wypadku i woli, rozmaitości charakterów a jednostajnych na-

miętności. Walczym z przeznaczeniem, któremu musim być posłuszni, walczym z namiętnością, któréj ulegamy i jesteśmy wielcy, podli przedajni, niepewni siebie, odważni, tchórze, próżni i pyszni. Z tego nieskończonego wątku, naród nie wybiera przypadkowo losem. Namiętność i przeznaczenie składają dramat grecki, wypadki dziwaczne i zapał stanowią dramat kastyllski; francuzki chwyta pierwsze i drugie, mieszając z większą zręcznością niż odwagą. Filozofia experimentalna,, zastanawiająca się nad rozmaitością charakterów ludzkich, jest zasadą dramatu angielskiego, uosobionego w jednym człowieku — Shakspearze. Gdy raz pierwszy popęd ciekawości wielkiéj ludu zaspokojony został; dramat więdnieje, rzuca się w naśladownictwa, szuka effektu i umiera powolnie. Grecya dramatyczna po Euripidesie, Anglia po Shakspearze, Hiszpania po Calderonie, gasną wśród niepłodnych usiłowań i prób licznych a bezskutecznych. Teatr exystuje, dramat znika.

Oddzielmy starannie historyę dramatu, od historyi teatru. Póki tylko będzie iskra ciekawości w ludziach, będą miłować widowiska, nie opuszczą stopni amfiteatru i ciemnych loż swoich, chciwi widoku chwilowego pomalowanego płótna, chciwi krzyków śmiertelnéj walki, ciekawi krwi zabitego byka, poruszeń woj-

ska lub okrętów. Jest to część sztuki dziecinna, która sztukę samą przeżyje. Zastępując ją zagłusza. Ludzie wzruszający się prawdziwie żalami Oresta, zajadłością Othella, hymnami Konstanciusza i jękami Fedry, nie wiele się troszczą o to, jeśli tam malowane są dekoracye i wiele kosztowały stroje machiny i przybory. Wszystkie arcydzieła sztuki napisane były dla najniedoskonalszych teatrów; wydoskonalenie przedstawień teatralnych, nie zrodziło ani jednego arcydzieła. W świetnéj dla dramatu epoce, widze człowieka chcą widzieć na scenie; w chwili upadku (a chwila ta prędko nadchodzi) żądają piór, mieczów, pik, stołów, ubiorów, widoków dalekich i dziwnych. Zmienia się przedmiot ciekawości. Zajęcie które wzbudzał człowiek, wzbudza dodatkowy przybór. W każdéj literaturze nadchodzi podobna zmiana; i gdyby nie to, dramat skonałby zupełnie. Pocą się nad przedstawieniem Clytemnestry taką, jaką była w istocie, nad wynaśladowaniem *peplum* i *togi*. Achilles i Agamemnon występują w stroju, w jakim ich przedstawia dłóto snycerzy greckich; zdaje się reformatorom, że témi ulepszeniami, zbliżyli się do celu prawdziwego sztuki — tymczasem oddalają się od niego, poświęcając główne podrzędnemu, środkom cel.

Któż nie wie, że cudne tragedye Corneilla,

grywane były przez aktorów źle ubranych, wśród natłoku możnych zuchwalców, siedzących na scenie samej i śmiejących się z aktorów? Nędzniéj jeszcze, jeśli być może, przedstawiano dramata Calderona i Shakspeara. W nadzwyczajnych okolicznościach, dwie wielkie woskowe świéce, ustawione z dwóch stron teatru, oświecały scenę hiszpańską. Zwyczajnie, na przedstawienie sztuki, obierano podworzec, wśród którego budowano rusztowanie, okna kraciaste służyły za loże, balkony domów za parter, przedstawienie zaczynało się z południa, trwało do czwartéj. Tłum drapał się na dachy. W Anglii, za czasów Shakspeara, materyalne przybory teatru, nie wiele więcéj warte były. Panowie rozciągnieni na kobiercach wyściełających scenę, bili się z parterem jabłkami i orzechami; dekoracye do *Macbetha* i *Henryka VIII*, składały się z galeryi z balkonem i zasłony, która rozwieszoną będąc w głębi, służyła wedle potrzeby i okoliczności, za górę, dzwonnicę, wieżę, okno; także z machiny o trzech ścianach, składających trójkąt równoboczny, osadzonéj na ruchoméj osi, i ukazującéj spektatorom, wedle poruszeń osi, to malowane drzewo, to drzwi domu, to ściany wnętrza; publiczność wiedziała już potém o co chodzi. W téj to nędznéj kolebce urodziły się wszystkie dzieła Shakspeara, wszystkie sztuki Calderona i Corneilla. Com

wyżéj powiedział o wpływie szkodliwym bogatych przyborów na sztukę, jest tak dalece prawdą niezaprzeczoną, że w tymże czasie lub blizko, *Mirama* kardynała Richelieu, i szkaradna włoska tragedya *Orbecchi*, przedstawiane były z niesłychaną wspaniałością. W miarę jak wspaniałość i wytworność przyborów weiskają się do teatru, właściwa sztuka ucieka. Tragedye Campistrona zdobią się tysiącem błyskotek, których *Cyd* nie miał. Sztuki Drydena potrzebują wspaniałych przyborów, których nie znał Shakspeare. To przejście od sztuki dramatycznéj prawdziwéj, do sztuki teatralnéj, ukazuje się jasno za Karola II w Anglii, i za rejencyi xięcia d'Orleans, we Francyi. Amatorowie teatru sądzą, że nieskończenie wiele uczynili poprawując anachronizmy, odmieniając stroje, które starają się historycznemi zrobić. Samuel Pepys, wyborny postrzegacz obyczajów w Anglii, nie może się dość napogardzać barbarzyństwa dawnego Shakspearowego teatru; w porównaniu z pięknością, wytworem, prawdopodobieństwem, złudzeniem, współczesnéj sceny. — „Mamy przecie teraz, powiada, muzyków, mamy tancerki, mamy dekoracye, mamy stroje."

Niestety! mamy to wszystko — lecz nie mamy już dramatu.

Dramat więcéj zależy od słuchaczów, niż

od sceny. Znika on gdy naród traci naiwną ciekawość, łatwo się zaspokajającą grą potężną charakterów i namiętności. Naówczas dramat czyni się sentymentalnym, przeradza w elegią, jak u Rowe i Otwaya, nabiera napuszoności jak u Drydena i Younga; lub zamyka się w prostém rozplątaniu dziwacznego zdarzenia, w rozwiązaniu zagadki. Te rozmaite charaktery dramatu, wybitnie się odznaczają w dziejach teatru greckiego. Eschyles chwyta mytry, które przerabia na dramat, Sophocles stwarza teatr epiczny, Euripides skłania się ku elegii i mięsza wszystkie odcienia. Gani go i wyśmiewa z tego względu Aristophanes wielki krytyk swego czasu, ukazując Euripidesa włokącego za sobą łachmany, wzdychającego ciężko, sadzącego się na szumne maxymy. Po Euripidesie ukazuje się na chwilę teatr sztuczny, materyalny, wystawny i znika wkrótce. W Anglii, śród wojen domowych i rewolucyi, ten sam fenomen i to samo rozwinienie się ukazuje, pomimo zawad jakie stawi naturalnemu chodowi dramatu organizacya towarzystwa na wpół purytańskiego. Za Jakuba I. religijne wyobrażenia, zaczynają działać na teatr. Kona on za Cromwella, odradza się za Karola II, swawolny, pełen pretensyi i drobnostek, w ciągu XVIII wieku więdnieje i kona; przybiera dziwaczne kształty, z kolei mieszczański, płaczliwy; śmieszny i

swawolny, sadzi się na wystawę sceniczną a traci wewnętrzną siłę, aż do czasu w którym blade próby Richarda Cumberland i komedye bezsilne Artura Murphy, zawalają trzy teatra Hay-Market, Covent-Garden i Drury-Lane. Dwóch znakomitych pisarzy, Goldsmith i Sheridan, walczą wesołością, dowcipem, trafnemi postrzeżeniami, przeciwko wpływowi filozoficznemu i sentymentalnemu, który silnie już działał na sztukę. Przykład ich nie pociąga za sobą; a gdy XIX wiek nadchodzi oznajmiony arcydzieły Godwina, Byrona, Walter-Scotta; teatr angielski nie może się jeszcze podźwignąć z upadku.

Tu ma miejsce trojakie usiłowanie, o którém mówiliśmy wyżéj; *Massinger* i *Webster*, starają się odżywić teatr *archaizmami*, naśladowaniem dawnego; inni analizą filozoficzną czynności ludzkich, inni naśladowaniem Sophoclesa i Eschyla. Lord Byron, poeta namiętny i rozmyślający, oburza się na dramat wypadków Shakspeara i swobodne jego postrzeżenia nad charakterami. Pisze on cudne trajedye, które nie są wszakże zupełnie dramatami; wymówny egoizm poety całkiem je zalewa. Sardanapal, jest to Byron monarcha wschodu, Foscari, Byron jeszcze, Doża, Manfred, wszystko to są Byrony. Mimo jednostajnéj energiczności tonu i barwy, dzieła te dramatyczne więcéj są

nierównie warte, niż liczne naśladowania starego teatru, których początkiem było zamiłowanie Dekkera, Marlowe i Marstona, około r. 1800. Wyżéj są także, od licznych dram metafizycznych szkoły Wordswortha i Coleridgea; dzieł dziwacznych, z których wyjąć potrzeba *Paracelsa* Roberta Browning.

Paracelsus (*Paracelsus, a drama*) tém godniejszy jest zastanowienia, że w Anglii prawie niepostrzeżony przeszedł; niepoznano się na nim. Rzadko się jednak trafia, żeby poeta wyszafował tyle myśli, patetyczności, tyle głębokich pomysłów, na utwor bez nadziei przyszłości, chociaż nie bez sił i wdzięku. Jako próba dramatyczna, jest to nic. Jednakże jako bardzo piękna analiza psychologiczna i moralna, ta xiążka zasługuje na uwagę, chociaż zaledwie urodzona, już zapomniana została, i utonęła w dyssertacyach mglistéj estetyki, w perifrazach rozwlekłego stylu.

Autor miał na celu, wyprowadzić na scenę wielkiego reformatora nauk, i zainteressować walką jego myśli. Dobrze wybrał Paracelsa, który uosabia pewną cywilizacyi epokę. My, dzieci XIX wieku, dziwim się dzisiejszym odmianom umysłowego świata; w początkach XVI, zaszły może dziwniejsze jeszcze, których teraźniejsze są tylko dalszém rozwinieniem. Wówczas to ukazali się współcześnie Cardan, twór-

ca formuł jeometrycznych, Kopernik, który jak Jozue, rzekł słońcu — *Stań.* Kornelius Agrippa, który w r. 1510 dowodził tych samych prawd, jakie w r. 1750 Jan Jakób odświeżył; wreście Luther, Kalwin i Melanchton. Oni to, wzruszyli posady dawnych prawd. Nowy świat zaczął się na nowéj poruszać osi. Trudno przebaczyć Voltairowi że się naśmiewał z Cardana i poniżał Lutra. Któż był ten Voltaire? który tylko uprawiał sceptycyzm; jak się mógł wydawać przy tych, co go pierwsi zasieli w Europie? Najdziwaczniejszą z tych postaci XVI wieku był bez wątpienia Paracelsus, reformator medycyny, twórca chemii, nekroman, czarnoxiężnik, alchemik, szarletan; Paracelsus, który się chlubił wynalezieniem filozoficznego kamienia i kwadratury koła i zaręczał, że djabła nosił w rękojeści szpady. Pragnienie nauki, ciekawość poznawania, żądza sławy, popychały do szaleństw; gnały w podróże dalekie, narażały na śmieszności tę pełną ognia głowę. Był to Faust rzeczywisty, zamiast Mephistophelesa, słuchający swych namiętności i miłości własnéj poszeptów, otoczony nieprzyjaciółmi, zazdrosnemi, wielbicielami; pełen pogardy ku całemu rodzajowi ludzkiemu, tak łatwo dającemu się uwodzić; rozjątrzony aż do szaleństwa niemożnością zbadania tajemnic życia; w oczach jednych anioł światłości, w oczach drugich, syn

piekieł, w oczach własnych, istota niekompletna i bezsilna; dla dziejów i przyszłości zagadka.

Piękność i trudność analizy takiego charakteru, uwiodły imaginacyą Roberta Browning.

Dramat wewnętrzny, odgrywający się w duszy ludzi sławnych i wielkich, nabierający charakteru frenetycznéj piękności u takiego człowieka jak Paracelsus, wpół-szaleńca, wpół-jeniusza, wywarł na młodego poetę, którego umysł jest zagłębiający się i subtelny, wpływ niepokonany; usiłował on uczynić z tego dzieło właśnie przeciwne naturze swych myśli i charakterowi przedmiotu — dzieło dramatyczne. Nie ma dziwniejszéj xiążeczki nad tę. Autor pochodzący wprost od Wordswortha co do dyssekcyi metafizycznéj myśli, od Goethego co do poezyi plastycznéj zewnętrznych przedmiotów, od Byrona w sceptycyzmie, sądził, że z tych, zresztą szacownych pierwiastków skleić potrafi dramat.

W pierwszym akcie, Paracelsus, oznajmuje swym przyjaciołom, że kosztem swojego szczęścia, idzie szukać nauki i sławy. W drugim akcie, po długich już podróżach, przekonywa się, że nauka nie jest wszystkiém, że ona zabija miłość, i że bez połączenia nauki z miłością, pojęcia świata i zamiłowania go, dusza ludzka więdnieje i obumiera. W trzecim akcie wraca do Europy, naucza medycyny w Ba-

zylei, zyskuje sławę, powiększa jeszcze swoją wziętość oszukując i uwodząc ludzi, lecz razem upada na umyśle i uznaje nędzę, nikczemność posiadanych przez się trzech skarbów, trzech zwalisk, nauki niekompletnéj, miłości bezsilnéj, sławy zwodniczéj. W czwartym akcie, zniża się ze swych wyniosłych natchnień w roskoszach cielesnych szúka zapomnienia cierpień i nudów; na chwilę wraca spokojność z naiwną wiarą i zaparciem się dawnéj dumy;— kończy dramat śmierć Paracelsa w szpitalu Salzburgskim. Cały ten dramat odegrywa cztéry osoby; a raczéj jest to monolog od dwóch tysięcy wierszy, przerywany kilką pytaniami przypadkowemi. Wychodzą w nim, Festus, człek prosty, przyjaciel prawdziwy; Michal jego żona; Aprilius młodzieniec piękny jak Apollo, symbol poezyi i sztuk, rzadko odzywający się i to tylko aby podbudzić Paracelsa do zagłębienia skalpelu we własnych myślach, do badania nieskończoności swych żądz, rospaczy usiłowań i pogardy, jaką go natchnęło własne powodzenie a podziwienie tłumu. Otoż i wszystko. Nigdy jeszcze z takich pierwiastków niepróbowano złożyć dramatu. Żadnego ruchu, żadnego węzła, żadnéj katastrofy; nic, prócz wymównéj elegii, krętą drogą płynącéj z życiem Paracelsa, jak słońce i chmury piętnującéj światłem i cieniami wodospad wrzący Renu, i znów

rozlewającéj się jak szerokie wód zwierciadło. Szczególniejszém przeciwieństwem przeciw sztuce dramatycznéj, nie ma tu najmniejszéj akcyi. Zewnętrzne rozwijanie się w wypadkach namiętności i charakterów ludzkich, tu nie ma miejsca. Natomiast widziemy myśl tylko zagłębiającą się w sobie, usiłującą się poznać, zbadać, pojąć.

Jest to ostateczny wypadek, kres nadużycia pierwiastku metafizycznego, do którego skłonni są wszyscy poeci północy. Przeciwném nadużyciem są znowu dzisiejsze wypadkowe dramata francuzkie, i owe awanturnicze a namiętne, które hiszpani tak ulubili i tak rozwinęli w XVII wieku. Shakspeare, skłania się, ale nie nadużywając, na stronę obserwacyi metafizycznych północy; Calderon przeciwnie poświęcając myśl akcyi i barwie, nachyla się w przeciwną, szukając tam najwyższéj doskonałości dla sztuki. Nasz autor o którym mowa, znakomity jako poeta i filozof, nie jest całkiem dramaturgiem.

Bierzmy go więc jak jest, nie jak być żąda. Jako dzieło analizy filozoficznéj jego pseudodramat wielki okazuje talent. Poezya obrazów, okrywa w nim trafne i głębokie myśli. *Manfred* i *Faust* nie powstydziliby się niektórych ustępów *Paracelsa*, zagłuszonych niepotrzebnemi rozwlekłościami i rozrzuconych według najgor-

szego planu. Za przykład przywiedziemy tu, spodkanie i rozmowę Paracelsa z Apriliusem, z któych jeden jest symbolem nauki, drugi miłości, jeden chce przeniknąć wszystkie tajemnice widzialnego i niewidzialnego świata, drugi chce sobie miłością przyswoić wszystko piękne, i tworzy poezyą, muzykę, sztuki.

— Kto ty jesteś? (pyta Aprilius Paracelsa) człowiecze nieznajomy i rozumny ?

PARACELSUS.

Jam jest śmiertelny, żądający wsystko *poznać* —A ty?

APRILIUS.

Ja chciałbym *kochać* bez końca i być kochanym.

PARACELSUS.

Tyś niewolnik ! jam twój pan !

APRILIUS.

Dobrąś od Boga część dostał. Ideał za którym gonię ucieka przedemną. Żądze moje są nieograniczone, ogień którym płonę, pali mnie a nie nasyca. Ty uważny i cierpliwy, korzystasz ciągle, zbierasz bez ustanku. O ! nieszczęśliwym ja! nieszczęśliwy.

PARACELSUS.

Uspokój się! rozkazuję ci to w imie władzy, którą mam nad tobą. Chcę cię poznać, chcę wiedzieć czego żądasz?

APRILIUS.

Czyżem ci już niemówił ? Jeden mam tylko cel, jedną żądzę: kochać. Wszystkie piękne kształty świata, chciałbym odtworzyć z marmuru, kamienia, bronzu. Ach! gdyby to było w méj mocy! gdybym mógł! nic by mojéj sympatyi

nie uszło; nymfa dusza tajemna stoletnich dębów, wspaniały długobrody starzec, młodzieniec w swéj świeżéj piękności, olbrzym żylasty, kobiéta słaba i wiotka, bielsza i zwinniejsza od łabędzia; wszystkie namiętności, wszystkie żądze, wszystkie myśli, brzydota nawet któréj wdziękiem jest energia, wszystko to chwyciłbym i odtworzył w jednym wyrazie! O Boże! pozwól mi to stworzyć, tę piękność którą gonię nieszczęśliwą miłością, lasy, doliny, zwierciadła oceanu, jeziora połyskujące od wschodzącego słońca, labirynta z bronzu, piramidy z kamienia, miasta pełne ludu, poruszenia, namiętności, okrucieństwa, żądzę wzniesienia się, którą żyje serce i od któréj umiera! Kto mi da barw na odmalowanie tego wszystkiego, słów, żebym to opisał, dzwięków, któremibym wydał poruszenia tajemnicze duszy ludzkiéj i krążenie niepojęte planet! Nic nie chcę, tylko wyczerpać wszystko co na świecie i w życiu godném jest podziwienia i miłości, aż do chwili, w któréj Bóg powoła mnie do siebie, Bóg który jest wieczną miłością. (Paracelsus wzdycha)

APRILIUS.

Westchnąłeś? Nie jesteś więc Królem moim! Nieprzeszedłeś przez próby, które ja przebyłem, nieucierpiałeś com ucierpiał.

PARACELSUS.

Mów daléj.

APRILIUS.

Tyś, jak ja nie wpatrywał się aż do oślepienia w słońce ideału. Szukałeś przyczyn rzeczy, a nie sympatyi i miłości w stworzeniu Bożém. Mówią że skelety są wszędzie w kwiatach, w drzewach, w gwiazdach nawet które świecą nad nami. Tyś szukał skeletów? Jesteśże teraz szczęśliwszy?

PARACELSUS.

Nie.

APRILIUS.

Pracujesz nad opustoszeniem świata, ja go zaludniam. Ludzie, ich prawa i zwyczaje są dla mnie wyspą bezludną. Jak mogę buduję na niéj pałac dla siębie. Rzeczywistość jest pospolitą, brudną, zmieniam ją. Muszle zbierane na brzegu morza są dla mnie dyamentami, gałęzie drzew arkadami pałacu, plecione sitowie zastępuje purpurowe kobierce, sługą moją jest wyobraźnia, bogata wróżka która spełnia wszystkie moje żądania. Żyję miłością wszystkiego, sympatyą bez granic. W sercu wieśniaka, pastuszka, odkrywam myśl, mogącą być pierwiastkiem poezyi; najpospolitsza rzecz w świecie, uschła gałąź spadająca w jaskinię mojéj poezyi, ubiera się w kryształy jaśniejące. Mistrzu dumny, maszże ty tę władzę? Doznałżeś kiedy tego upojenia? Chwyciła cię kiedy rospacz gdyś się napróżno za pięknością uganiał, tysiące mar i widziadeł ulatywały li przed tobą, wiodąc cię nad brzeg przepaści? Pojąłeś ty niedostateczność dźwięków na odmalowanie głosu duszy, niedostateczność farb i kształtów, rytmu i wyrazów? Doznałeś ty, że im więcéj myśl się wznosi i wzrasta, tém wyrazy słabsze są i bezsilniejsze? Powiedz, panie?

PARACELSUS.

Żądza *poznania* świata, nie da się także nasycić! Człek jest tylko prochem!

APRILIUS.

Płaczesz! ty! łza w twych oczach mistrzu! Królu?

PARACELSUS.

Obaśmy nędzni. Ucz się *poznawać*, a mnie niech Bóg dozwoli *kochać*. Niech przebaczy nam obudwum, istotom

dumnym i bezsilnym! Marzyliśmy Aprilius, a teraz się budzim. Jesteśmy podróżni przeniesieni w świat czarodziejski, i nagle wracający do domu. Znać na nas blizny podróży, lecz przynieśliśmy także na ręku złote i perłowe ozdoby tamtego świata. Szukałem *nauki*, jak ty szukałeś *miłości* — oba byliśmy ślepi. Miłość jest niczém bez nauki, niczém nauka bez miłości. Zostały jednak przy nas zdobycze, ja mam władzę, ty piękność. Niestety! budzim się wszakże i obu nas czeka pokuta.

APRILIUS.

Widzę teraz — Bóg jest całą poezyą!

PARACELSUS.

Bóg jest doskonałą nauką. W nim łączą się dwie rozbite połowy ideału. Myśmy słabi i szaleni, myśmy słabi śmiertelni! Chcieliśmy dójść doskonałości, łamiąc ją na dwoje. Ukarani jesteśmy."

Nie potrzeba Komentarza na okazanie, ile w téj scenie jest piękności, jaka głębokość myśli. Paracelsus, uosobiający żądzę poznania nauki w począku XVI wieku, to jest całą epokę w któréj umysł ludzki odmłodniał i jak wąż starą z siebie zrzucił skórę, dla filozofa jest nieskończenie ciekawą postacią. Jest to rewolucyonista umysłowy, widzi samą przyszłość, wierzy tylko w nowonarodzone nadzieje, ożywiające rodzaj ludzki. Chce poznać, nie przeszłość, którą odrzuca, lecz co jest i co będzie.

Chce *poznać*, nie xiążki, nie naukę właściwą, lecz teraźniejszość, przyszłość, essencyą rzeczy. Za nic dla niego wiadomości nabyte przez daw-

ne ludy, w dawnych czasach, za nic maxymy i odkrycia mędrców starożytności.

„Prawda, (powiada w poemacie) nie jestże w nas? W każdym z nas jest punkt środkowy, w którym prawda leży w całéj swéj rozciągłości. Dokoła wznoszą się mury zasłaniające ją, zakrywające, ciało i pożar zmysłów; ukrywa przed nami czysty płomień prawdy. *Poznać*, jest to oswobodzić prawdę z téj niewoli, jest to otworzyć temu promieniowi ukrytemu w nas, utajonemu, aby na świat błysnął.“

Paracelsus więc nic przyjętego nie przyjmuje, pełen odwagi i wiary w siebie, awanturnik, gardząc nauką przyrodzenia opartą na doświadczeniu i dawną filozofią, wybiera się w podróż po świecie, aby własną pracą oswobodzić zakutą prawdę. Im daléj idzie, tym pragnienie wiedzy powiększa się i drażni, im więcéj pije, tém szaleniéj pragnie. Paracelsus śmieje się z uwielbiających go ludzi, śmieje się gdy za oszukaństwo płacą mu zapałem, lituje się nad własną nędzną sławą i nad szkołą swoją:

— „Widziałeś dziś rano, (mówi do Festusa przyjaciela) jak tłum cisnął się do Katedry. Oh! nie wielki to cud zyskać ich oklaski i poruszyć serca! Zasady mojéj nauki proste — niszczę i przeczę. Lecz ilekroć zaprzeczy kto temu, co tłum i wieki przyjęły, lud staje z otwartemi usty, bez oddechu, z osłupiałém okiem, z najeżonemi włosami, czekając piorunu, który ma skruszyć wielbione bałwany. Policzmy moich wielbicieli! zobaczmy! Naprzód ci któ-

rych wiedzie ku mnie ciekawość, zadziwienie, nowość, nic więcéj; liczna klassa głupców domagających się cudów — wcale im nie odmawiam. Po nich idą licznym orszakiem ci, którzy nienawidzą instytucye dzisiejsze i ustanowione szkoły, zawsze gotowi pomagać wywracającemu porządek, a gdy zwycięży i chorągiew swéj nauki wywiesi, za chwilę obrócą się przeciw niemu. Do tego dodaj tłum obojętnych, korzystających z okoliczności, chytrych, którzy nadto są zręczni, żeby się biegowi opinii przeciwić mieli, pochlebców wytrawnych, którzy pieścić będą i wynosić mój system, póki go dziwaczném rozwinieniem i tłumaczeniem nie zabiją.

Na co zwiększać jeszcze to wyliczenie? Wszyscy ci ludzie mają swój interess służąc mi, mało im chodzi o prawdę. Zostanie może dwunastu lub piętnastu biedaków, szczérze kochających naukę, wierzących w siłę prawdy, ci tylko godni są mojéj sympatyi, dla nich warto pracować; nie mówmy o nich!“

Otóż jak reformator ceni tych, którzy go uwielbiają. Nie lepiéj sądzi sam o sobie ten rewolucyonista i nowator. Nie doszedł celu, do którego dążył, nie odkrył wielkiéj tajemnicy życia i świata. Wieńcem, jego nagrodą, jest pozyskana sława, on nią gardzi. Cień téj sławy przestrasza go, wzbudza w nim politowanie.

— „Wiem to (powiada) wyprzedziłem mój wiek. Jestem jedną z tych fali, które biją o brzegi, daleko wprzód nim całe morze na nie się wyleje. Wiem co mnie czeka. Będą zapierając się mnie, korzystać z mych myśli, po trupie moim wstąpią wyżéj, depcząc mnie. Z dumy, z próżno-

ści, jam nie nie chciał być winien przodkom, ludzie także nie zechcą być mi nic winni. Niszczyłem, zniszczony zostanę — to słuszna. Wzniosłem rusztowanie, na które się drapać będą, aby dójrzéć dalekie kraje nauki. Co mię to obchodzi? Jam spełnił przeznaczenie moje, Bóg niech dokona reszty."

W końcu przekonawszy się o nicości nauk i sławy, Paracelsus szuka zadowolnienia w roskoszy; zatapia się w zmysłowości, a wzamian za tę nową próbę, darzą go ludzie pogardą, płacąc mu nią dawną jego dumę. Gdy chory, umierający już w szpitalu Salzburskim, kończy mizernie życie, staje przy nim znowu Festus przyjaciel od serca, prosty, szczéry, który go nigdy nie opuścił; autor w tém miejscu nagle zbliża się do dramatycznego effektu, bardzo prostym dosięgając go sposobem.

PARACELSUS *na łożu śmierci.*

Mów do mnie, niech twój głos usłyszę! Zaśpiewaj mi jaką starą balladę. Nie chcę marzyć, nie chcę wspominać przeszłości!! Mów do mnie.

FESTUS *śpiewa.*

„Men piękna to rzeka, wody jego wolno płyną przez doliny, przez łąki, a płynąc szemrzą najsłodszemi dźwięki. Płynie, płynie leniwy a słońce mu świeci, płynie po murawie, po sitowiach, po pierwiosnkach; czasem pszczółka brzęcząc wody jego muśnie, rybitwy nad nim lecą i końce białych skrzydeł maczają; a gdy na dzwonnicy wiejskiéj uderzy południe ....

PARACELSUS.

O! serce moje, serce ściśnięte wolniéj bije, gdy słyszę

tę piosnkę mego dzieciństwa; znikają ciemności, czarny wąż który mi duszę oplatał — rozwija się i ucieka. Ach! Festusie! oddycham! poznaję cię, to ty!"

Potém Festus pociesza przyjaciela, którego skonanie zajaśniało promieniem wyższych na dziei.

„Wyższy duchu, (mówi Festus) mistrzu, stworzycielu, wynalazco, ci co szydzili z twego burzliwego życia naśmiewać się będą z Etny, gdy wrą jéj wnętrzności. Ja poznałem ciebie, ja cię pojąłem, i zostałem ci wierny. Widziałem cię gdyś powstał i jął się walki, widzę cię teraz konającym. Wszechmocny Boże! sądź mnie jak jego osądzisz! Gdybyś mnie był silnym stworzył jak jego, byłbym jak on upadł, stań się wola twoja, ja z nim, ja za nim jestem!! Boże! razem stajem przed tobą, ukarz nas razem, lub nagrodź obudwóch!

Paracelsus jak widziémy, jest dziełem człowieka głęboko myślącego; zarzucić mu można jednakże rozwlekłość, brak jedności, nie dość wybitny rysunek szczegółów, a nadewszystko że dramatem jest tylko z tytułu. Pierwiastek dramatyczny wybitniéj nieco ukazuje się w dwóch dziełach Roberta Henryka Horne pod tytułem: *Śmierć Krzysztofa Marlowe*, i *Kosmus Medicis*. Ale i tu więcéj jest postrzeżeń, uwag, niż akcyi; tak że ów główny poezyi północnych ludów charakter, zabija i przeważa interess dramatyczny. W pierwszéj sztuce jest to rozwiązłe życie poety, który w najpodlejszych roskoszach szuka nagrody za swe cierpienia i upokorzenia które

od ludzi znosi, i w drugiéj ojciec i xiąże ubiegający się za najsurowszą sprawiedliwością, spotyka wszędzie niesprawiedliwość: to są główne myśli tych dwóch dzieł, z których pierwsze jest elegią, a drugie prawie epopeją. W jedném i drugiem brak zupełnie effektu scenicznego. Mniéj go jeszcze w sztuce pod tytułem: *Nina Sforza*, przez Richarda Zouch Troughton.

Lecz najwięcéj w trzech ostatnich dziełach Sheridana Knowles, pod tytułem: *Miłość*, *Żona*, i *Córka*. Knowles dramatyzuje i dyaloguje zręcznie powiastki dość interessujące. Ale do czego się zdały te charaktery wytarte? Jaką mogą mieć wartość niemające żadnego prawdopodobieństwa romanse? jak wreście wytłumaczyć i usprawiedliwić tę barwę jednostajnie sentymentalną, którą pociągnięto wszystkie osoby dramatów (nakształt glaserunku pokrywającego obraz) a nie malującą ani natury, ani namiętności, ani myśli? Pomimo tego błędu, Sheridan Knowles autor i aktor, jest najświetniejszym reprezentantem téj szkoły sentymentalnéj, która długo zalewała teatr angielski, razem z komedyą rozwiązłą. Sheridan Knowles pojmuje dramat w proporciach najpospolitszych, jak ten biedny Otway, ciekawa postać dla postrzegacza, pijak w życiu przywatném, patetyczny w swych dziełach, talent jednostronny; twórca jednego tylko

znakomitego dzieła; któremu (*Venise preserved*) wyższéj wartości odmówić nie można.

Prawdziwe życie ludzkie, życie całe, nie z samych tylko łez się składa. Pisarz, źle tłumaczy dzieło Boskie, gdy chcąc je odtworzyć, ogołaca go z należnych mu radości spokoju, energicznych popędów, ze wszystkiego co nie jest jękiem i skargą. Wolno mu szukać na świecie surowéj strony życia lub śmieszności; wydatnych charakterów komicznych i rysunku towarzystwa: jak czynił Moliere; dla niego także otwarte szerokie pole uczuć wzniosłych, delikatnych, tajemnice powinowactwa dusz i myśli, które malował Racine. Każdy mistrz obiera sobie szczególne stanowisko. Sfera czystych łez i jęków, została udziałem Otwaya, Kotzebue i La Chaussée: bo nią wyższe talenta pogardziły. Cóż bardziéj nad to może być niewieściem i enerwującym? Jacyż to bohatérowie, którzy tylko jęczą nad swoim losem? Corneille, stwarzając swych ludzi z bronzu i granitu, których wyraz każdy przeszywa serce jak ostrze stalowe, przynajmniéj wywyższył, wyidealizował naturę ludzką. *Cyd*, *Polieukt*, podnoszą człowieka, wystawują go wielkim. Czujem się dumni, żeśmy ludzie jak oni, wstyd nam takich braci jak Meinau bezustanku lamentujący. Jaffier który płacząc zabija i wszyscy ci śmiertelni nieszczęśliwi, przestępni, mocno nudni i śmieszni, których

poeta używa jak łzawnic. Nie znajdziesz takiéj słabości, takiego poniżenia w dziełach wielkich jeniuszów, Sophoklesa, Shakspeara, Aristophana, Moliera, Racina. Daje się to dopiéro postrzegać w pisarzach z czasów upadku, u Euripidesa, Voltaira, Fletchera i Beaumont; z upadkiem sztuki, łzy zalewają scenę i płyną wielką rzeką w dziełach la Chaussée, Sheridana Knowles, Fenouillot de Falbaire, w prozie Kotzebuego a nawet Diderota. Mniéj mam za złe Voltairowi rozsypane po jego tragedaych filozoficzne maxymy; więcéj mi się zdaje dziwaczną sentymentalność fałszywa *Alzyry*, *Adelaidy Dugueselin*, a nawet *Tancreda*. Najwięcéj to jednak za jego czasów chwalono; a poczwarnéj *Melanii* La Harpa, jedynym przymiotem, jest ta wada.

Spójrzmy jak w Angli, przyszło do tego dramatycznego wycieńczenia. Łatwo jego postępy policzym od Shakspeara do Sheridana Knowles. Silni dramaturgowie współcześni Shakspearowi, nie byli zarażeni sentymentalnością; mają oni sobie właściwe wady, ale ta o któréj mowa, jeszcze się nie urodziła. Shakspeare lubi grę wyrazów, Lilly pełen jest pedanteryi, Ben Jonson nudzi drobnostkami, Webster jest zbyt zapalczywy, Marlowe brutal, Marston plami się cynizmem, Dekker rozwlekłością, Massinger pełen paradoxów. Przed Fletcherem i Beaumont, bohatérowie płaczą, ale bardzo umiarkowanie.

Pierwsi Fletcher i Beaumont otwierają tę nową żyłę sztuki dramatycznéj. Z każdéj sytuacyi, nie biorą co w niéj jest silnego, głębokiego, delikatnego, ale wyszukują żałośliwego, melancholicznego, elegijnego, rozczulającego i przykrego. Coby mieli duszę ludzką hartować, to ją osłabiają i miękczą. Pełni patetyczności; wymówniejsi są i więcéj łez wycisną niż Shakspeare, ale za to, jak też są jednostajni, jak nie filozoficzni, jak z prawdą niezgodni. Ten rzut oka surowy, którym Shakspeare na świat spogląda, nie jest ich udziałem. Przyznaję im płodność, łatwość wynalezienia, pewien wdzięk, giętkość, żywą i płynną wymowę, koloryt stylu cudny, ale myślą i gruntem rzeczy grzeszą. Podobni są zupełnie swoim wielbicielom.

Po wstąpieniu na tron Karola II, narod znużony wojny domowemi, z duszą bezsilną, wyniszczoną, zepsutą a rozdrażnioną gorączkowie, przeniósł dramata tych autorów, nad dzieła Shakspeara. *King and No-King* (Król nie-Król) *the Maiden-Queen* (Dziewczyna-Królowa) grywane były co dzień, przyjmowane oklaskami powszechnemi, gdy *Macbeth* i *Othello*, przerabiane przez pisarków bez talentu, ledwie się na scenie ukazywały. Posłuchajmy tego samego Pepys o którym już raz była mowa, on pisze: „Mało jest sztuk tak miernych jak *Macbeth*, w całéj sztuce nie wiem czy się znajdą trzy wiersze, któ-

reby warte były *the Maiden-Queen*, Fletchera.“ A jednak u Fletchera i jego współpracownika co jest zasadą wszystkich dramatów? położenia do prawdy niepodobne, wyrodzone z występków niesłychanych; rodzące cierpienia nieograniczone, wychodzące z granic wszelkiego do socyalnego życia podobieństwa; o to osnowa pospolita wszystkich ich utworów. Do tego Dryden dodaje jak najwięcéj amfazy, stylu wyszukanego i zwrótów naśladowanych z P. Scuderi i la Calprenéde. Wkrótce po Drydenie, zmieniła się scena polityczna za panowania Wilhelma III, i cnoty życia pospolitego wysoko ceniono być poczęły: dramat także szczególnéj doznał zmiany, przy wszystkich swoich wadach (kształcąc się na wzór towarzystwa ówczesnego) zyskał na nadanéj im barwie pewnéj moralności i skromności. Purytanizm mieszczański nowo nabyty przeszedł do teatru, łącząc się i zlewając z patetycznością wymuszoną i natchnieniem łzawém Flétchera i Beaumonta.

Urodziła się z tego małżeństwa szczególna tragedya, która odznacza się głównie, iż potokami łzy wyciska, nie już na marmurowe posadzki i w złote czasze jak u Fletchera; lecz na gołą ziemię i nędzne barłogi poddaszy. Lillo, Southerne, Otway, Row i Congreve pisali wszyscy w tym rodzaju, w którym arcydziełem jedyném jest *Wenecya ocalona* (*Venise pre-*

served). Opisanie przedaży sprzętów z publicznego targu, bardzo zręcznie wrzucone w dyalog sztuki, jest jedném z miejsc najpatetyczniejszych dramatu, którego ganim myśl nie exekucyą, ducha nie szczegóły. Patetyczność, pierwiastek stanowczy i konieczny w tragedyi, nie powinien, wedle nas, zalewać jéj całkowicie; jak gdyby człowiek nie miał już ani charakteru, ani namiętności, ani siły, ani ducha, ani entuzyazmu, ani sposobów ratowania się, ani działalności, ani wrzących myśli, ani nic prócz łez tylko i zdania się na losy.

Ci bohatérowie modlący się, płaczący, klękający, bijący się w piersi, wyjący z bolu od początku do końca sztuki, mają to do siebie, że daleko przed czwartym aktem zużywają zupełnie interes, wyczerpują wszystko. Wpływ ich nareście moralny jest najgorszy. Źródła bowiem boleści są dość ograniczone w pospolitém życiu; a dla płodzenia sztuk tego rodzaju i urozmaicenia ich, wynajdują nadzwyczajne zbrodnie, sytuacye niesłychane, które do reszty gubią sztukę, spodlając ją. Tak naprzykład w jednéj dziwacznéj i okropnéj tragedyi Otwaya, osnową jest podwójne kazirodztwo, a rozwiązaniem pięć morderstw.

Sheridan Knowles odziedziczył po tych pisarzach i wszystkie ich przejął przymioty. Człowiek z talentem, obłąkany powodzeniem, przy-

kładem zwodniczym i pochwałami przedwczesnemi, nadto w początkach odebrał oklasków. Pierwsze zwycięztwo popędziło go drogą, na któréj raz otrzymał Europejskie oklaski.

Podziwiano się, w dwóch znakomitych jego tragedyach, *Virginius* i *Appius*, scenom życia prywatnego, naturalnéj patetyczności, szczęśliwym obrazom życia pospolitego u Rzymian, których Addisson wystawiał jako nieporuszonych bohatérów i kolosy stoicyzmu;— gdy Sheridan uczynił z nich prostych ludzi, wziął się śmiało, szczęśliwie, uczynił rzecz nową, zajmującą, zuchwałą prawie, była to antitheza, epigrammat. Wspomnienia klassyczne, pogłaskane razem i podrąźnione, obudziły się: *Virginius* zrobił w Anglii wrażenie, większe jeszcze we Francyi. Sheridan Knowles, zachęcony, stworzył w tymże rodzaju nowe dzieła; ale pozbawiony postaci dawnych Rzymian, którzy kontrastem swoim tak mu dobrze usłużyli, nie zyskał tych co wprzódy powodzeń. Postrzeżono się, że nauki życia, analizy charakterów, rozmaitości postrzeżeń, prawdopodobieństwa brakło mu zupełnie. Zostawały wprawdzie wymowa elegiacka i patetyczność pospolita; ale zaczęto się nudzić i przesycać tą chorobliwą poezyą, osłabiającą umysłowie i niebezpieczną dla duszy. Ten sam charakter, też zasługi i wa-

dy, znajdują się w dziełach ostatnich naszego autora — *Miłość*, — *Córka*, — *Żona*.

Córka (*the Daughter*) pochodzi wyraźnie ze szkoły Otwaya, upiękniona tylko kwiatkami pożyczonemi z kośnicy Maturina. Jest to okropność i rzeczy najpospolitsze, sentymentalność i dziwactwo. *Żona* (*the Wife*) ma wielką zasługę, że plan jéj odznacza się harmonijnym pomysłem. Plan równie jak szczegóły są romansowe, nie ma tu prawdopodobieństwa najmniejszego, ale barwa i rysunek godzą się z sobą. *Córka*, jakąś wdzięczną dzikością, obraża uczucie wewnętrzne człowieka i najpierwsze prawidła sztuki, drugi dramat ma przynajmniéj zasługę zajmującéj powieści.

Wszystko w nim jest nieprawdopodobne; zaczyna autor od Szwajcarskiéj lawiny, pociąga daléj zaburzeniem w kraju, bardzo szczęśliwie rozwiązującym się; wystawia potém na obelżywe potwarze cnotę i życie jakiejś xiężnéj, którą z niebezpieczeństwa wyrywa, katastrofą niemniéj dziwaczną. Chodźmy za nim, rzućmy się w ten świat całkiem czarodziejski: Powieść jego idzie dobrze, sytuacye wzbudzają interes, styl jest poetyczny, i z nieprawdopodobieństwa w nieprawdopodobieństwo, z dziecinném zajęciem przechodzim niesłychane wypadki, które na kupę gromadzi autor. Rozum musi tu milczeć; żale Mariany, zdrady łotra Ferrardo, śle-

pa ufność męża, zajmują żywo jednakże, jak ciekawa powieść Lasca lub Boccaciusza. Przekładam *Żonę* (*the Wife*) nad inne dzieła Sheridana Knowles, z przyczyny téj jednostajnéj doskonaléj harmonii nieprawdopodobieństwa w całéj budowie i wszystkich szczegółach. Powiązanie wypadków i wynalezienie powieści nie wytrzymują krytyki jednakże, a styl kwiecisty, miękki, sentymentalny dyalogu w niczém rzeczywistości nie przypomina. Raz zgodziwszy się, że tak być powinno jak jest, tracim ideę prawdziwego dramatu, życia namiętnego, czynnego, rzeczywistego, wchodzim w świat konwencyonalny. Jest to obraz Bouchera, któremu nie godzi się wyrzucać drzew lazurowych, bo się wybornie godzą z chatkami fioletowemi. Malarz posiada swoje szczególne wyobrażenia i szczególne przymioty, które w nim cenim i dla tego nie wymawiamy mu już dziwacznego stanowiska.

W téj sztuce Sheridana Knowles, rzecz dzieje się w epoce nie zadeterminowanéj historycznie, gdy jacyś nieznani dziejom xiążęta, panowali w Mantui, włócząc się po nad brzegiem jezior Szwajcarskich za kochankami i żonami. Jeden z nich przechadzając się zamyślony, nie wiem w jakiéj tam dolinie, przywalony został lawiną. Zwyczajnie po takim wypadku wszystko się kończy, ale tu nasz xiążę odkryty i sta-

rannie pielęgnowany przez Marianę, winien jéj zostaje życie.

Rozkochana w tym, którego ocaliła, ukrywa przed nim swą miłość i idzie w ślad, milcząca, za człowiekiem, który w niéj wzbudził uczucie głębokie i nieposkromione. Xiążę, za powrótem, zastaje miejsce swoje zajęte przez brata, odbiera łatwiuteńko xięztwo, poznaje Marianę i bierze ją za żonę w chwili właśnie, w któréj ów brat zdrajca poczuł ku niéj namiętność mającą się wkrótce zmienić w rodzaj furyi. Zostawszy xiężną, Mariana wystawiona jest na wszystkie zasadzki, wszystkie intrygi Ferrarda: tak się zowie ów zły brat. W czasie jakiejś niebytności xięcia, Ferrardo puszcza na Marianę jednego z dworzan, nędznika zepsutego, który obowiązuje się nie uwieść ją, ale zakompromitować. Szczęściem ten ostatni, upokorzony przez człowieka, którego jest narzędziem i na którym usilnie pragnie się pomścić, chwyta tę zręczność, wydaje wspólnika i ocala xiężnę. Cały ten tak dziwaczny pomysł rozwija się z pewną miłą melancholią, któréj nie brak wdzięku, jest to bajeczka szyta jedwabiami i dość szczęśliwie cieniowana. Zdrajcy gadają jak z romansu, xiąże jest uosobioną odą, wieśniaczka Szwajcarska elegią. Skoro tylko poda się zręczność Sheridanowi Knowles, pokazania się z szczególną naturą swego talentu

w pół-pasterskiego, pół-sentymentalnego, chwyta się jéj i sadzi piękne wiersze, które jako tako zastępują miejsce dramatyczności.

Tak i Mariana, spytana o postępy swéj miłości, odpowiada pięknemi ogólnikami poetycznemi, dość nienaturalnemi.

— Jakże się twoja namiętność rozwinęła?

MARIANA.

Wzrosła razem ze mną, anim się postrzegła. Czuwałam nad nim gdy był chory i sądziłam, że jest blizki śmierci. Długo w nim życie ze śmiercią walczyło, długa była niepewność — On modlił się prosząc niebios za duszą swoją, jam się z nim modliła. Tak dusze się nasze zmięszały.

LORENZO.

I pokochałaś go?

MARIANA.

O! tak! Kochałam go! Kwiat któren wiatry z listków oberwały, któren deszcz wbił do ziemi, jest najmilszym gdy cierpliwe ręce podniosą go i ocalą. Nie byłże on dla mnie wszystkiém, tym któremu wróciłam życie? Widziałam go słabego, wybladłego, na wpół okrytego całunem, wreście przechodząc z nadziei do nadziei, po wielu dniach czuwania i nocach rospaczy, ujrzałam go wpół już żywym; jutrzenka zdrowia zaczynała połyskiwać na bladych jego jagodach; coraz żywszy, coraz silniejszy, coraz weselszy był potém, zdrowie zabłysło i świeciło na jego czole; odzyskał siły — przyszłość.

. . . .

LORENZO.

A potém cię opuścił?

MARIANA.

Niestety, tak postanowił. Naznaczył dzień wyjazdu, potém odkładał i odkładał jeszcze — nareście odjechał.

LORENZO.

Tyś szła za nim do Mantui?

MARIANA.

Mogłażem inaczéj uczynić? On wszystko unosił z sobą, wspomnienia, roskosze, szczęście, niebieskie jeziora, jasne niebo, zielone góry — nasze. Szłam za nim do Mantui, aby oddychać powietrzem, którym on oddychał, chodzić po ziemi, która go nosiła, patrzeć na świat, na któren on patrzał, widzieć go może — może usłyszeć głos jego — może się go dotknąć — a zawsze go kochać zdaleka!

Podobny wdzięk elegijacki, zastępstwo niedostateczne prawdy i siły dramatu, rozlewa się po całéj sztuce; zalewa nawet sceny silne, szczęśliwie i śmiało wynalezione, jak naprzykład tę, w któréj Saint-Pierre, zdrajca ów podrzędny, sam na sam z Ferrardem panem swym, pisze za dyktowaniem, a raczéj udaje że pisze list, który ma xiężnę obwinić. Saint-Pierre jest bez broni, Ferrardo ma dobry sztylet. Miasto owego nakazanego mu listu, Saint-Pierre słowo w słowo, pisze rozmowę swoją z Ferrardem, potém, zręczném podejściem, dostawszy sztyletu, zmusza człowieka na którym chce się pomścić, do podpisania haniebnego świadectwa przeciw samemu sobie. Opuścim w téj

scenie deklamacye sentymentalne, bardzo śmieszne w ustach dwóch takich złoczyńców, i zacytujem ją, na co zasługuje.

SAINT-PIERRE (*piszą*c).

Skończyłeś dyktować?

FERRARDO.

Już.

SAINT-PIERRE.

A ja pisać — Dobrze poczęto, dobrze prowadzono, a koniec nadewszystko doskonały. Wasza wysokość osądzi mój styl... Do licha! omyłka — !! jedno słowo! Nie ma Wasza Wysokość nożyka lub czego bądź ostrego?

FERRARDO.

Nie mam.

SAINT-PIERRE.

Ten sztylet jeśli ostry?

FERRARDO.

Weź go.

SAINT-PIERRE (*przygląda mu się*).

Doskonały! Teraz xiąże przeczytaj i podpisz.

FERRARDO (*czytając*).

Co to jest? coś ty napisał? Jest to wyznanię moje!

SAINT-PIERRE.

Nic innego.

FERRARDO.

Rozmowa nasza ostatnia słowo w słowo.

SAINT-PIERRE.

Ni mniéj ni więcéj o literę; widzi xiąże że byłbym niezłym sekretarzem, lecz W. X. Mość nie jest tém za-

dowolniony, jak mi się zdaje, — tegobym się był nie spodziewał. Ale jak jest tò jest, Mości Xiąże, trzeba to podpisać.

FERRARDO.

A toż dla czego?

SAINT-PIERRE.

Bo ja tego wymagam! A! tyś mnie trzymał na uwięzi lat dziesięć, na łasce, teraz koléj na mnie, chcę ja ciebie mieć w swém ręku, Mości Xiążę, jestem otwarty i szczery, zdaje mi się.

FERRARDO.

Tyżeś to? ty? Saint-Pierre? ty się tak obchodzisz ze mną?

SAINT-PIERRE.

A wyż M. Xiąże? wyście temu lat piętnaście, w złą godzinę, znaleźli mnie w mojéj rodzinnéj dolinie, biednym wieśniakiem, dziecięciem niewinném i zgubiliście mnie! Wy, czytając w mojém spójrzeniu ledwie ośmieloném, czynną duszę i żądze gorące, użyliście ich na swoją korzyść a moją zgubę! — Nie ruszaj się! — znasz mnie! —.

FERRARDO.

Jestem ci posłuszny — Muszę. Wspomnij jednak Saint-Pierre, żem cię jak dziecię ślacheckie wychować kazał?

SAINT-PIERRE.

A! prawda! Dałeś mi nauczycieli! skorzystałem z ich nauk, stałem się czém jestem teraz, śmiałym, wytwornym, zepsutym! — narzędziem waszém, posługaczem waszych namiętności — No! no — stój Xiąże i podpisuj.

FERRARDO.

Widzisz że się nie ruszam. Czyś ty rozum stracił Saint-Pierre, te dziesięć tysięcy dukatów są twoje!

SAINT-PIERRE.

Xiąże! dziesięć tysięcy dukatów!! Cóż to? Oddaj mi Xiąże młodość moją, moją poczciwość, ciało silne i zręczne, życie spodlone w twych usługach — Xiąże! Jam robił za ciebie nie raz, teraz ty zrób moją robotę. Podpisz ten papier, podpisz! albo — Ja tu panem!

FERRARDO.

Na prawdę tak mówisz!

SAINT-PIERRE.

Spójrz mi w oczy.

FERRARDO.

Mam ci dać więcéj?

SAINT-PIERRE.

Podpisz!

FERRARDO.

Dwa razy tyle!

SAINT-PIERRE.

Xiąże — podpisz!

FERRARDO.

A gdybym ci dał czterdzieście tysięcy dukatów?

SAINT-PIERRE.

Patrz Xiąże, na ten zegar. Gdy będzie południe już nie czas podpisać naówczas — pół minuty daję Xięciu; a potém nie inaczéj przemówię tylko tym sztyletem, który dotyka ci serca.

FERRARDO.

Słówko tylko, Saint-Pierre — słówko!

SAINT-PIERRE.

Podpisałeś ?

FERRARDO.

Podpisałem !

SAINT-PIERRE.

Bardzo Xieciu dziękuję !

Któżby to uwierzył, że w oryginale, w téj scenie, autor potrafił umieścić róże, grób ojca, widmo i całą kartę słów próżnych? Gdyby to kto silniejszy pisał, zemsta Saint-Pierra mogłaby zrobić wielki effekt; lecz charakter ten szczęśliwie wymyślony, mdławieje i miękczy się przez deklamacye, którym Sheridan opędzić się nie może.

Wystawcież teraz sobie, tę poezyę miłą, dumającą Sheridana Knowles, to wyszukanie sentymentalno-moralne, ten wdzięk blady i sztuki pełen,—użyte do napisania dzieła, którego osnowa jest dziką, okropną, najstraszniejszą jak być może; będziecie mieli z pomięszania tego dwójga niegodziwy dramat, jak jest *the Daughter*. Na północnych brzegach hrabstwa Cornouaille, w kraju dzikim, i pustym, którego piaski i skały corocznie okrywają się tysiącznemi szczątki rozbitych okrętów i potarganemi członkami biednych topielców; mieszka lud żyjący łupem, którego bogactwem są szczątki te, lud który wygląda burzy, błąka się po przylądkach, dobija umierających i odziera tych, których

woda na brzeg wyrzuci. Ci ludzie zowią się *wreckers*, od wyrazu *wreck* (rozbicie). Niepodobna mieć na nich oka; żyją zdala od miast, nie wychodzą z domu inaczéj jak zbrojni, a popełniając zbrodnie na bezbronnych i wpółumarłych; przez to samo unikają kary i sądu, jak równie oczu świadków. Poeta jeden angielski XVII wieku, w dramacie jakimś z pospolitego życia, tym *wreckers* dał role silne i pełne affektu; dzieło jego jest nacechowane gwałtownością, brutalstwem, brak mu pięknych słów i wytworu, ale nie zbywa na sile. Sheridan Knowles, biorąc ten sam przedmiot, niby go (w swojém przekonaniu) upięknił, dodając heroinę romansową, córkę jednego z tych *wreckers*, która gada jak panna świeżo z pensyi wyszła, i mięsza z dzikim wiatrem i burzą oceanu, sentymentalne jęki, smieszne i nieskończenie długie. Nie ma tu odrobiny siły wewnętrznéj Shakspeara, nie ma jego ludzi tak prawdziwych, tak cudnie naturalnych, nie ma także ostréj prostoty gburostwa Southerna i Lillo; mnóstwo występków, zbrodni oburzających, a obok nich, dziewczyna elegijna, naperfumowana — różowy lakier na trupach. Ktokolwiek ma uczucie sztuki i uczucie potrzeby harmonii, wzdryga się.

Widzieliśmy sztukę dramatyczną w Anglii, sparalizowaną, dwóma różnemi wpływami; a-

nalizą metafizyczną i sentymentalną affektacyą. Spójrzmy jeszcze co się stało z dramatem, pod wpływem napuszenia epicznego. *Paracelsus* pochodzi, naśladuje Wordswortha. *Ttę Daughter* przypomina Otwaya. *Kosmus Medicis*, o którym wyżej wspomnieliśmy, napisany został pod natchnieniem wziętém od Miltona i Goethego.

Metafory, allegorye, uosobienia, królują w tém dziele, którego autorem jest człowiek mało znany P. Horne. Główna myśl jest antithezą; dwa charaktery sprzeczne postawione obok siebie; ojciec i syn; zasady i namiętności, wola i instynkt, siła i niestateczność. Horne nadużywa figur retorycznych, ukazuje naprzykład: *Rospacz wyciętą z lodu, rozciągnioną na gościńcu doświadczenia — Miedzianą nogę ślepego przeznaczenia, idącą po drodze brukowanéj koronami. — Okropność siedzącą we włosach najeżonych Mediceusza. — Głowęzabójcy uwieńczoną krwawym zmrokiem.* Te naśladowania wymowy Eschylera, ani są dziś stosowane, ani się dadzą wytłumaczyć w dramacie z nowszych czasów. Najwyższy wdzięk stylu Shakspeara, zależy na użyciu łatwém i urozmaiconém wszelkich barw, wedle potrzeby i zmian zachodzących w dramacie; on jest razem wzniosły, elegijny, wesoły, rubaszny, żywy, naiwny, wdzięczny i uroczysty. Tysiąc strón, odzywa się pod biegłą jego ręką. Alfieri zna tylko jeden ton,

Shakspeare wszystkiemi włada. P. Horne zaś, stylem swym, pełnym fałszywéj wzniosłości i świetnych obrazów, przypomina, nie istnie dramatyczną giętkość Shakspeara, lecz *Chapmans mighty line*, jak mówiono w XVI wieku, wspaniałe wiersze Chapmana. Jest to coś nakształt Bréboeuf, nakształt Pindara nawet, nieustanne warczenie namiętności i metafory; słuchacz musi się znużyć tém napuszoném kłamstwem; zdaje mu się że dzwięki, które słyszy, dochodzą go powiększone miedzianą trąbą. Zlanie wszystkich dzwięków, oddanie harmonijne ich rozmaitości, udało się tylko dotąd, jednemu największemu artyście, który miał dosyć giętkości i śmiałości na to—jednemu Shakspearowi, który wszystko objął i wszystko wydał. Trzeba naprzykład w *Macbethcie*, przypatrzéć się, elegii rodzącéj się z dalekiego przeczucia przyszłych nieszczęść, rozwijającéj się w wierszach pełnych melodyjnéj prostoty; potém czarodziejskiemu światowi czarownic, ryczącemu didtyrambem piekielnym; a duszy kobiéty którą duma w mężczyznę zmienia piorunującéj jak błyskawica na czarném niebie. W *Romeo* znowu mieszają się głosy świegotliwéj mamki i naiwnego dziecka ledwie poznającego miłość; głos miły i śmieszny, a za niémi odzywa się uroczysty, religijny mnicha katolickiego.

Plan *Kosmusa Medicis* bardzo prosty. Jan i

Garcia, synowie Kosmusa, zakochani w jednéj kobiécie oba, polują razem na dzika w lesie pod Florencyą. Każdemu z nich zdaje się, że zabił oszczepem zwierzę, które umknęło w zarośle.

JAN.

Ja to!

GARCIA.

To ja, powiadam ci! to ja!

JAN.

Mój oszczep go przebił.

GARCIA.

Ale gdzież on? wymknął się.

JAN.

Jużem go dotykał, gdy tyś się rzucił na oślep bijąc. Z twojéj przyczyny, dla twego szalonego zapału, straciłem go.

GARCIA.

Tędy zwierz uciekł. Oto gałęzie które potrzaskał kłami, oto ślady jego przejścia, znać białą pianę na liściach; ale już nie czas za nim gonić.

JAN.

Nic przykrzejszego, jak tak się zwieść szkaradnie. Nie cierpię tych zabawek bez celu; ale gdy wychodzę na nie, nie zniosę, abym sam miał być igraszką dla drugich.

GARCIA.

I ja tak sądzę... Na cóż się bardzo trapić, polujmy daléj.

JAN.

Rób sobie co chcesz a daj mi pokój; nie jestem w humorze znoszenia czegokolwiekbądź.

GARCIA.

Jak ci się podoba.

JAN.

Żartujesz sobie ze mnie?

GARCIA.

Las wielki, twój humor może się w nim pomieścić, nie dotykając mnie. Uspokój się, wróć do matki; wyproś u pięknéj Hippolity kilka słów miodowych dla przywrócenia ci słodkiego humoru.

JAN.

Hippolity! co ty mówisz? co chcesz przez to rozumieć? wspomniałeś jéj imie aby mnie obrazić.

GARCIA.

To imie nadto mi jest drogie, abym go na taki cel używał.

JAN.

A! to imie jest ci drogiém! ty ją kochasz!

GARCIA.

Tak! kocham ją, — No — cóż to ci się stało? drżysz, usta ci się skrzywiły, ręce zatrzęsły?

JAN.

I ja kocham Hippolitę.

GARCIA.

Ty!..

JAN.

Ja — kocham ją z całéj duszy. Zyskałem jéj miłość, jestem jéj pewny, kochamy się wzajemnie.

GARCIA.

A! przeklęty! masz inną kobietę zaślubić, a tę mi odbierasz, wyrywasz mi jéj miłość, jedyny skarb mojéj duszy! Podłość i podłość?

JAN.

Dziécię! milcz! Ani słowa więcéj, milcz!

GARCIA.

Nie chcę milczéć, nie będę milczał — kocham ją jak duszę moją, więcéj niż życie, nad wszystko! podły!

JAN.

Niewytrzymam — Ukarzę cię płazem tego miecza — (*dobywają oręża.*)

. . . .

GARCIA.

Co ci jest Janie?

JAN *raniony.*

Jam winien Garcia — ukarany jestem, umiéram.

GARCIA.

Ach! nie umrzesz! to być nie może! rana twoja nie głęboka.

JAN.

Śmiertelna.

GARCIA.

To nie może być — nie! nie.

JAN.

Czuję uchodzące życie—Trawa krwią moją zarumieniła się — ciężki tuman mnie opasał — wszystko widzę przez całun mglisty.

GARCIA.

To nic, to nic.

JAN.

Nie, nic — tylko śmierć — słuchaj, słuchaj ostatnich słów moich, (*Garcia klęka*) zanieś błogosławieństwo moje Hippolicie — na wieki! Błogosławię ją z wieczności— Przyrzecz mi to dopełnić.

GARCIA.

Obiecuję ci, przyrzekam — o Boże!

Ta scena, bardzo dobrze ułożona, jest z całego dramatu najlepszą, a podobno jedynie dramatyczną. Po dokonaniu zbrodni, zatrzymuje się sztuka, i nie ma końca deklamacyom. Kosmus Medicis, ukarawszy niesprawiedliwie syna swego Garcia, który padł zabity przez zbira, dowiaduje się potém o jego niewinności, i wyrzuca sobie gorzko, okrutną swoją srogość. Msza żałobna nad truną młodzieńca, na któréj znajduje się ojciec dręczony wyrzutami sumienia, kończy dramat, nad którym dłużéj zastanawiać się nie będziemy; — piękniejsze części jego zbyteczną zeszpecone napuszonością, zbliżają się do epopei i ody.

Wśród tego powszechnego upadku sztuki dramatycznéj w Anglii, upadku do którego nachylała się oddawna, jakeśmy to wyżéj przykładami okazali, Edward Lytton Bulwer, powziął myśl reformy sztuki i dokonał tego szczęśliwie. Umówiwszy się z aktorem Macready, począł od oczyszczenia materyalnego teatrów, oddawna rzuconych na łup rozpuście; opuszczonych przez lepsze towarzystwo i uczciwe klassy niższe a służących za schadzki dla rozwiązłéj młodzieży. Był to pierwszy krok do podniesienia sceny. Potém, dla zaciągnienia pod nową chorągiew, znakomitszych talentów, dla uzyskania ich współdziałania czynnego, postarał się o ważne zmiany w prawach,

służących autorom dramatycznym, względem własności ich dzieł. Było zwyczajem w Anglii, kupować dramat u autora, co się zwało *copyright*; potém zaś wielkie czy małe były zyski z przedstawień, należały już całkowicie do dyrektora i teatru. Ztąd, brak emulacyi, nic nie zachęcało pisarzy, dawano dzieła tłumaczone z francuzkiego, nic nie kosztujące; teatr szedł ciągle i widocznie do zupełnego upadku. (*a*) Bulwer, członek parlamentu i literat, wziął na siebie obronę pisarzy; dzięki jemu, własność dzieła zapewniona im jest w Anglii, dzieli on, jak we Francyi, zyski z przedstawień, i ma swój własny interess we wzroście sztuki i teatru.

Bulwer, przygotowawszy tak wszystko, wziął się do samego dzieła. Usiłował zająć publiczność dramatami, któreby nie były mechanicznie, wyrobniczo, bez myśli naśladowane; lecz istotnémi dziełami sztuki, razem znowu oparł się wpływowi mystycyzmu metafizycznego, deklamacyi szkolnéj i pantomimy z dekoracyami, tak ulubionéj od ludu. Z kolei probował historyi i romansu na scenie, tworząc z nich —

---

a) Bez mała czego, jesteśmy w tém samém położeniu, z tą różnicą, że tego upadkiem zwać nie można, bośmy wyżej nigdy nie byli. P. T.

i Rchelieu'go, *Pannę de la Vallière* i *the Sea Capitain.* (Kapitana okrętu.)

W téj ostatniéj sztuce, najlepiéj udało się Bulwerowi, zmieszać pierwiastki, które chciał połączyć. Dzieło to, w Londynie, najlepiéj teraz jest przyjmowane,

Pewien młody człowiek, opuszczony przez matkę, przypadkiem, nieznając jéj, zbliża się do niéj; ona przyjmuje go w swoim zamku jako gościa.

NORMAN.

Po rozbiciu okrętu, byliśmy w najsmutniejszém położeniu.

LADY ARUNDEL.

A mówisz Pan o tém tak wesoło.

NORMAN.

My, żeglarze, tacy jesteśmy, ale i na mnie przychodzą złe godziny.

L. ARUNDEL.

Pan, zdaje mi się, oddawna opuściłeś Anglią? Rodzice jego z radością go ujrzą znowu.

NORMAN.

Ja nie mam familii.

Ł. ARUNDEL.

Smutne a tak spokojnie wyrzeczone wyrazy! Chciałabym być Panu użyteczną, chciéj mi zaufać.

VIOLET.

O Normanie, możesz, możesz zaufać Lady Arundel. Historya twoich lat młodych, musi każdą duszę kobiéty poruszyć.

NORMAN *do L. Arundel.*

Pani, głos twój, jak dzwięk czarodziejski, obudza w mojém sercu, struny oddawna milczące. Powiem ci przygody wygnańca, jeśli chcesz je słyszéć. Nie są one długie. Do lat] czternastu żyłem u starego poczciwego xiędza w tych okolicach. Nic spokojnego mego dzieciństwa nie zamieszało; nagle opanowały mnie dzikie, niespokojne myśli. Brakło mi czegoś na tym pięknym i szczodrym świecie: jednego wieczora, gdy milczące gwiazdy jasniejąc, strzegły pokoju ziemi i wody, w mojéj duszy powstał żal jakiś i boleść; spytałem poczciwego staruszka — *czemu ja niemiałem matki?*

L. ARUNDEL.

Coż ci odpowiedział?

NORMAN.

Zapłakał i rzekł — Masz znakomitą familię,

L. ARUNDEL *na stronie.*

Oszukał mnie.

NORMAN.

Dodał, że przyjdzie zapewne chwila w któréj ciemna przeszłość moja rozjasni się jasną przyszłością. Natenczas, słuchając go, zdało mi się żem sobie przypominał postać jakąś piękną i bladą, mówiącą do mnie czułemi wyrazy, wyrazy które tylko matka wyrzec może.

L. ARUNDEL.

Boże, co ja cierpię!

NORMAN.

Pokazał się natenczas w naszéj wiosce, człowiek jeden w obejściu otwarty i gburowaty, był to majtek który dziwy opowiadał o dalekich krajach, Ja go słuchałem chciwie. Zapaliło się serce moje tém opowiadaniem, i ja za-

żądałem przepłynąć ocean, którego fale, biły o ściany naszéj chatki. Wielkie imie Waltera Raleigh poruszało serca wszystkich; uwiedziony porywającym mnie głosem, uciekłem z majtkiem.

L. ARUNDEL.

A ten xiądz, nie objaśnił cię o twojém urodzeniu?

NORMAN.

Nie. Dozwolił mi odpłynąć niesprzeciwiając się temu i rzekł: Idź, zasłuż sobie na imie, któreby nawet największéj pochlebiało dumie; ci którzy cię opuścili, z chlubą cię po tém przyjmą.

L. ARUNDEL.

Oddycham.

NORMAN.

Serce twoje pani, potrafiło się zająć losem obcego człowieka? Zbladłaś kilka razy.

L. ARUNDEL.

Opowiadanie pańskie mocno mnie zajmuje, mów daléj proszę.

NORMAN.

Nędznik któremum zaufał, wsiadł zemną na szalupę, lecz gdyśmy przybyli do okrętu, który do niego należał, okuł mnie w kajdany,— był to morski zbójca. Odpłynąwszy na morze, wywiódł mnie na pokład i w obecności wszystkich rzekł z uśmiechem. Dziecię, nie moja w tém wina, kajdany twoje złoto ukuło, to złoto dała matka twoja.

L. ARUNDEL.

Kłamstwo! szkaradne kłamstwo!

NORMAN.

Tak pani, ja sam zawołałem na niego że kłamał i porwawszy sztylet, który trzymał w ręku, uderzyłem go nim

w czoło. Dwadzieścia mieczów zabłysło nad moją głową; ale zbójca ocierając krew z czoła, rzekł: — O! byłaby to za lekka śmierć dla niego. — Przywiązać go do deski i wrzucić w morze. Rozpięto żagle, ja pozostałem sam jeden na morzu, sam, a nademną Bóg tylko.

VIOLET *biorąc go za rękę.*

Łzy które mi z serca płyną, napełniły te oczy... Bóg cię ocalił!

NORMAN.

Cały dzień jeden, całą noc potém, krucha deska oddzielająca mnie od przepaści, bita falami płynęła zemną. Ucichły wiatry, a gdy gwiazdy zaświeciły na niebie, świat zdał się tak miły, niebo tak piękne, morze tak łagodne, że przypomniawszy słowa owego nędznika, rzekłem do siebie: — Wiatry i fale więcéj mają litości niż matki! Pani płaczesz.

L. ARUNDEL.

Ja? płaczę! Mów pan daléj.

NORMAN.

Dzień zaświtał — Naprzeciw słońca ukazał się żagiel, potém banderola.

VIOLET.

Nakoniec.

NORMAN.

Przepłynęli nie postrzegłszy mnie. — Nadeszło południe, z niém pragnienie; głód; spalonemi usty wzywałem śmierci, usiłowałem wyrwać się z więzów krępujących mnie i przejadających ciało, chciałem się utopić. Naówczas zdało mi się, że przez wód przezroczystość, ujrzałem poruszające się i płynące ku mnie, coś wielkiego, tzarnego, z oczyma świecącémi, goniącémi za mną; — była co potwora, która płynie za okrętami czatując na pastwę.

Życie w obliczu niebezpieczeństwa, znowu mi się drogiém stało, z wzrokiem wlepionym, z najeżonemi włosy płynąłem daléj, usypiając — członki moje zdrzewiały, traciłem przytomność. Oczy potwory ciągle były we mnie wlepione.

VIOLET.

Mów daléj, mów.

NORMAN.

Gdym odzyskał przytomność, usłyszałem język rodzinny, ujrzałem oczy niespokojne z dobrocię spoglądające na mnie, leżałem na pokładzie — uszedłem śmierci. - Bóg czuwał nademną.

Już kilku utalentowanych pisarzy, czujących w sobie powołanie do teatru, skorzystało z zaprowadzonych w nim przez Bulwera ulepszeń. Między niémi odznacza się Leigh Hunt, dziwny człowiek, który dotąd w Anglii nie wiele zyskał wziętości. Pewna namiętna przesada, zastępująca natchnienie, a nie umiarkowana siłą rozsądku, która jego charakter stanowi, nie przypada do narodowego charakteru Anglików. Najlepszém jego dziełem, jak się nam zdaje, jest podobno ostatnia tragedya pod tytułem: *Legenda Florencka.* Należy ona widocznie z planu do szkoły sentymentalnéj, o któréj była wyżéj mowa; zbywa jéj na sile, rozmaitości, na węzłach. Ciągle styl patetyczny Eurypidesowy, mniéj wprawdzie zniewieściały i naturalniejszy niż Sheridana Knowles; ale powieść sama z życia codziennego przyjemnie rozłożona na sceny.

Braknie tu rozmaitości, jaka jest właściwa prawdziwemu światu, braknie spójrzenia na świat sumiennego, z wysoka; lecz sztuka ma swoje zalety w prostocie i namiętności, które ją odznaczają.

Leight Hunt nie wysilił się na osnowę, jest to tylko *Guido i Ginevra*. Rzecz dzieje się we Florencyi, za papieztwa Leona X. Ginevrę, młode dziewczę ubogie, pokochał szlachcić Antonio, miłością pełną uszanowania i czystą; ona poszła za mąż za niejakiego Agolanti, człowieka podeszłego wieku, charakteru podejrzliwego, egoistę, bez serca. Rozchodzą się wieści o śmiesznéj zazdrości jego po Florencyi. Wierna swym obowiązkom, Ginevra, któréj charakter wdzięcznie jest odmalowany, odsyła nieczytając listy Antonia; chociaż jego młodość i miłość potrafiły pozyskać na swoją stronę służące, paziów, cały dwór Ginevry. — Zniewieściałość włoska XVI wieku, żywo tu odmalowana w dramacie, i to nie mała jego zasługa. Ostatni list Antonia, któren Ginevra odesłała nieczytając, wpada w ręce męża. Znajduje w nim dowód jéj niewinności, lecz odtąd bacznie zaczyna ją śledzić. Niepodoba mu się smutek młodéj żony, i gdy ona rozmawia z kilką przyjaciołkami, zbliża się do niéj z gniewem i wyrzutami; rozjątrza go spokojna cierpliwość Ginevry, chwyta ją silnie za ręce i ściskając woła:

— Za kwandrans czekam cię w czerwonym pokoju; słyszysz to?

Wszyscy się usuwają i wkrótce, mąż i żona schodzą się w swym pokoju czerwonym, który jest raczéj oratorium włoskiém, z ołtarzykiem Madony.

AGOLANTI.

We wszystkiém mi się sprzeciwia. Kazałem jéj zdjąć ten obraz, nie chciała. Zna moją cześć ku Najświętszéj Pannie, wie, że mój gniew jakkolwiek najsprawiedliwszy, nie potrafi wybuchnąć w obec tego obrazu. Pobożność jéj nawet jest podejściem — Przeklęta!.. Przeklęta!..

(Agolanti zamyka obraz, podaje krzesło żonie i staje przy niéj.)

GINEVRA *wesoło.*

Dészczyk ten odświeżył powietrze, wychodziłeś rano, lękałem się, żeby cię ten dészcz nie spotkał, żeby ci nie zaszkodził. —

AGOLANTI.

Lękałaś się! chybaś się spodziewała! Lękaszże ty się tego, czego ja się boję, spodziewasz czego ja spodziewam? Moja pani, dość tych mów, dość tego zmyślanego mną zajęcia, oddalającego cię tylko od przedmiotu, którego się lękasz: odemnie. Jutro wielka uroczystość we Florencyi, zapewne zechcesz w niéj uczestniczyć, ty co drżysz za każdém drzwi stuknieniem i upadnieniem szpilki! Będą tam trąby i bębny, wyborne lekarstwo na choroby nerwowe! Nie jedno pchnięcie szpadą na igrzyskach, które nieśmiałe płaksy do łez pobudzić potrafi.

GINEVRA.

Dotąd nieoświadczyłam ci chęci widzenia turnieju,

ani uroczystości, niczego co ty uznasz nieprzyzwoitém dla mnie.

AGOLANTI.

Zapewne nic nie mówiłaś, nic nie chciałaś, czekasz aż mąż osądzi co jest przyzwoitém, żeby miec przyjemność uczynić przeciwnie.

GINEVRA.

Przysięgam ci że nie będę tam, i to bez żadnego żalu, uważaj to za niezawodne.

AGOLANTI.

No! ale ja myślę być na turnieju, to dla tego zapewne zostajesz *bez żalu*, żeby swobodnie odebrać list od Antonia.

GINEVRA.

Wszakże odesłałam je wszystkie nieczytane.

AGOLANTI.

Wiele ich było?

GINEVRA.

Trzy.

AGOLANTI.

Tak — trzy nieczytane, prawda; a wieleż czytanych? Milczysz upornie — co znaczy to kiwnienie głową?

GINEVRA.

Mój Boże, czy milczę czy co mówię — wszystko to jedno, zawsze będę połajaną. Nie powinienbyś się tak zemną obchodzić. Jakkolwiek jestem cierpliwa, nie mam siły znieść tego. Nie dawno byłam bardzo chora i jeszcze dotąd jestem osłabiona.

AGOLANTI.

Widziałem cię słabszą, a zawsze gotową do walki zemną, zawsze pełnę nienawiści ku mnie.

GINEVRA.

Nie jestem aniołem, kobiétą tylko.

AGOLANTI.

Przynajmniéj żeś się przyznała! Zapewne to nie są występne wyrazy oburzenia, które mi z ust wyrywa ciągła twoja ku mnie pogarda.

GINEVRA,

Mogłam zbłądzić, żal mi tego; ale nie można porównać winy, z latami całemi cierpień, które mi zadajesz bez przyczyny, bez zgryzoty.

AGOLANTI.

Bez przyczyny! co za głosek słodki! co za anielski tonik! Co za kłamstwo istoty nadto drobnéj, aby ją warto było ukarać, nadto nieczułéj, aby ją można poruszyć. Ty mnie nigdy nie kochałaś, nigdy u ołtarza nawet, gdy z zimną podłością, z rezygnacią niecną, z kłamstwem na ustach, wzięłaś mnie za męża, spodziewając się zyskać niepodległość, dom, majątek, gardząc tym który ci dawał to wszystko.

GINEVRA.

Nigdym tobą nie gardziła. — Nie wiedziałam co to pogarda, byłam dziecięciem ufném i niewinném — O! gdybyś mógł — Ale na cóż powtarzać to, co codziennie napróżno ci mówię? (*wstaje i przechadza się po pokoju*) krew mi z gniewem do głowy uderza, nadto wymagasz odemnie! Cożem uczyniła o Boże! żeś mnie ukarał tym despotyzmem okropnym, ktory wymaga od swéj ofiary cnot wszystkich, a sam nie ma z nich żadnéj.

AGOLANTI.

Bardzo pani dziękuję — szczéra jesteś w końcu.

GINEVRA.

Przebacz, przebacz, gniew nie zna pomiarkowania, i nie wie co mówi.

AGOLANTI.

Aha! tak to! pani nigdy nie odpowiadasz! pani jesteś cierpliwa, łagodna—

GINEVRA.

Kończ, kończ, masz słuszność. Ja com ganiła gniew, sama się nim uniosłam. Mógłbyś mi jednak przebaczyć i mieć litość nademną, bo i ty nieraz zgrzeszyłeś podobnie.

AGOLANTI,

Co za dobroć! co za słodka ironija!

GINEVRA.

Nie, nie, na moją duszę, mówiłam szczérze, z głębi serca, o wspólnéj nam obojgu wadzie — Przebacz mi, będę ci wdzięczną.

Antonio, dość niezręcznie, wyzywa na pojedynek męża i wymaga od niego, aby mu zdał rachunek ze złego obchodzenia się z żoną, o którém wie już całe miasto. Wśród dzikich wykrzyków kochanka i ironicznych męża odpowiedzi, który, potrzeba wyznać, ma słuszność za sobą, przychodzą oznajmić Agolanti, że żona jego—umarła. Wrażenie jakie ta wiadomość czyni na mężu i kochanku, dobrze oddane. Szpady wypadają im z rąk; słychać dzwon pogrzebowy na ulicy, Antonio zdejmuje kapelusz; mąż niemy pozostaje z nakrytą głową.

—„Odkryj głowę, podły!“ woła na niego Antonio.

Tym czasem, łatwo to zgadnąć, Ginewra nie umarła prawdziwie. Wedle zwyczaju włoskiego położona na łożu paradném, obudziła się z leturgu i okryta całunem, paszła zapukać do drzwi męża, który z przestrachu zabobonnego, zamknął je przed nią, padając na kolana. Odepchnięta, udaje się do mieszkania Antonio, którego znajduje samego, w nocy wspartego o jeden z pilastrów, utrzymujących portyk jego domu.

ANTONIO.

O najpiękniejsza, o najmilsza! życie moje było życiem w dowiém, ona nie była moją! (*Ginevra zatrzymuje się o kilka kroków.*)

GINEVRA.

Antonio.

ANTONIO.

O nieba! kto ty jesteś?

GINEVRA.

Nie lękaj się spójrzeć na mnie, Antonio, jestem Ginevra, pochowana lecz żywa, wyszłam, lecz nikt nie chce mnie do siebie puścić, matka nawet moja przelękła się mego głosu, przychodzę błędna, niemając schronienia, zapukać do drzwi twoich. Miéj litość nademną, dobry Antonio, wybaw mnie, bo lękam się tych ulic pustych, w nocy.

ANTONIO.

O! z najstraszniejszych i najcudniejszych rzeczy, najstraszniejsza, najcudniejsza — kto ty jesteś? Jesteś li aniołom z nieba oznajmującym mi nowe próby i nowe walki? Jesteś li żyjącą jeszcze, ta ręka może się dotknąć mojéj?

GINEVRA.

Weź mię za rękę, prowadź do siebie, bo przestrach,

zdziwienie, długa słabość, czynią mnie saméj sobie straszną — nie wiem jak utrzymać się mogę.

(*Antonio podchodzi zwolna, bojaźliwie, dotyka jéj ręki i przyciska ją do serca.*)

ANTONIO.

To Ginevra! — w mojém ręku! pada... droga moja! łzy jéj mieszają się z mojemi, — Umiera, umiera! ja ją zabiłem.

(*Ginevra, wysuwa się z jego objęć i klęka.*)

GINEVRA.

Wrócą mi siły — o panie! dobry Antonio — Bądź ty takim jakiegom ciebie wyobrażała sobie — nie myśl o mnie złego. Dozwól mi przejść ten próg bez obawy hańby — dotąd jam nieszczęśliwa lecz czysta!

ANTONIO.

Wstań; jeśli się sama będziesz mogła utrzymać, ja się oddalę — oddalę od ciebie to serce, które cię kocha, lecz szanuje. Oszalałem, szaleję widząc cię żywą i tak blizko mnie, lecz o najdroższa, ty aniele Antonia! Powiedz słowo tylko, przemów, ja cię kocham tyle, że orzeźwiwszy cię chlebem i winem, sam odprowadzę cię do twego domu, do twego męża — wrócę niebo temu człowiekowi, który żałować będzie swego przeszłego postępowania.

GINEVRA.

Nigdy! Grób nas rozdziela — ręka niebios to uczyniła! On sam, on sam uczuł to, gdy cisnącą się do drzwi jego odepchnął, i odpędził. Twój tylko dom i klasztor przyjmą mnie jeszcze w tém życiu — ty mnie do niego zaprowadzisz. Daj mi schronienie do ranka? Masz matkę?

ANTONIO.

Dobrą matkę, dzięki Bogu, pobożną, litościwą, odważ-

ną. Będzie ona twoją matką, póki ten dom twym domem. Wstanie zaraz, zaprowadzi cię do osobnego pokoju i przyjmie jak córkę.

GINEVRA.

Dzięki niebu! — Widzisz jak silnie idę o swojéj mocy.

Ginevra przepędza pięć dni całych u Antonia, którego monolog wart zacytowania.

ANTONIO.

Pięć dni szczęścia, nikt nie wie jaki skarb ten dom w sobie zamyka. Wszyscy ją tu kochają. Wzięła za rękę moją matkę — mówiła że miłe jéj oczy. Wczoraj, dwa razy moje imie nasunęło się jéj, zamiast innego. Ach! tak też jestem dumny, tak silny; cóż to za szczęście miłość i choćby odrobina nadziei wzajemności! Nie pojmuję jakbym mógł być szczęśliwszym, jak moje położenie stać się może roskoszniejszém, świętszém? Nie dotykam ziemi, nic nie widzę, moją tajemnicą tylko żyję. — Na całym świecie dla mnie tylko dwie istoty — *ona* na którą patrzę — *ja* co się wpatruję zawsze. —

Potém mąż przychodzi po żonę i odbiera ją nazad do siebie. Przyjaciele Antonia, młodzi panowie, w własnym domu drwią z starego Agolanti. On, jednego z nich uderza sztyletem, uderzony nawzajem, umiera a Ginevra zostaje żoną Antonia.

Takie to są usiłowania, lat kilku ostatnich, podniesienia teatru w Anglii. Nie wspomniałem tu o tragedyi klassycznéj, adwokata Talffourd, która wiele narobiła szumu w literackim i modnym świecie. Tytuł jéj *Jon*; odznacza się

dokładném naśladowaniem form greckich, wierszowaniem wytworném, kolorytem świeżym, i wdziękiem pełnym pokuju, szczęśliwie wziętym od muzy Sophoklesa. Dramat ten grany być nie mógł jednakże. Sztuki Bulwera, nadewszystko *the Sea Captain* (Kapitan Okrętowy) łączą w sobie dobrze umiarkowane pierwiastki poezyi i dramatycznego interessu; przez to staną się może popularnemi. Lecz czy się uda podnieść, zreformować, odrodzić teatr angielski? Rzecz wątpliwa.

Jedna podobno tylko jest epoka dla dramatu, w życiu ludów; a europa cała niesiona niepojętym pędem, codzień się oddala od owych błogich czasów młodości naiwnéj, w których dramat dla ludów jest potrzebą, chlubą i potęgą.

Philarète Chasles.

(*Revue des deux mondes* 1840.)

III.

SZTUKI.

I.

WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH PARYZKA 1840.

Ażeby dać wyobrażenie czytelnikom naszym o obrazach i rzeźbach wystawy tegorocznéj paryzkiéj, wyliczym znaczniejsze i przywiedziem zdanie o nich P. Gustawa Planche, wyjęte z artykułu jego w *Revue des deux Mondes*, opuszczając to tylko, co albo niezrozumiałém, albo mało zajmującém byłoby, dla tak nieoswojonych z dziełami sztuki i sądem o nich, jak my dotąd jesteśmy.

—„Portrety P. Hornung z Genewy, okrzyczane były oddawna, pisze autor artykułu, za cuda, mające w sztuce prawdziwą uczynić rewolucyą; mówiono że nigdy nic podobnego nie wyszło z pod pęzla Titiana, Rubensa i Van Dycka. Z wielką uwagą przypatrywaliśmy się portretom P. Hornung i przekonaliśmy się, że w istocie szkoła Wenecka i Antwerpska nic podobne-

go nigdy nie wydały. Z nadesłanych dzieł P. Hornung, nie ma jednego, któryby się dał porównać z Titianem, Rubensem lub Van Dyckiem; w tém przystajem na zdanie wielbicieli P. Hornung. Szkoły Wenecka i Antwerpska zalecają się szczerością, prawdziwością kolorytu; starają się twarzy ludzkiéj nadać pewien charakter wielkości, idealności; — nic podobnego nie znaleźliśmy w portretach, o których mowa. Przyznamy chętnie, że one z cudowną cierpliwością i bardzo zręcznie są wykonane; ale nie ma w nich sztuki pojętéj tak, jak ją pojmowali owi wielcy malarze, których imiona wspomnieliśmy. Ciała (Karnations, chairs) P. Hornung wszystkie są koloru spalonéj kości, a włosy i brody podobne drutom; nic naturalnego. Gdyby nawet P. Hornung najdokładniéj oddał wzory swoje, daleko by był jeszcze od Titiana, Rubensa i Van Dycka, którzy nie mieli jedynie na celu ściśle wzorów swoich wynaśladowywać. Wszyscy więksi artyści pojęli to, że aby walczyć z naturą, potrzeba ją wykładać swobodnie, nie niewolniczo naśladować. P. Hornung daleki jest nawet od dokładnego naśladowania, oryginały jego portretów nie mogą żyć i exystować; bo nigdzie na świecie nie ma twarzy z kości i włosów druciastych. Dla nadania portretom swoim charakteru prawdy, P. Hornung studiował twarze za pomocą szkła powiększającego, szukając w nich

najmniejszych drobnostek; spisał inwentarz wszystkich marszczków, plamek i brodawek; a przyjaciele malarze nie mogli nie uwielbiać go. Ale malarz nie powinien wdawać się w inwentarze; plamy, brodawki i marszczki nie są dla niego najważniejszą rzeczą. W niejednym portrecie P. Hornung usta podobne są do zapleśniałego starego muru, skronie okryte górami, wydęciami. Bardzo być może, iż familia oryginałów tych portretów płacze z radości na widok tak doskonałych kopij dziadunia lub babuni; lecz ci którzy sądzą portrety jako dzieła sztuki, zmuszeni są wyznać, że uwielbienie P. Hornung niezmiernie przesadzono. Drogie to są dary cierpliwość i zręczność, ale tego jeszcze nie dosyć.

Jeśli P. Hornung chce zostać przy pozyskanéj sławie, niech więcéj nic nie przysyła na wystawę do Luwru.

Dziesięć portretów Champmartina, nie warte są poprzedzających dzieł jego, któremi sławę pozyskał. Kiedy P. Champmartin malował pierwsze swe portrety tak sprawiedliwie uwielbiane, starał się urozmaicać sposoby, w miarę rozmaitości swych wzorów; każda głowa była dla niego nowém studium. Chociaż oddawna pewny był swéj ręki, chociaż pęźle były mu posłuszne; sam nie łatwo swoją robotą się zadowalniał, a publiczności dobrze

z tém było. Dzisiaj P. Champmartin nie dość jest surowym sędzią dla siebie, zaniedbuje rozpoznania charakteru specyalnego głów, które za wzór bierze. Gdyby się przywiązywał do cierpliwego studiowania każdego wzoru z osobna, portrety jego nie tylko byłyby podobne, byłyby lepsze pod względem sztuki, boby miały sobie właściwą indywidualność; za rozmaitością linii, poszłoby urozmaicenie kolorytu i tonów. Nadesłane dzieła P. Champmartin dowodzą pewnie wielkiéj biegłości, ale są widocznie niedokończonemi, niekompletnemi, (portrety te są PP. Henriquel Dupont, Emile Deschamps, Ricourt, Jules Janin, Eugene Delacroix etc. etc.)

P. Amaury Duval, zaślepiony pochwałami swoich przyjaciół, coraz się bardziéj oddala od natury i prawdy. Portrety jego PP. Alexandra Duval, P. Barre i Pani Menessier Nodier, wszystkie mają jedne wady. Każdy z nich wedle jednostajnego narysowany systematu, każdy ma też same błędy. Nic już nie mówię o szarym nieożywionym ich kolorycie, bo P. Duval, jako uczeń P. Ingres, uważa koloryt za rzecz zbyteczną, a nawet szkodliwą czystości stylu i wzniosłości myśli; ale cienie są aż do śmieszności poprzesadzane, a rysunek nie wytrzymuje rozbioru.

Portret Pani Oudine, przez Hippolita Flan-

drin daleko jest lepszy od wszystkich P. Amaury Duwal. Kolorytowi brak wdzięku, ale maska twarzy modelowana śmiało. Pomimo błędów rysunku, nie jest ta sztuka bez zalet.

Portrety Pana i Pani Aguado przez P. Cornu z wielką odrysowane biegłością. W obudwóch jednakże ręce źle położone, rysują linie niekształtne.

Portret panny Rachel (artystki dramatycznéj) przez P. Charpentier dość niedokładnie przypomina barwę i wyraz jéj twarzy. P. Charpentier nie chciał literalnie wynaśladować wzoru swego, była to myśl sama z siebie dobra; ale zdecydowawszy się na wolne tłumaczenie téj twarzy, powinien był usiłować dójść jéj charakter wyłączny i logicznie uczynić go wyrazistym, nawet nieco przesadzić, byleby był dobitnie oddany. Tego nie uczynił, nie ma w tym portrecie téj ironii i lekkiéj wzgardy, które są właściwe twarzy P. Rachel; — portret P. Charpentier wyraża tylko znudzenie. Linie twarzy są czyściejsze, poprawniejsze niż w naturze; ale wyraz zniknął. Toż samo zarzucić można portretowi P. Guyon, którego oryginał więcéj ma siły i energii niż zadumania; a portret rozmyśla ale nie okazuje siły. Jeśli autor życzy pozyskać sławę trwałą portrecisty, powinien się odzwyczaić od tych zdrobnień wyrazu; bo portrety PP. Rachel i Guyon, więcéj-

by nierównie warte były, gdyby P. Charpentier wydał w nich charakter zwyczajny swoich wzorów.

Portrety P. Dubufe przechodzą niezgrabnością i poczwarnością swoją, wszystko cośmy dotąd widzieli. Trudno sobie wyobrazić rysunek śmieszniéj fałszywy, koloryt tak bezwstydnie nienaturalny. Kobiéty P. Dubufe nie mogłyby ani wstać, ani ręki podnieść; pochwały, które im powszechnie oddają, dowodzą, że we Francyi uczucie sztuki nie jest tak powszechne jak mniemamy; bo P. Dubufe nie jest nawet malarzem. U niego najpiękniejsze twarze nabierają wyrazu dziwnego, najdelikatniejsze usta, najwięcéj znaczące spójrzenia, stają się pospolite, trywialne. Mówmy szczérze, popularność P. Dubufe, oczywista, niezaprzeczona, jest istném zgorszeniem. Nie ma oberży wiejskiéj, którejby szyld rysunkiem i kolorytem, nie przechodził portretów P. Dubufe. Póki P. Dubufe nie przestanie malować, póty krytyka nie przestanie powtarzać, że jego portrety są poczwarne i okropne; nie przestanie objaśniać tych, dla których sztuka nigdy nie była zajęciem, tylko zabawką, że P. Dubufe nie umie rysować głowy ani ręki, że oczy jego portretów nie patrzą, palce nie mają składów, usta nie mogłyby się otworzyć, że, nakoniec dzie-

ła jego, są jakąś generacyą potwor bez imienia, niemających podobieństwa do rodu ludzi.

Sprawiedliwość Trajana, P. Eugeniusza Delacroix jest najpiękniejszym obrazem tegorocznéj wystawy. Łatwo byłoby w tém dziele okazać kilka wad rysunku; lecz wady te, wynagrodzone są pięknościami pierwszego rzędu, znajdującemi się w obrazie. Drugi i trzeci plan obrazu, przypominają najpiękniejsze tego rodzaju dzieła szkoły weneckiéj. Ozdoby architektury pomyślane są i oddane śmiało, z prostotą, harmonijnie, i przypominają wszystkim obraz *Wesela w Kanie a*). Jeśli to prawda, jak zapewniają, że *Sprawiedliwość Trajana*, z trudnością została przyjętą do wystawy i to większością jednego tylko głosu; ubolewać musim nad zaślepieniem członków czwartéj klassy Instytutu, z których żaden wykonać nic podobnegoby nie potrafił, a tém mniéj pomyśleć. Nie wiele potrzeba umieć, aby okazać błędy rysunku pierwszego planu tego dzieła; nie największéj potrzeba biegłości, żeby się dopatrzeć w czém koń Trajana jest źle narysowany; lecz ażeby skupić w jedno wszystkie części tego o-

---

a) Domyślamy się, że tu mowa o sławnym obrazie *Gód w Kanie Galilejskiéj* przez Pawła Veronese, znajdującym się w Galeryi Drezdeńskiéj.

J. I. Kraszewski.

brazu, ażeby stworzyć ten tłum patrzący i słuchający, trzeba szczególnego, rzadkiego talentu, trzeba daru niebios, którego nigdy nauka nie zastąpi, trzeba uczucia wielkości i siły. Prawdziwie tylko godny nazwiska malarza człowiek, mógł pomyśleć ten obraz; toteż najsurowsza krytyka, nie przecząc błędom rysunku pierwszego planu, wskazuje go jednak powszechności, jako wyborne dzieło. Wady są niezaprzeczone, lecz piękności także pierwszego rzędu. Nic w tym obrazie nie ma dziecinnego, wymuszonego; wszystko śmiałe, pewne; niepodobna nie chwalić, gdyż dzieła tego rodzaju rzadkie są dzisiaj bardzo.

Otwarcie Izby Stanów (Etats-Généraux) w r. 1789. P. Couder, ma kilka części dokonanych szczęśliwie, kilka grup wybitnie i naturalnie zarysowanych; nadewszystko zręcznie nacechowano (tiers-état) średnią klassę. Lecz ogół kompozycyi, nie jest wcale zaspokajający; mieszanina kolorów białego i fioletowego, nadaje obrazowi szczególniejszy pozór, jakgdyby miał wyobrażać śniegi. Dodajmy do tego, że osoby są rozrzucone przeciw prawidłom wszelkim, a między niemi zostające tu i ówdzie otwory, przeciwią się harmonii linearnéj. Jeśli to wypadło z programmatu danego P. Couder, wina programmatu. Bardzo być może, iż obraz ten zgadza się z dyaryuszem posiedzenia i opisem

jego, ale przeciwi się przepisom sztuki. Trzeba było dając przedmiot malarzowi, zostawić mu swobodne wykonanie i ułożenie myśli, wedle wymagań i prawideł sztuki.

Le 18 brumaire P. Bouchot, niższy od poprzedzającego obrazu, podobne nastręcza uwagi. Autor *Pogrzebu Jenerała Marceau*, musiał także mieć sobie wskazany nietylko przedmiot, lecz sposób ukazania go. Głowa Bonapartego nie dobra; lecz tyle jest dowodów talentu w tym obrazie, iż należy sądzić, że P. Bouchot byłby nierównie lepszy obraz zrobił, gdyby go nie krępował programmat.

Śmierć Prezydenta Brisson P. Alexandra Hesse, nie ma zupełnie stylu; gdyby nie katalog obrazów, niepodobnaby zgadnąć do jakiéj klassy należą wystawione tu osoby. Głowy wszystkie niezmiernie pospolite.

Jeśli, jak powiadają, Belgowie unoszą się nad talentem P. Keyser, musieli przestać już czuć Rubensa, bo *Bitwa pod Woeringen* tego malarza, jest to zbiór najpospolitszych rzeczy, nic nieznaczących a źle odrysowanych. Płótno całe zabite a nie napełnione; wzrok nie wie gdzie spocząć i nie spotyka jednéj postaci, któraby go zastanowiła śmiałością obrysów lub wdziękiem kolorytu; są obicia pokojowe nierównie wyższe od tego obrazu.

Colloquium w Poissy P. Roberta Fleury, przed-

stawia zbiór głów słuchających uważnie i kształtnie modelowanych; scena jest dobrze pojęta i oddana w sposób dla patrzących zajmujący. Obraz ten, nierównie jest od innych tegoż autora, wyższy. Możnaby zarzucić P. Fleury, że wszystkie jego osoby są na jédnym planie, lub mało co daléj; możnaby zarzucić, że sala nie jest głęboka; lecz pochwalić należy rozmaitość wyrazów twarzy, chociaż patrzącego uwaga nie rozerwana jest żadnym epizodem dziecinnym. Widać że autor usiłował wydać rzecz jak najlepiéj i okazać o co chodzi tym zgromadzonym, widać że sam sobie surowym był sędzią. Koloryt obrazu nie ma nic wdzięcznego; lecz całość harmonijna. Pierwszy to obraz téj wagi P. Roberta Fleury.

Święty Jan P. Gleyre, zasłużył na tę, jaką pozyskał wziętość; głowa, ręce, draperya studiowane są pracowicie, i biegle bardzo wykonane. Koloryt silny, rysunek poprawny, poruszenie naturalne. Głowa, oświecona z przodu, wyraża doskonale zachwycenie, w którém S. Jan zostaje; pod względem naturalności, cała maska twarzy godna pochwały, lecz może nie dość idealna. Wyraz bardzo dobry; ale linie nie mają téj prostoty i wzniosłości, którejby wymagać należało. Taki jednak jak jest, ten obraz wart jest, aby zwrócił uwagę, bo dowodzi wielkiego talentu w exekucyi i śmiałości

pęzla, któraby w większych posłużyła lepiéj obrazach. Mimo braku idealności, widoczna jest że P. Gleyre ma talent do przedmiotów religijnych; w postawie (attitude) i draperyi S. Jana jest ta wzniosłość stylu, któréj biblijne przedmioty wymagają.

Z trzech peizażów P. Corot, jest jeden, którego układ nic niepozostawia do życzenia; ten to, któren nazwano: *Zachodem słońca*; ziemie, drzewa, niebo, pastuszek, składają całość harmonijną najsurowszych zachwycającą sędziów. Jest to peizaż, na którenby miło było często spoglądać. Nigdy dotąd P. Corot nie potrafił tak dobrze wyrazić swéj myśli; szkoda że częściowa exekucya, nie odpowiada pomysłowi. Massy drzew są dobre, ale patrzeć na nie z blizka nie można, tak niezgrabnie i bezsilnie wydano pnie, gałęzie i liście; postać pastuszka wybornie umieszczona, odrysowana nienajlepiéj. Jednakże, peizaż ten ogólnie wzięty jest wyborny; jest to prosta starożytna sielanka.

Obrazy P. Marilhat niższe są od poprzedzających dzieł tego autora. Dla uniknienia ostrości tonów (crudité de tons), które mu w początkach wymawiano, rzucił się w jakąś do żadnéj szkoły nie należącą exekucyą, nie odznaczającą się ani kolorytem, ani rysunkiem; zdaje się że jak najdaléj ucieka od oryginalności; przerzuca swoje kartony i kopijuje szkice Wschodu, nie

zadając sobie pracy układania obrazu. Jeśli P. Marilhat nie poprawi się, pewnie wszyscy zapomną o jego początkowych pracach.

Widok Zamku Arques P. Pawła Huet w znacznéj części jest dobry, zdaje mi się, że mogę pochwalić z wszelkiém bezpieczeństwem kolloryt wzgórza, tła i nieba, ale niepodobna mi zgodzić się na drzewa umieszczone na przedzie obrazu; tony tu tak są surowe, że robią widoczną plamę. Szanując kontrast, który P. Huet chciał zachować między drugim a trzecim planem obrazu, zdaje się, możnaby jednakże drzewa uczynić lżejszemi i nie tak ciemnemi.

Peizaże P. Cabat, nie równają się jego poprzedzającym, a w miarę jak powiększa swe kompozycye, widoczniejsze stają się wady. Obłąkany zamiłowaniem dokładności, sądzi się obowiązanym zarówno wykończać wszystkie plany obrazu; tak naprzykład w widoku *Jeziora Némi*, głąb jest równie wypracowany jak przód, co effektowi szkodzi. To przywiązanie się do wykończenia bardziéj jeszcze nie mile uderza w obrazie nazwanym *Samarytaninem*. Droga idąca po prawéj stronie obrazu, od przodu w głąb wszędzie jest równie skończona, i dla tego zdaje się cała równie blizko patrzącego. Lewa strona wykonana jest z rzadką zręcznością; ale jakiekolwiek są zalety téj kompozycyi, zdaje się, że na tak wielki obraz, peizaż jest

za mało znaczący, zmniejszony do dwóch trzecich lepiejby się wydawał. Co się tycze paraboli, którą P. Cabat mniema, że zamknął w tym widoku, zdaje się że ona źle z nim się łączy. Gdy Poussin historyczny peizaż układa, stara się zawsze umieścić osoby swoje tak, aby w nim były potrzebne, konieczne; usunąwszy je obraz nie byłby kompletny. W *Samarytaninie* P. Cabat, wprowadzone osoby nie tylko nie są konieczne, lecz nie są wcale potrzebne; czy są czy ich nie ma, peizaż ma tęż samą wartość i myśl. P. Cabat ma więc uczyć się jeszcze dwóch rzeczy, optyki i poetyki peizażu; potrzeba aby się zastanawiał nad odległościami gdy wykończa, aby się nauczył sztuki trudnéj wiązania peizażu z osobami, któremi go ożywia.

Widok Konstantynopola P. Gudin, już żarcikiem jakimś, podobnym do przeszłych improwizacyi tegoż autora. W obrazie tym, którego kolorytu niepodobna oznaczyć, nie można także znaleźć jednego wyraźnego kształtu. P. Gudin zrobił z Konstantynopolem to, co wprzód czynił z Włochami; obraz tegoroczny nie nauczy nic tych, którzy nie widzieli, nie przypomni tym, którzy widzieli; kolor świeżego masła rozlany po całém płótnie, nie maluje żadnego klimatu; jest to kompozycya ze zbyteczną dokonana łatwością.

Port Marsylski P. Eugeniusza Isabey, jest

jednėm z najlepszych jego dzieł; wody są doskonale naturalne, okręta cudownie zręcznie wykonane. Szkoda że kształt obrazu szkodzi effektowi kompozycyi i lepiejby było ująć jedną trzecią jego wysokości.

Strafford Pawła Delaroche, sztychowany przez Henriquel Dupont, jest arcydziełem wykończenia, dokładności, czystości rysunku; wszystkie części téj blachy są wykonane z największém staraniem i rzadką zręcznością. Głowy, ubiory, kamienie, wykończone są tak delikatnie, że niepodobna byłoby nic doskonalszego zrobić. Same pochwały winniśmy P. Dupont, lecz zdaje się nam, że każdy wpatrzywszy się w ten sztych, przekona się o małéj wartości kompozycyi P. Pawła Delaroche. Sztych jest próbą stanowczą, któréj obrazy podrzędnéj wartości nie wytrzymują bezkarnie. *Strafford* jest obrazem, w którym P. Delaroche najwięcéj okazał talentu częściowéj exekucyi; ale obraz nie wiele przez to znaczy i w sztychu ta czczość jego najmocniéj się wydaje. P. Dupont uczynił co tylko mógł, nie potrafił jednak rylcem swoim dopełnić, czego tu brakło.

Portret P. Guizot sztychowany przez Calamatta, jest godzien artysty, który tak wybornie oddał *Ślub Ludwika XIII.* Maska twarzy i ręce są oddane z giętkością i naturalnością, nic niezostawującą do życzenia. W reszcie posta-

wy, P. Calamatta usiłując nadać koloryt właściwy draperyi, poświęcił rysunek i chybił. Należą mu się pochwały za zwycięzkie oddanie dziwacznego wymysłu P. Delaroche, który głowę na tle marmurowym (!) umieścił; w oryginale była to śmieszność, w sztychu jest dowodem biegłości niepospolitéj. Na autora obrazu spaść także powinny zarzuty, chybionego rysunku twarzy, któren Calamatta wiernie oddał.

Przemienienie, sztych P. Desnoyers, jest dziełem sumiennem, godnem pilnego zastanowienia. Autor starannie oddał obrys i wyrazy każdéj głowy; i pod tym względem sztych P. Desnoyers wyższy nam się zdaje od Raphaela Morghena *a*). W sztychu jego, niebo, ziemie, ubiory

---

a) Znamy bardzo dobrze sztych Raphaela Morghena, znajduje się on w *Musée-Napoleon*; ale znawcy zaspokoić nie może. Gdyby chodziło tylko o delikatne wykończenie, o jak najdelikatniejsze cięcia rylca, naówczas wyznalibyśmy, że sztych ten dość jest dobry, lecz szukając wyrazu i ogólnego effektu, trudno go pochwalić, choć sławne imię Raphaela Morghena wymaga tego koniecznie. Widać z téj blachy, że ją sztycharz z wielką pracą, cząstkowo wykończał, ale się nie zastanowił nad nadaniem obrazowi harmonijnéj całości. — Każda postać zdaje się skądś inąd wzięta, i jedna z drugą nie godzą się. Twarze z blizka widziane nie tylko nie mają wyrazu, lecz znaczącemi błędy rysunku biją w oczy.

i głowy oddane są jednostajnym sposobem (procédé); cała blacha jest jakby jedną siatką pokryta. P. Desnoyers zastosował rylec swój do przedmiotów, które oddawał, sztych też jego zaleca się wyrazistością niepospolitą. Draperye tylko trochę są ciężkie. Ażeby osądzić ostatecznie o sztychu, trzebaby widzieć dzieło Raphaela. Zdaje mi się wszakże, że w obrazie jego, większa być musi harmonija kolorytu, niżli się jéj z tłumaczenia P. Desnoyers domyślać można.

(*Dalszy ciąg o wystawie dzieł rzeźbiarstwa nastąpi w drugim tomie.*)

Przytém wszystko jest ostre, twarde i ciężkie, nic się nie zlewa, nie łączy; nie wiem czy nie zbyteczne wysilenie sztycharza, było przyczyną, że mu się całkowicie nie udało jego tłumaczenie.

J. Ig. Kraszewski.

II.

WYNALAZEK DAGUERRA I LIEPMANA UWAGI.

Dwa nowe wynalazki mechaniczne, będą niechybnie miały wpływ znaczący na sztuki graficzne. Daguerrotyp i machina Liepmana do kopijowania obrazów olejnych. Niektórzy uważają je za zgubne dla sztuki a bardziéj jeszcze dla artystów; lecz w téj myśli jest równy przesąd, jaki dawniéj w wynalazku machin parowych, przędzalni, warstatów etc. wskazywał same dla społeczności szkody. Biorąc na uwagę, że mechaniczna, bezmyślna część sztuki nie przez człowieka wykonywaną już będzie, musim wyznać, że cała ta rzesza kopiistów, artystów bez talentu, wyrobników, nie będzie miała chleba. Lecz jestże z tém gorzéj? Artyści imienia tego niegodni, obrócą się do innych zatrudnień, staną na właściwym sobie miejscu. Codzień się mnożą wymyślne potrze-

by życia towarzyskiego,—będzie zawsze co robić i czém się zatrudnić.

Wynalazek Liepmana naszém zdaniem płodniejszy jest w skutki od Daguerrotypu. Wyroby tego ostatniego dotąd dość kosztowne, służą tylko za studia szczególnéj dokładności dla artystów. Jeśli, jak ciągle mamy nadzieję, przyjdzie do użycia papieru zamiast blaszek, zawsze nie zniży to tak dalece ceny wyrobu, aby ten miał być popularniejszy od sztychów i bardzo już tanich a przystępnych wszystkim litografij. Tak więc Daguerrotyp, może się przyłożyć do nadania sztuce więcéj trochę dokładności w exekucyi, o co podobno nie wiele tu chodzi — i na tém koniec.

Wynalazek Liepmana zniżając cenę obrazów olejnych (dotąd tak drogich nawet w dobrych kopijach), doprowadzając kopiją do tego stopnia doskonałości, o jakim mówią; przez to samo upowszechni dzieła sztuki, poda środki upopularyzowania jéj. Jest to bardzo wiele. Każdy będzie mógł mieć za małą cenę to, co dawniéj kosztowałoby monarchiczną fortunę (świadkiem owe tak drogie arcydzieła Galeryi Drezdeńskiéj); każdy będzie mógł w domu zapatrywać się wygodnie na to, co wprzód albo w niedokładnym i zimnym widział sztychu, albo daleko odbywał pielgrzymkę, aby ujrzeć.

Powtarzamy, jeśli tylko fama o wynalazku

tym nie za wiele mówi (jak często w początkach bywa), stanowić on będzie epokę w historyi sztuki. Daguerrotyp udoskonala peizaż pod wzdlędem podrzędnym dokładności (mijamy inne jego nie artystyczne użytki) — machina Liepmana rzuca w obieg arcydzieła, czyni je popularnemi, przez to samo rodzi zamiłowanie powszechniejsze sztuki.

Nie potrzeba się lękać, aby te wynalazki artystów zabić miały, jak niektórzy mówią. Są to zawsze tylko machiny bez myśli; a póki w sztuce potrzeba będzie myśli i uczucia, póty jeden tylko człowiek artystą być potrafi. Prawda, że cała czereda mierności, zabita; ale tego nie wielka szkoda. Z mierności tych ciągle wyrabiają się talenta przez pracę; tych jeśli zaród jest w młodych artystach, nic go nie zniszczy.

Czy wynalazek Liepmana zniży w ogólności cenę obrazów, a mianowicie starych? To się nie prędko pokaże. Albo upowszechnienie kopij, zabije oryginały (jeśli kopije będą im równe) albo jeszcze wyżéj ich cenę podniesie. Przewidujem jak kompletne będą teraz Galerye!! Ile druk wpłynął na literaturę, tyle prawie wpłynie ten wynalazek na losy sztuki. Sztych bowiem najdoskonalszy nawet, jest zawsze bardzo tylko słabém odbiciem obrazu; ten koloryt sztuczny, którym dziś starają się sztycharze

brak istotnego zastąpić, jest ledwie wskazówką, sztych jest zawsze trochę abstrakcyą; nie okazuje też mechanicznéj doskonałości artysty; która w pewnym względzie jako malująca jego charakter i stopień ukształcenia interessuje przynajmniéj lubowników i znawców. Są obrazy mające wartość niezaprzeczoną (większa część pejzażow), których jednak effekt, znaczenie, myśl nawet zależą od kolorytu, że poznanie ich prawdziwe, winni dopiéro będziemy wynalazkowi Liepmana. — Ocenienie także szkoły flamandskiéj pod względem exekucyi i kolorytu, pocznie się u nas i po innych krajach, gdzie sztuki mało kwitną, od daty poznania ich, że tak powiem w oryginałach.

Jakże się nie cieszyć, jak nie weselić myślą, że sztuka dotąd kryjąca się po pracowniach artystów i pałacach możnych, zejdzie do wszystkich; że nowy zmysł, nowa roskosz, przybędzie biédnym ludziom.

Lecz czekajmy. Może też za nadto łatwowierni, gdy dziś tak skąpą, ostróżnie gazetom i doniesieniom wiarę dawać należy; może roim to, co nie przyjdzie do skutku, z powodu że wynalazek mniéj jest doskonały, mniéj rozległych wpływów na przyszłość, niżeli nam go opisują. Czekajmy więc; — według świeżych wiadomości Rząd ma zakupić sekret i ogłosić go. Będzie to prawdziwie godném największéj wdzię-

czności. Wynalazek taki zmieniony w monopolium, nie będzie mógł mieć rozległych skutków; ścieśniony, zprofanowany u źródła, nie wyda owoców. Zakupi go banda przemyślnych i zbuduje na nim fortunę! Jeśli w czém, to w upowszechnianiu wynalazków wielkiéj pod jakim kolwiek względem dla społeczności wagi, okazują Rządy swoją pieczołowitość o dobro powszechne.

Bodajby wszyscy składać się mieli na zapewnienie nagrody pracowitemu i tylą ofiar znękanemu artyście. Lepiejby dać na to, niż na pomnik dla niego po śmierci; bez którego prawdziwie wielcy ludzie się obchodzą, a miernym nie na wiele się on przyda.

Z niecierpliwością oczekują wszyscy, których obchodzą sztuki, rozwiązania zagadki, odkrycia sposobu a nadewszystko objawienia się wpływu, jaki mieć musi koniecznie tak ważny wynalazek. *a*)

Gródek d. 5 Sierpnia. 1840.

J. I. Kraszewski

---

a) Sposób jakim Liepman działa, jest ogólnie wiadomy i to jest zasada jego; ale wiedząc wszystko co dotąd o tém wiedzieć można, trudno wszakże pojąć, jak w sześć godzin osoba nieznająca rysunku, pięćdziesiąt kopij nieustępujących w niczém oryginałowi zrobić może. *I. K.*

IV.

ROZMAITOŚCI.

SPÓJRZENIE NA DZISIEJSZĄ LITERATURĘ POLSKĄ.

Dosyć pocieszający jest widok stanu literatury polskiéj w terazniejszych latach. Nie chcemy przesadzonemi pochwały usypiać działalności ledwie budzącéj się naszych pisarzy; owszem radzibyśmy zapisując i rozpoznając wyraźny postęp i ożywienie dodać tém bodźca. Bo to co czynim, cośmy uczynili, wiele jest gdy patrzym tylko na samych siebie, mało bardzo gdy się porównamy z innymi, nawet słowiańskiego szczepu literatur postępami. Nie chciejmy więc zakładać już rąk i mówić sobie: Wieleśmy zrobili, dosyć uczyniliśmy. Owszem pracujmy goręcéj jeszcze, jedni drugim dodając odwagi i ochoty.

Od lat kilku dawały się czuć w literaturze, jak przed porodzeniem, poruszenia pewne, dowodzące brzemienności. Tam i sam wyrywały się oderwane głosy. Skarżyliśmy się na brak piszących, na małą czytających liczbę, na tłumaczenia zalewające prassy xięgarskie. Ten głos był dowodem uczucia swojego stanu i proroctwem mających powoli zajść odmian. Jakoż, wśród powtarzających

się żalów i sarkań, wzięto się do pisania (więcéj jeszcze niż do czytania podobno); niektóre domy dając dobry przykład, dozwoliły sobie na dziesięć tomów francuzkich, kupić dwa polskie przynajmniéj i odważyły się kłaść je otwarcie na stolikach salonu! Wszyscy jednogłośnie bijąc na zamiłowanie zbyteczne w literaturze francuzkiéj, osłabili wreście smak do niéj przynajmniéj w klassie średniéj; wyrodził się wstyd uczciwy, a za wstydem przyszła jeśli nie cała, to przynajmniéj cząstkowa poprawa. Krajowa literatura więcéj osób obchodzić zaczęła; co się jawnie pokazuje z tego, że nowe publikacye polskie mają czytelników i konsumentów, a więcéj wartające dzieła, doszły w krótkim czasie drugich wydań. Po większych miastach ożyły polskie xięgarnie.

Nie myślemy tu kréślić historyi kilkoletniego kolejnego postępu i wyliczać wyszłych w tym przeciągu czasu dzieł, już to że artykuł nasz stałby się przez to nad zamiar nasz obszerny, już to że trudno jest do takiego przeglądu zebrać materyały, gdy dotąd nie mamy żadnego bibliograficznego dziennika, któryby się skrzętnie trudnił spisywaniem wszystkich dzieł polskich nowo-wyszłych. Taka kronika literacka jest bardzo pożądaną. Wprawdzie niektóre pisma peryodyczne urywkowie ogłaszają nowe dzieła, ale nie zajmując się tém wyłącznie, publikując tylko to, co je przypadkowo dochodzi, nie mogą zupełnie zadość uczynić potrzebie zgromadzenia w jedno, wiadomości o wszyszkich nowych pismach.

Abyśmy dali, choć lekkie wyobrażenie stanu bieżącéj literatury, przejrzym główniejsze ogniska, z których wychodzą nowe dzieła nasze, poczynając od najbliższego nas, Wilna.

Tu, poczniemy od publikacyj Zawadzkich. Główną jest *Obraz bibliograficzno-historyczny literatury i nauk w polsce*, wydawany przez *A. Jochera*, którego tom pierwszy całkiem ukończony. O tém dziele mowiliśmy już tyle razy *a*) że na nowo tu sądzić je i chwalić nie widzim potrzeby. Zwrócim tylko uwagę czytelników na to, jakiéj ślachetnéj odwagi, jakiéj wiary w naszą publiczność potrzeba było (a taka wiara zaszczyt ludziom czyni) aby dzieło, niesłychanych kosztów redakcyi i wydania, zbioru materyałów ogromnego, podruży, starań tylu wymagające, ośmielić się wydawać u nas, gdzie, co tylko trąci nauką, poważnym wykładem, tak ciężko przystaje do głów większości, uważającéj literaturę za zabaweczkę.

Drugiém większém nakładu Zawadzkich dziełem, są *Wizerunki i roztrząsania naukowe*, których Redaktor *I. Szydłowski*. Zbyteczna by była o tém mówić, mają już Wizerunki ustaloną wziętość i zasługi swoje, ogłosiwszy tyle ważnych artykułów obchodzących krajową historyą i literaturę. Nowa przedmowa Redaktora przy trzynastym tomiku nowego pocztu, tak wybornie pomyślana, plan nowy na przyszłość temu pismu zakréślająca,napisana z szczególną prostotą i wdziękiem a powagą, na największe zasługuje pochwały. Wizerunki, zastępujące w Wilnie brak pisma peryodycznego literackiego, wybornie pomyślanym planem i Redaktora i nakładźcę chwalą. Oprócz tych dwóch dzieł, wychodzi u Zawadzkich: nowe wydanie *Słównika Łacińsko-polskiego X. Floryana Bobrowskiego*; a niedawno ukończone zostały, *Kazania wzorowe*. Długo oczekująca nakładźcy nasza *Historya Wilna*, któréj

---

a) Patrz Tygodnik Petersburski.

ledwie Tom pierwszy z tysiącem omyłek wydany został, a dalszych tomów wyjście, zbieg okoliczności tamował — znalazła także u Zawadzkich ochotne przyjęcie. Pierwszy jéj tom ozdobnie wydrukowany, wyszedł już, inne gotowe do druku, wkrótce się po nim ukażą. Dwa tomy zbioru pod tytułem *Rusatka*, zawierającego prozę i poezye ukraińców, wołyniaków i podolan, wyszły tu w latach 1838 i 1839. Trzeci oczekiwany.

U Zawadzkich wychodzą także *Spomnienia Olizara*, (wyszedł zeszyt 1-szy) ukazały się *Obrazy Litewskie* przez *I. Chodźkę*; Nowe poezye *J. Korsaka* we dwóch tomach, *Szkice obyczajowe i historyczne J. I. Kraszewskiego* (*Całe życie biédna. Mistrz Twardowski*). Prawdziwie ważnym jest nie wielki, ale pełen myśli drugi zeszyt *Obrazu myśli* przez *Fl. Bochwica*, który tu wyszedł; o nim czytaj artykuł M. Grabowskiego w Tygodniku. Nie wymieniamy innych publikacyj, albo ściśle naukowych, albo utilitarnych i mniéj literaturę obchodzących.

Spodziewane są też z pod prass Zawadzkich, poezye A. Spasowskiego, który cząstkowo znajomy jest z umieszczanych dawniéj w pismach peryodycznych Wileńskich, potém w Tygodniku.

U T. Glücksberga ciągnie się daléj Encyklopedya Powszechna. Dzieło to, jest myślą obcą, na naszą ziemię dość szczęśliwie przesadzoną. Własnie temi czasy ukazujące się zbiory podobne niemieckie, francuzkie, angielskie, rossyjskie, podały wydawcom myśl ich dzieła. Dokonanie w początkach słabsze było niż teraz, lecz pod ostatnim Redaktorem w Wilnie, gdy artykułów oryginalnych coraz znaczniejsza liczba przybywać zaczęła, *Encyklopedya* widocznie się ulepszyła, mianowicie

wszystkie artykuły o Litwie odznaczają się wielką nauką i nowym wcale sposobem widzenia rzeczy. Spodziewamy się że ta publikacya, ulegnie jeszcze odmianom na lepsze, co daj Boże. Tak powolnie redagowana, ta publikacya ma czas zebrać się na siły i materyały zgromadzić. Teraz dla przyspieszenia wychodzi razem w Warszawie i w Wilnie. Oprócz Encyklopedyi, powzięli bracia Glücksbergowie olbrzymi pomysł, wydania nowego wszystkich klassyków polskich, pod tytułem i na wzór *Pantheonu* nie dawno ukończonego we Francyi. Na ten cel nawet, dla pospiechu sprowadzono nową kosztowną prassę, która 12,000 arkuszy w dzień odbijać będzie. Mają także wydawać *Niesieckiego*, wielce zapewne pożądanego dla wszystkich, byleby redakcya lepiéj była pojęta, niżeli N. Bobrowicza, którego nowy Niesiecki, pięknością tylko wydania się zaleca, a podrzędna bardzo zasługa.

Zresztą T. Glücksberg co do ozdobności swych wydań, nie ustąpi spodziewamy się zagranicznym, nie szczędząc kosztów na to. Swieży dowód w pięknéj edycyi tłumaczenia Shakspeara przez J. Kefalińskiego, dziele ważném, którego ukazanie się, jest niejako dowodem, że się nam dopiéro na istotne poznanie obcéj literatury i reformę swojéj, oczy otwierać zaczynają.

Zapowiedziano także wyjście u T. Glücksberga ważnego dzieła, *O stosunkach literatury narodowéj z historyą*, dalsze ciągi dzieła M. Gr.... *Literatura i Krytyka*, *E. Tarszy* autora Koliszczyzny, *Stannicę Hulajpolską*, któréj dwa pierwsze Tomy, wystawujące tak malowniczy obraz brzegowéj ukrainy, już wyszły, *Podróż X. J. Hołowińskiego do ziemi świętéj*, odbyta w r. 1839, pier-

wszą pielgrzymkę ziomka naszego od czasów Radziwiłła; *Podole, Wołyń i Ukrainę, A. Przezdzieckiego*, tegoż *Próby dramatyczne*, *Poezye S. Konopackiego*, *Pisma przedślubne i przedśplinowe*, *Johna of Dycalp*; Tom drugi przekładu Shakspeara, nowe wydanie przekładu Tomasza a Kempis, trzeci zeszyt *Obrazu myśli* F. Bochwica. Z dawniéjszych wydań wspomnim ważne *Pomysły Herdera*.

A. Marcinowski, dawny wydawca dziennika Wileńskiego, ciągnie daléj publikacyą *Dziejów Litewskich T. Narbutta*, których wyszedł już tom dziewiąty, nad dziełem tém zastanawialiśmy się dawniéj i tu nieco powiemy jeszcze. Jest to owoc pracy wielkiéj, żmudnéj, cierpliwości zasług pełnéj, dzieło ważne dla historyi Litwy, lecz mówiąc otwarcie, ważne tylko jako materyał bogaty. I sposób widzenia rzeczy autora i sposób obrobienia nie zaspakajają wcale. Pierwszy nadto tchnie łatwowiernością, prostotą, nadto z dzisiejszego stanowiska patrzy na wieki wcale innego charakteru; nadto *gabinetów, ministrów i widoków politycznych* miesza w działania XI, XII i dalszych wieków, nadto przypomina i odtwarza Stryjkowskiego, z jego wszystkiemi wadami, gadatliwością, łatwowiernością, gawędami o krytyce a brakiem istotnéj krytyki; nadto lubi domysły, rozprawiania. Jak Stryjkowski pewien siebie staje przeciw wszystkim, mało rozbiera źródła i ich autentyczność, gdy te jego tylko fantazyi i przedsięwziętemu systematowi dogadzają, z którego nic go, nawet najjawniejsze dowody historyczne zwieść nie zdołają. Co się tycze stylu, układu, literackiéj wartości, o tych nie ma co i wspominać, bo P. Narbutt pogardził niemi widocznie i dziełu swojemu na-

dać innéj nad historyczną ważności nie starał się. W pierwszych jeszcze tomach, więcéj było użytych krajowych podań i wiadomości z naszych kronik czerpanych, w nowszych przemagają źródła niemieckie, szczegóły z archiwów, zapomniano nawet o Stryjkowskim, dla kroniki Litewskiéj Bychowca, która jakkolwiek mogła być jednym ze źródeł kronikarza, nie godzi się wszakże na nią jedna spuszczać, zwłaszcza gdy jéj wartości dotąd krytycznie nie oceniono. Trzymanie się zbyteczne już może źródeł niemieckich, jak wpływa na zmianę charakteru historyi, łatwo pojąć. P. Narbutt jakkolwiek nienawidzi po litewsku krzyżaków, sam może nie postrzega jak ich proteguje czerpiąc z ich źródeł.

Tak więc dziełu P. Narbutta przyznając wielką wartość, musiemy ubolewać, że tylko cenném być może, jako materyał, jako zbiór; wysoka zaś cena dzieła tak obszernego, musi je uczynić mało popularném i nieprzystępném dla wielkiéj liczby czytelników. Sądzę, że liczba tomów *Dziejów litewskich* o połowęby się zredukować dała, gdyby autor nie zapędzał się co chwila w zbyt rozwlekłe gawędy, domysły i rozumowania.

U tegoż A. Marcinowskiego wyszły: *Przysłowia ludu litewskiego*, przez *X. L A. Jucewicza*, młodego litwinofila, który także wydał *Obrazy miejsc świętych* z *Michaud* i *Poujoulat*, a pracuje nad *Badaniami Starożytności litewskich* i układem Noworocznika *Wejdalota*. Niecierpliwie oczekujem jego przyobiecanych *Rysów Żmudzi*, które nam nowy, dość nieznajomy świat odkryć powinny. Po X. L. A. Jucewiczu wyglądamy dalszych prac w przedmiocie litewskich starożytności, zwłaszcza, że i talent po temu i autor językiem, tak

mało u nas komu z piszących znanym, wprawnie włada, znając go doskonale.

Drukarnia *Blumowicza*, wydaje powolnie dziełka różnéj treści i wartości. Tu wyszły tomy naszych Wędrówek i wkrótce wyjść ma Poezyi tom trzeci.

Mniejsze drukarnie wileńskie co roku wydają mnóstwo drobnych pisemek, po większéj części tłumaczonych; odbijanych na bibule z tysiącem omyłek, które się rozchodzą razem z Kalendarzami Manesa i Zymela, na plecach żydków i wózkach podróżujących xięgarzy. Nie wspomnielibyśmy nawet, o téj gałęzi dzikiéj naszéj literatury, gdyby coraz mnożąca się liczba wyrobów tego rodzaju, nie dowodziła w niższych mniéj zamożnych klassach, rodzącéj się potrzeby czytania.

W Warszawie literatura całe inny ma charakter, tu na pierwszym względzie jest spekulacya, xiążkę uważają za lepszy lub gorszy towar, dogadzający smakowi publiczności, lub zwietrzały — dla tego też Warszawskie publikacye po większéj części są mdłe, a największy ruch i życie, objawiają się w literaturze peryodycznéj.

Przegląd Warszawski (Review) którego już kilka wyszło numerów, czyni nadzieję pisma literacko-naukowego, zupełnie oryginalnego i krajowemi wyłącznie mającego się zajmować przedmiotami. Wydawcą P. Budziłłowicz. *Przegląd* powstał na ruinach i na papierze dawnego *Muzeum Dmochowskiego*, które znikło (bez żalu wszakże) razem ze swoim wydawcą. Mówią, że F. Dm. . . . rzucając *niewdzięczną niwę* tak długo w pocie czoła uprawianą, poszedł pracować na innéj i

sieje hreczkę. Oby mu się lepiéj, niż jego tłumaczenia i recenzye udawała.

Magazyn Powszechny zapowiedział wielkie odmiany (malownicze publikacye wychodzą widocznie z mody) przyrzekająo nadal więcéj się swojskiemi przedmiotami zajmować i zmieniając się z Magazynu w rodzaj *Dziennika literackiego*. Spodziewamy się wiele po Redaktorze, którego imie jest rękojmią dla pisma. Nim jest P. Leon Roglaski. Nie czytaliśmy dotąd Magazynu, nie wiemy więc o ile słowa dotrzymał. Cena jego prenumeracyjna znacznie podobno zniżona w widokach, że przez to popularniejszym się stanie. Nie można tego nie chwalić.

Wychodzą jeszcze w Warszawie *Muzeum śmieszności* i *Humorysta*, źle pojęte naśladowania tego rodzaju pism francuzkich i niemieckich (*Figaro*, *Charivari*, *Les Guèpes*.) Przez jakiś czas (parę lat) był i *Świat dramatyczny*, który nie złe rzeczy tłumaczył, ale oryginalnych artykułów, recenzyj teatralnych i t. p. prawie nie zawierał. Każda też z gazet politycznych, ma mniéj więcéj warte literacko-rozmaitościowe *Dodatki*, pod różnemi tytuły. Jedne składają się z kradzionych artykułów z lepiéj redagowanych polskich dzienników, drugie z mizernych tłumaczeń, przeplatanych [czasem recenzyami bez znajomości rzeczy i bez sensu. Jedna tylko podobno *Gazeta Poranna*, któréj *Dodatki*, noszą tytuł szumny *Piśmiennictwa krajowego* obiecuje wiele, bo stara się o niewidzianą w Warszawie śmiałość i sprawiedliwość sądów w materyach literatury, o dobór artykułów, o ich świeżość, o wiadomości z literackiego świata; bo troszczy się nareście nie o zabaweczkę tylko

dla płochych czytelników, którym *Wieńce* i *Tęcze* wystarczają wybornie, ale o sumienne zaspokojenie potrzeb umysłów ukształconych lub kształcących się. Ztémwszystkiém Warszawa, która nie pojęła *Panoramy* A. Szabrańskiego, szukając w niéj *primo loco* powiastek i wierszyków, wątpię żeby ocenić potrafiła piękne chęci i gorliwe usiłowania Redaktora *Piśmiennictwa Krajowego*.

A. Szabrański, o którym tylko co wspomnieliśmy, ogłosił prospekt na nowe literacko-naukowe pismo peryodyczne — *Biblioteka Warszawska*, mające wychodzić miesięcznie i składać się z artykułów ile możności oryginalnych, lub choć tłumaczonych, ale mających czasową i literacką wartość.

Idźmyż teraz do dzieł wydawanych w Warszawie. Mnóstwo ich wychodzi w dwóch rodzajach — dla gospodarzy i dla dzieci. Te ostatnie pisane są po większéj części przez kobiéty, które przykład Klem. Tańskiéj zapalił, są w ogólności bardzo dobre, jako xiążki dla dzieci, lecz nie mogą żadnym sposobem liczyć się do wyrobów literackiéj wartości, bodajby były w swoim rodzaju najlepsze. Toż powiedzieć o xiążkach w najpiękniejszéj myśli edukacyi ludu wydawanych (Pan Wojciech), których tu nie będziemy wspominać z tychże powodów, równie jak bardzo licznych arcydzieł P. N. Kurowskiego i Kompanii, pisanych dla gospodarzy i gospodyń, owczarzy, kucharzy i t. d. Z boleścią serca widzim jak liczne, jak pokupne są te wyroby; zdumiewamy się, gdy je ogłaszają pod tytułem *dzieł* nowych! Trudno się omylić, to okazuje, że w Warszawie *utile* jest godłem wszystkich, że życie istnie umysłowe niżéj

jest daleko od życia agronomicznego, spekulacyjnego, gastronomicznego i t. d.

Kobiéty, które jakem wyżéj rzekł, zagrzewa dotąd przykład i sława K. Tańskiéj, wiele tu bardzo wpływu mają na literaturę. Grzeczność nie dozwala mi powiedzieć szczérze, jak ten wpływ uważam. Ztémwszystkiém i to prawda, że kobiéty w Warszawie, stosunkowo lepiéj pojmują (po swojemu) literaturę niż mężczyzni, więcéj się nią zajmują, więcéj jéj poświęcają. Ale zarówno na umysłach literatów płci obojéj, ciężyjeszcze tradycya XVIII wieku, z któréj się otrząsnąć nie mogą; ci nawet co tłumaczą Lamartina i V. Hugo, przyprawiają ich w sposobie dawnych przekładów Horacego i Boileau, starając się ile możności o mdłą wytworność, o gładkość wiersza, o nieposzlakowaną średniówkę i rym niepokalany!

Wychodzi tu co rok Noworocznik, z samych prac kobiécych złożony, pod tytułem *Pierwiosnka*. Myśl dobra.

Najskuteczniéj pracujący w Warszawie są Słowianofile, na których czele stoi W. A. Maciejowski, człowiek z rozległą nauką, żywą wyobraźnią, śmiałym acz często paradoxalnym sądem o rzeczach. Teraz on wydawszy część *Pamiętników*, znowu odbywa podróże, w celu gromadzenia nowych materyałów. Drugi po nim K. W. Wojcicki autor dzieł kilku, pracowity badacz starożytności, któren widoczny niedostatek talentu nagradza niezmordowaną pracą. Wychodzą teraz jego *Gawędy* i *Obrazy*, dalszy ciąg (tylko pod formą dramatyczniejszą) tego rodzaju zbiorów, jakiemi były: *Przysłowia*, *Śpiewy* i t. d. Wielkie dzieło jego dawno zapo-

wiedziane: *Badania Starożytności słowiańskich*, jeszcze leży w tece.

P. Kucharski jest trzecim słowianofilem, innych nie wymieniam, bo znajomi są zdawna wszystkim, a mianowicie zasłużony Linde.

P. M. Baliński, którego nówsze prace tu się drukują w części, (choć on sam do literatów Wileńskich należy) liczy się do najcelniejszych Warszawskich pracowników. Jego są *Pamiętniki o Barbarze*, *Historya Wilna*, *Żywot J. Sniadeckiego* i wiele innych pism. Materyały do nich autor potrafił zgromadzić liczne i ciekawe, układ w nich wyborny, styl jędrny, umiarkowany, poważny, osobnym charakterem cechują wszystko co z pod pióra jego wychodzi. J. Żochowski (który nie dawno zamieszkał w Warszawie) drukuje tu ważne swoje dzieło, mające dać nam historyą Fizyki. Wspomniałem już o A. Szabrańskim, niegdy wydawcy *Panoramy*, teraz *Biblioteki*, współpracowniku wielu pism peryodycznych, utalentowanym poecie; dołączę także A. Tyszyńskiego autora *Amerykanki*, osobliwszego dzieła, które mimo wielkiéj wartości oddzielnych swych części, jest niepraktykowaną amalgamą grammatyki i romansu.

Wychodzą tu w Warszawie: *Żywoty Świętych* (publikacya stygnąca) *Życie Napoleona* (obrazkowe). Dzieła wszystkie Hr. Br. Kicińskiego. *Pisma Hr: Skarbka*. Pierwszy Noworocznik religijnéj treści — *Alleluja* — ukazał się tego roku.

Bawił nie dawno w Warszawie Gaj Kroat redaktor pierwszego pisma peryodycznego kroackiego — *Dennica;* ten osobliwszą tu zwiastował nowinę (relata refero) poemat słowiański, drukowany w XVI wieku o Władysła-

wie Warneńczyka, przechodzący obszernością i wartością swoją dotąd znajome poemata słowiańskie (?) Wkrótce mają go przedrukować. Nie jestli to tylko bajeczka?

Zapomnieliśmy mówiąc o pismach peryodycznych wspomnieć o *Dzienniku sztuk pięknych*, wydawanym przez B. Skotnickiego, lecz podobno zapełniającym się samemi tylko tłumaczeniami. Niechby i taki był początek, bodaj słaby, bo brak pisma wyłącznie sztukom poświęconego, mocno się u nas czuć daje. Możeby i takie wzbudziło choć odrobinę uczucia sztuki i zapał ku niéj.

Czas nareście wspomnieć o pisarzach Wołynia i Ukrainy, którzy w różnych stronach pisma swoje drukują. Na czele ich postawim M. Grabowskiego, (E. Tarszę) Hr. H. Rzewuskiego, X. J. Hołowińskiego, J. Kefalińskiego, A. Przeździeckiego. Do tych także liczą się K. Podwysocki krytyk, który ocenia pisarzy XVIII wieku w artykułach drukowanych w Rusałce, Tygodniku, Gazecie porannéj, A. Groza wydawca *Rusałki*, M. Jezierski narodowy wołyno-ukraiński poeta i wielu innych.

W Lipsku u Breitkopfa i Härtla pod przewodnictwem N. Bobrowicza przedrukowują się xiążki polskie, w czysto spekulacyjnych widokach. Wydań tutejszych główną zaletą powierzchowność schludna; poprawnością się wcale nie odznaczają. Tym sposobem odbijają tu Niesieckiego; oryginalnych polskich pism mało wychodzi w Lipsku. Na edycye zaś ozdobne i Lipskim nieustępujące bynajmniéj (tylko poprawniejsze) zdobyć się już możemy i w Wilnie, sztychów chyba, klisze i stosownych ozdób zbywaćby nam mogło. A póki po nie uciekać się będziemy za granicę, póty zawsze xiążki będą miały minę dorabianych i łatanych. Bardzoby się powszechności

zasłużył ten przedsiębierca, któryby pierwszy zwrócił uwagę na krajowych artystów i dopomógł (biorąc na siebie koszta) do sprowadzenia narzędzi, wzorów, i t. p. do drzewo-rycia. Wszakci nie daléjby po to posyłać i jeździć trzeba jak do Petersburgu, gdzie szkołę Baron Klot otworzył. Co do litografii, te w Wilnie (mianowicie Oziębłowskiego) lepsze są niż w wielu nawet ze granicą zakładach.

We Lwowie dwie publikacye mianowicie głośniejsze od innych. *Słowianin* redagowany przez S. Jaszowskiego, mający wartość literacką i malujący dobitnie, nie zbyt energiczny charakter literatury Galicyjskiéj i *Lwowianin* pismo obrazkowe, mało warte, bo bez znajomości rzeczy, choć z usilnością i gorliwością redagowane przez L. Zielińskiego, o którym czytamy dziwne szczegóły w Tygodniku literackim Poznańskim. Oczekujemy ztąd napróżno dalszego ciągu *Teatru A. Hr. Fredra*, Do Galicyjskich wyrobów liczym *Prace Literackie*. wydane w Wiedniu przez J. D. Borkowskiego, zalecające się kilką pięknemi artykułami. Wspomnieć jeszcze należy o wychodzącéj tu *Galicyi w obrazach*, któréj nieskończenie wysoka u nas cena upopularyzować się nie daje, o *Rozmaitościach Lwowskich*, pismie pół literackiém, a przy naszém ubóstwie nie pominiem już i *Dziennika Mód.*

W ogólności Galicya nie zbyt szczérze koło literatury krajowej się krząta; daleko tu mniéj ludzi pisze, daleko mniéj xiążek wychodzi, niż u nas i w W. X. Poznańskiém.

Tu, ruch i zajęcie literaturą większe jest niż gdziekolwiekbądz. Przypisać to należy w części gorliwości E. Raczyńskiego, w części innym ludziom, żywo zajmu-

jącym się sprawą oświecenia powszechnego i literatury *Tygodnik literacki* trzeci rok już tu wychodzący, wydawany przez A. Wojkowskiego, jest dotąd podobno najlepszém pismem literackiém polskiém, pod względem doboru artykułów oryginalnych, interessujących a niepochlebiających wszakże dziecinnie (jak innych pism) płochéj tylko czytelników ciekawości. Najsłabszą stroną Tygodnika dotąd jest krytyka, nie oparta jeszcze na pewnych posadach i stałego nie mająca charakteru. Oddał sprawiedliwość zaletom *Tygodnika literackiego* w swojém zdaniu sprawy *Dziennik Ministerstwa Oświecenia*.

Obok Tygodnika założono w Poznaniu drugie pismo peryodyczne, literackie, polskie, pod tytułem *Orędownik Naukowy*. Redaktor jego A. Popliński i J. Łukaszewicz. To pismo, co do planu swego nie będzie się różniło od Tygodnika, i nie ustąpi mu pewnie co do wartości wewnętrznéj, bo nad tém usilnie pracować będą Redaktorowie, aby się nie dać prześcignąć. Dość ważną także, a najdawniejszą z publikacyj peryodycznych polskich w W. X. Poznańskiém jest *Przyjaciel ludu*, pismo obrazkowe, popularne, poświęcone mianowicie zbieraniu pamiątek krajowych, ciekawe, do potrzeb czasu; miejsca zastosowane, niegdyś redagowane przez X. Tyca, teraz przez J. Łukaszewicza, wychodzące w Lesznie u Günthera. Pismo to liczy zgórą tysiąc prenumeratorów. Zarzucim mu że miewając *niekiedy* dobre rysunki, nie stara się mieć je *zawsze*. Ostatnie, z roku 1839 są szkaradne. Pismo to mogące rozkrzewić zamiłowanie sztuki u nas, powinno się koniecznie starać aby tylko tacy jak Oleszczyński i T. Miełcarzewicz rysowali do niego. Prosiemy o to w imie sztuki, w imie własnéj korzyści i sławy wy-

dawców, prosiemy o ulepszenie rysunków, a nadewszystko pejzażów, które do niczego nie są podobne. Niech się nakładzca zlituje i raz na zawsze wezwie znającego sztukę artystę. Były dla *Przyjaciela* lata lepszych rysunków, czemuż teraz znowu, tak dalece gorsze nastąpiły; albo dać pokój zupełnie rysunkom, albo się trzeba poprawić. Rada ta pochodzi z najżyczliwszego dla téj publikacyi serca.

W Lesznie wychodzi także *Mała Encyklopedya polska* przez *L. Platera*, dziełko bardzo użyteczne. *Szkotka Niedzielna* i t. d.

W Poznaniu pierwszym nakładzcą jest E. Raczyński, któremu już tyle winna literatura. On wydaje teraz *Gabinet medalów polskich*, wielkie, przepyszne dzieło, które żal, że ledwie u nas znajome, dla bardzo wysokiéj ceny; on wydaje tłumaczenia *klassyków łacińskich*, *Pamiętniki do dziejów XVIII w.*, *Historyą Jana Kazimierza* niewiadomego autora, *Pamiętniki Radziwiłła* i t. d. Ażebyśmy dali wyobrażenie liczby dzieł wyszłych i wychodzących w Poznaniu, wymienim tu jeszcze niektóre.

— *Pamiętniki Millerowe do panowania Stefana Batorego*, tłumaczone z niemieckiego przez Lipińskiego *Satyry Opalińskiego*, poczynające zbiór starożytnych klassyków polskich, *Kodex dyplomatyczny W. polski*, wydanie piękne. nie potrzeba mówić nawet o ważności dzieła. Drukują się tu: *Żywot Bogusława Radziwiłła* z rękopismów Kurnickich Działyńskiego, *Żywoty kilku sławnych polaków* przez Koźmiana (młodego) wydanie Raczyńskiego, *Statut Litewski* z trzema obok textami i notami Lelewela i Daniłłowicza. Druk jego poczęty jeszcze w roku 1829, teraz się kończy.

W Lesznie ma wyjść tłumaczenie *Długosza* przez *Bornemana*; niektórzy też Wielkopolanie gotują Nowo-rocznik, z samych prac wielkopolskich składać się mający, pod tytułem *Świętojanki*. We Wrocławiu wyszła powieść wielkopolska[1] pod tytułem *Bogunka* przez Berwińskiego, i Bronikowskiego *Marzenia*. J. Łukaszewicz autor wybornego *Obrazu miasta Poznania*, pracuje nad historyą Dyssydentów litewskich. Poszukiwania historyczne skłoniły go teraz do podróży. Zapomnieliśmy jeszcze jedno pismo peryodyczne poznańskie wymienić, wychodzące dwa już lata, pod tytułem — *Dziennik domowy*. Jakkolwiek żywi się przedrukami, zaleca się ich wyborem przynajmniej.

Chociażeśmy tu zaledwie część publikacyj Wielkopolskich wyliczyli, widać z ich liczby, że ruch umysłowy w W. X. Poznańskiém zajęcie się historyą, literaturą, są wielkie, tak dalece, że Poznań za najważniejsze dziś dla literatury polskiéj ognisko uważamy, osobliwie zaś dla historyi.

Kraków ma kilka pism peryodycznych, bardzo średniéj wartości. Wychodził tu, ale krótko niezapomniany *Kwartalnik*, dla czegoż tak prędko ustał? Dwóma mianowicie pisarzami poszczycić się może jeszcze Kraków, M. Wiszniewskim i J. Muczkowskim. Pierwszy jest to wielkich talentów człowiek, który dowiódł ich we wszystkiém co wydał. Jego *Historya literatury polskiej* nowemi pomysły, śmiałemi i trafnemi postrzeżeniami się odznacza; niecierpliwie oczekują wszyscy ukończenia jéj. J. Muczkowski bibliograf i filolog pracuje jak mówią nad historyą Uniwersytetu Krakowskiego.

Pozostaje nam dla dopełnienia tego rzutu oka, wspomnieć jeszcze o kilku literatach naszych, pracujących w Rossyi. Na czele ich stoją niezaprzeczenie J. Daniłłowicz i O'Nacewicz jako historycy, J. Korzeniowski jako poeta, Wydawca Tygodnika Petersburskiego, jako człowiek, który tak znaczny wpływ wywarł na literaturę wydawaném pzzez siebie pismem. Tu policzym także X. Krasińskiego, i Wiernikowskiego, tłumacza poezyj wschodnich. Stolica nasza wydała już dwa Noworoczniki polskie, w latach przeszłym i terazniejszym. Gotuje się nowy na rok następny pod tytułem: *Zorza*. Wydawcą jego jest znany Tygodnika Wydawca. Tu miejsce jeszcze raz powtórzyć, jak to pismo (Tygodnik Petersburski) wiele dla nas uczyniło i czynić nie przestaje, mianowicie pod względem literackim. Z niego dowiadujemy się o nowo wychodzących dziełach, w niém rozwiązują się najważniejsze literackie spory, w niém M. Gr. ogłasza swoje recenzye, Żochowski naukowe marzenia. Jakkolwiek wydawca dla niepojętych nam przyczyn, usiłuje się chować za drugich i bardzo mało ukazuje, znać jego ducha w piśmie, a często mała jego nota, przypisek, dodatek, uwaga zastanawiają bardziéj od całych artykułów; bo w kilku słowach tego człowieka, znać erudyta niepospolitego we wszystkich prawie nauk gałęziach, a co więcéj samoistnie myślącego, swój trafny i oryginalny sąd mającego w każdym przedmiocie. Co za szkoda, że tak skąpo się udziela, wpływ *Tygodnika*, tém u nas jest większy, że go nic nie krzyżuje. Od dawna posiada wziętość i popularność, wszyscy go czytają. Zastępuje on wybornie brak właściwie literackiego peryodycznego pisma; a wiadomości polityczne które zawiera, podają go w ręce tym, którzy ina-

czéj możeby się go nie tknęli. Tak Tygodnik wzięty u literatów, czytany jest nawet przez obojętnych, a tym sposobem wpływa na zaszczepienie smaku do czytania, którego większéj części towarzystwa, brak u nas bardzo.

Wskazaliśmy treściwie, stan teraźniejszy pismiennictwa polskiego, daj Boże, abyśmy co dzień postępy tylko zapisywali.

Gródek 12 Sierpnia 1840.

J. I. Kraszewski.

Korrespondencya Athenaeum.

Mamy sobie za obowiązek złożyć publiczne dzięki tym, którzy na pierwszy odgłos o mającém wychodzić piśmie naszém, raczyli je wesprzéć nadesłanymi artykułami, przyrzekając mu nadal pomoc swoją.

M. Grabowski udzielił artykuł o powieści *Poeta i Świat*; pełen ważnych uwag nad charakterem przeszłéj i przyszłéj poezyi.

Hrabia H. Rzewuski nadesłał wyjątek ważnego dzieła swego: *O prawidłach Cywilizacyi Narodów*, odznaczający się trafnymi, nowymi pomysłami; — i Ryś przewyborny, pełen powcipu, charakteru, prawdy; *Karol Ryś. (Wyjątek z pamiątek Soplicy.)*

X. J. Hołowiński na prośbę naszą, dał jeden rozdział z *Pielgrzymki do ziemi Świętéj* opisujący *Nazareth i Tabor.*

P. S. Nowoszycki z Krzemieńca udzielił ważnych i ciekawych, niewydanych pamiątek dawnych. Obiecuje on nam w swym ostatnim liście z d. 26 Października nadsyłać do dalszych numerów, także, kopie posiadanych przez się dokumentów i aktów. Jakoto: Doniesienia Pułkowników Hetmanowi Jerzemu Lubomirskiemu w czasie wojny Zadnieprskiéj za Jana Kazimierza. Nowy Dyaryusz wyprawy Wiedeńskiéj Jana III.—Uniwersał Bohdana Chmielnickiego—Nowiny ze Stambułu od posła polskiego z roku 1683 i t. d. i t. d. Przykład Pana S. Nowoszyckiego powinien by zachęcić wszystkich posiadaczy dawnych pamiątek, aby je Redakcyi Athenaeum nadsyłali.

Odebraliśmy także piękne poezye Gustawa Hr. Olizara, pod tytułem — *Pielgrzymki*, które pospieszym umieścić w trzecim zeszycie pisma naszego.

W liście swym z dnia 19 Października autor *Wspomnień Szwecyi*, *Prób dramatycznych* i innych pism, P. Alexander Przezdziecki, przyrzekł łaskawie udzielać nie tylko oryginalnych artykułów, lecz dawnych dyplamatów, wyjątków ze starych rękopismów i t. p. za co niech przyjmie największe dzięki.

P. W. Smokowski znany artysta, odpowiadając na wezwanie nasze w prospekcie, w liście z dnia 12 Października, przyrzekł zająć się dla Athenaeum artykułami w przedmiocie sztuki, które zważywszy jak mało kto u nas jest w stanie pisać o tém, będą prawdziwie wielkim darem dla pisma naszego.

Nieznajomy nam autor, który się podpisał — *Autor Lutni Chrystusowéj*, udzielił powiastkę pod tytułem: *Nasz Wiarus* i urywki pełnych ognia poezyj. Artykuły te po części w trzecim zeszycie umieszczone zostaną, a żądania autora o ile możności, starać się będziemy spełnić.

P. A. Szabrański, założyciel *Biblioteki Warszawskiéj*, dawny wydawca *Panoramy*, oświadczył także pomoc swą listem z d. 6 Października.

Z pociechą widziémy, że Athenaeum interessować poczyna piszących, bodaj tak i małą jeszcze u nas liczbę czytelników zająć potrafiło! Ponawiamy podziękowania tym, którzy najpierwsi odpowiedzieli tak prędko wezwaniu naszemu, zapewniając że wszelkiemi siłami starać się będziemy, aby Athenaeum nie zawiodło oczekiwań i ulepszało się coraz a coraz bardziéj.

d. 5 Listopada 1840 r.
Grôdek.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Rozie się znowu iak pies tęgo rzecze.
Jeszcze mi się tu iak raz los przeszczei.
Jeszcze mnie swymi tłemi iulowitom siecze
Nosząc mi trupa około ratusza.
Przypomni mi ten nasz niewierze.
Nie dbaj się tą krwią darmo nieniuszą
Przepowiedząc mięso, a ieśli się kromi
Będzie. Łakni go zabić w złegomie.

Fac simile jednej strofy z Wirginiji Lipskiego

SPIS

RZECZY ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM.

I. Historja.

II. Literatura.

III. Sztuki.

Następny zeszyt (prócz innych artykułów) zawierać będzie niewydany dramat hieratyczny polski z XVI wieku.

NOWE DZIEŁA

NAKŁADEM I DRUKIEM

TEOFILA GLÜCKSBERGA

W WILNIE WYDAWANE.

Athenaeum. Pismo historyi, literaturze, sztukom i krytyce poświęcone. Wydawca J. I. Kraszewski T. 1 i 2 z prenumeratą na T. 3, 4, 5, 6 . . . . rs. 6.
z pocztą . . . . rs. 7.

Bochwic (Floryan). Obraz myśli mojéj, o celach istnienia człowieka. Z popiersiem autora . . . . rs. 1 k. 35.

Dziennik Nabożeństwa dla użytku prawowiernych ułożony z uwagami o modlitwie przez X. Jana Pawła Woronicza Arcybiskupa Warszawskiego. W ozdob. oprawie z ryciną na stali rzniętą rs. 4.
w oprawie w pap. safianowy . . . . . rs. 1.

Dzieła Williama Shakspeare. Tom 1, zawiera Hamlet, Romeo i Julia i Sen w Wigilią S-go Jana. T. 2, Makbet, Król Lear i Burza. Wydanie świetne, na pięknym welinowym papierze z przepysznemi rycinami. Cena 2-ch tomów z prenumeratą na T. 3 rs. 6 k. 75.

Dzieła Jana Śniadeckiego 7 Tomów . . . . rs. 5 k. 50.
— Jędrzeja Śniadeckiego 8 Tomów . . . . . . rs. 5 k. 50.
(Oba te wydania są na pięknym welinowym papierze, ozdobione popiersiami autorów).

Encyklopedya powszechna Tomy 1, 2, 3, 4, z rycinami na stali rytemi . . . . rs. 15.
Ditto 1840 — 1841 czyli na T. IX i X i z porządku T. V i VI, z rycinami . . . . rs. 7 k. 50.
z pocztą . . . . rs. 10.

Grabowski (Michał). Literatura i Krytyka. Rok I część 1, zawiera: O poezyi XIX wieku. — Literatura francuzka. Część 2. O pieśniach Ukraińskich . . . . rs. 2.
Rok II część 3. O nowéj literaturze francuzkiéj, nazwanéj literaturą szaloną (La littérature extravagante) . . rs. 2 k. 25.
Rok III Tom 1. O szkole Ukraińskiéj poezyi. — Tom 2-gi Literatura romansu w Polsce . . . . rs. 2 k. 25.

Herder Pomysły do filozofii dziejów rodzaja ludzkiego. Dzieło prze-

łożone z języka niemieckiego, z dodatkiem przedmowy i opisu życia autora, przez Józefa Rychowca. 3 Tomy. rs. 6.

Johna of Dycalp. Pisma przedślubne i przedsplinowe, 2 Tomy. Wydanie ozdobne, z winietkami na pięknym welinowym papierze rs. 1 k. 50.

Książka do Nabożeństwa dla młodzi rzymsko-katolickiego Kościoła, podług układu autorki: „Pamiątki po dobréj matce.“ W pięknéj oprawie safianowéj z ryciną . . . . rs. 2.

w oprawie w pap. safianowy . . . . rs. 1.

Kolliszczyzna i Stepy, powieść oryginalna przez Edwarda Tarszę. rs. 1.

Konopackiego Szymona poezye . . . . k. 50.

Kraszewski Józef. Wspomnienia Polesia, Wołynia i Litwy 2 Tomy rs. 3.

— Szatan i Kobieta, Fantazya dramatyczna w XI nocach.

O nowym sposobie uczenia czytać bez Abacedla i Syllabyzowania k. 15.

Pamiętniki Samuela Maskiewicza, początek swój biorą od roku 1594 w lata po sobie idące. Wydane z rękopisów Biblioteki Szczorsowskiéj Hrabiego Chreptowicza, przez Jana Zakrzewskiego rs. 1.

Przezdziecki (Alexander). Wołyń, Podole Ukraina. Obrazy miejsc i czasów. Wydanie ozdobne, wzbogacone róznemi facsimilami wielkich ludzi, rzadkiemi dokumentami, na pięknym welinowym papierze 2 Tomy in 8-vo.

Tegoż. Próby dramatyczne, zawierające: Halszka z Ostroga i Kapitalik. Cena 3-ch Tomów . . . . rs. 4 k. 50.

Stannica Hulajpolska, powieść narodowa, przez Edwarda Tarszę. Tom 1, 2, (Tom 3 i 4 w druku) . . . . rs. 3.

Słownik polsko-rossyjsko-francuzki. Ułożony na wzór słownika Lindego, słowników Akademii rossyjskiéj, podług najpóźniejszych wydań, pomnożony wyrazami technicznémi róznych gałęzi nauk i kunsztów, przez towarzystwo kilku uczonych. Tomów 3 na papierze zwyczajnym . . . . rs. 4.

na pap. lepszym . . . . rs. 5.

Tomasz a Kempis o naśladowaniu Chrystusa ksiąg 4, przekładu Tadeusza Matuszewica. Wydanie ozdobne, z ryciną. W oprawie safianowéj . . . . rs. 2. k 25.

w oprawie w pap. saf. . . . . rs. 1. k. 35.

Athenaeum

TOM II.

ATHENAEUM

PISMO POŚWIĘCONE

HISTORYI, LITERATURZE,
SZTUKOM, KRYTYCE
i t. d.

WYDAWCA

J. I. KRASZEWSKI.

Tom drugi.

WILNO.

NAKŁAD I DRUK TEOFILA GLÜCKSBERGA
KSIĘGARZA I TYPOGRAFA WILEŃSKIÉJ CESARSKIÉJ MED.
CHIR. AKAD. I SZKÓŁ BIAŁORUSKIEGO NAUKOWEGO WYDZIAŁU.

1841.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno 1840 roku 13 Pazdziernika.

Cenzor Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego

JAN WASZKIEWICZ.

I.

HISTORJA.

I.

HISTORJA.

Materyały Historyczne.

1.

Rewersał listu Szlachcica jednego do drugiego pisany, w którym się obmawia że nie przybył na Séjmik w Opatowie pro 16 *Mar.* 1606 *złożony, o którym zdanie swe i discursy różne przydawa.* a)

Doszło mnie pisanie WM. w któryineś mi to WM. przypisował jakobym ja miał być *desertorem i proditorem patriae*, a to dla tego żem w Opatowie nie był. Dziwna mi temu, żeś się WM.

---

a) Ciekawy ten ułamek malujący wybornie usposobienie umysłów i ducha swego czasu, wypisaliśmy z Rękopismu Biblioteki XX. Pijarów Wileńskich.

P. R.

na mię do takowych słów rzucił, *sine ratione* jakobyś WM. niebył świadom zdrowia mego i lat moich które mię od tych niepotrzebnych włókit hamują. Niepotrzebnych dla tego mówię, że te zjazdy na których o wolności swéj gadacie, mogę nazwać że są właśnie jak comediae Włoskie, na których bywają osoby poważne, osoby mądre, Królowie, Xiążęta *et id genus*, bywają też dziadowie, Pantalonowie, K.....y, dzieci, błaznowie, diabli, stroją jakąś larwę, *ostentatiae, peroratiae* reprezentując to co kiedyś bywało, a skoro po komedyi, to za się owe osoby poważne, mądre, pospołu z błaznami, z panthalonami, z djabły, z dziećmi, nic więcéj zysku nie odnoszą, jedno to co się nagadali, nachodzili, stąpają z góry po pańsku, w szatach cudnych, coronach, z sceptrami. Także i wy nagadaliście się i nastroiliście się rad rozmaitych, chwalił jeden drugiego, była tam osoba poważna i mądra, był drugi który się sądził jako jaki król deklarając się umbrą wolności swoich, był też i odziany Panthalon, błazen, K...a, bawierę i diabeł, i tak nastroiwszy się igrzyska, z wielką deceptią odjechaliście do domów. O Panthalonowie, wołacie na Króla, ukazujecie wzory jego, ukazujecie exorbitancye Rptéj, cóż to wiedzieć jakich tam discursów i peroraty niemasz! A coż za zysk, kiedy sejm przydzie, nic stanie się nic na wasze querelle. Więc kiedybyście się

wżdy tam *ex intentione* zjeżdżali, abym was słusznie, *patres patriae*, nazwać mogł; ale założyłbym się o wielki zakład, żebym WM. samego, co to tak gorąco Rptą miłujesz, najprędzéj corumpował. Łatwieby Króla naprawić, co go złym zowiecie; skoroby wam co dał, byłby bardzo dobry; ale niechcąc *defraudare* przyjaźni méj WM. a tom nieżałował pracy téj napisać też tu WM. *sententiam meam*, co też rozumiem *ex tenui minerva mea* o tych terazniejszych czasiech i o Rptéj naszéj.

A pocznę ja ztąd, chociem w Opatowie nie był (bo WM. wiesz żem nie duż) że wżdy WM. będziesz wiedział, żem nie *desertor* ani *proditor patriae*. Wszyscy podobno ile Was tam było w tym Opatowie, wołacie źle, źle się dzieje, a okazujecie po części co się dzieje, a lekarstwa na to złe, na ten wrzód Rptéj nie znajdujecie i nie obmyślawacie. Toć i ja z wami zawołam, źle, źle się dzieje, ale wżdy zawoławszy co najgorszego rozumiem *in Republica particulariter* pokażę, tylko WM. a krótko. Nie baczę coby was najbardziéj psować miało, jako dwie rzeczy, że mamy Króla bogatego, a samiśmy ubodzy; a jako się u nas Król zbogacił, łacno się tego domacać, jako sobie uprawił.... i uprawuje, na mniéj wielkie starostwa obcinając, jako u niego *omnia venalia*, jaka intrata jego, i tak się zbogacił, że powiadają iż niebył nigdy tak bogaty

Król w Polsce jako to jest, zaczym się podniósł w pychę za tymi swymi dostatkami, których się teraz na tym weselu jego, ludzie napatrzyli, jakie szaty, *mira suppellectitia*—*domestica* szata jedna snać milion kosztowała, druga sześć kroć stotysięcy, służby złote, klejnotów gwałt, a zaż tam tego mało prawie, *alter Craesus*. Zaczym przychodzim u niego w Contempt, nie miłuje narodu naszego polskiego, lekce sobie waży Senatory, lekce i szlachtę, niedba o nas. Już tak się nadął dostatkami swemi, że snać mówił — Niechże ich Tatarowie wiążą, kiedy niechcieli o obronie radzić i obmyślawać. —Niedoczekać tego aby nas wiązano. Przysięgi nam nietrzyma *a złą się radą obsadził*, a snadź *aspirat* aby nam *absolute dominaretur*. Więc się rzeczy słusznéj jął, milczenia, podobno był w onego Philosopha szkole, co kazał pięć lat milczéć. Z każdym bym się na świecie, by z najniezgodniejszym zgodził łbem, ale z tym co milczy, wie go kath. Jako byłem w Krakowie niedawno obserwowałem to, że więcéj niżli godzinę zegarową pięć Senatorów mówiło do niego; jeden przestał, drugi mówił, a on żadnemu nic nieodpowiadał, anim widział, by ustami ruszył i tak ich odszedł. Ach na jakiegośmy to pana natrafili, biadaż nam i krajowi naszemu! Jakie accessje podawał P. Bóg do Corony za panowania jego, Węgry, Wołochi, Multany, Siedmiogrodzia-

ny, Moskwę, Sląsko, Morawę, małoli tego? a wszystko puścił mimo się nie miłując nas, ani narodu naszego — Więc i ożenienie jego, sam sądź WM. jeśli z Bogiem i co *imminet* Rpbl. za tamtym powinowactwem tych miłych przyjaciół jego. Owa któżby się nawyliczał, co za *vitia* po tym Panu in *Republ.* się pokazują. Teraz by był tylko jeden swój drogi Kabat dał, tedy by było tak wiele ludzi w niewolę niezabrano, z rąk jego będzie ich P. Bóg patrzył; a kiedy mu co mówią to milczy.

Pamiętam raz, kiedy go nieboszczyk P. Łaski Wojewoda Sieradzki prosił o coś, a on siedział na krześle, po jednéj stronie szeptał mu w ucho z półgodziny, prosząc i ukazując *merita* swoje, nieodpowiedział nic. Za tym rzekł, podobno to W. K. M. na to ucho niedosłyszysz; i zaszedł do drugiego i szeptał u drugiego drugie półgodziny, a nie wyszeptał nic i tak bez respensu odszedł. Niechaj że to tak stanie o Królu i bogactwie jego, choćby było co więcéj; które bogactwo ukazałbym przyczyną zginienia niewoli naszéj, bo kiedyśmy mieli króle ubogie, co nie my od nich, ale oni od nas by potrzebowali. Jako przeszłych czasów bywało, bywaliśmy w poszanowaniu, wolności nam trzymano, przysięgi nie gwałcono, wytargowaliśmy zawszę co na Królu, czego kiedy u nas chcieli, a teraz potrzebuje nas? macie jako Pan snać i

to mówił—nie proszę ich o pobory, mam się bez nich dobrze. Pamiętam ja kiedy jakie festy królowie pierwszy odprawowali dla osoby majestatu swego Królewskiego, dla cudzoziemców kiedy byli spraszani, na takie aż pożyczano u Senatorów u Biskupów srébra i apparatów innych i ochędóstwa, a teraz ten Pan tak bogaty, że na taką ozdobę Majestatu swego odprawując ten akt wesela, niemiał nic pożyczanego, jedno swoje własne, a snać siła tego była od szczérego złota. Był ci by tu plac wspomnieć, co za Exorbitancje Rpta odnosi, ale to zostawuję WM. i odsyłam do artykułów przeszłego Sejmiku. Pójdę za się do ubóstwa naszego, a zaż WM. niewidzisz jako ubodzy Panowie, biédna jedno apparentia, coś się u nich cudzego bliskocze. Niepierwiéj rozdzielę stany, abyś WM. snadniéj zrozumieć mógł żeśmy *in genere* wszyscy ubodzy, xięża, panowie, ślachta, pospólstwo. Poczn od xięży, ci oto mają trochę pieniędzy albo groszy, nie wszyscy wprawdzie, bo też i około nich wielki zbytek; by S. Bernardyn zmartwychpowstał niewiem jakoby teraz pisał, *de Corrupto Rpblcae statu.*

. . . .

Pódźmyż do Panów, nie trzebać tu wielkiego discursu, widzisz to WM. sam, co się dzieje około nich, wąchają cudzych skrzynek przed Rokami. Stan ten bardzo zubożał, a przyczyny

niebaczę, jedno zbytek po więtszéj części a druga lichwa, więc i to co się niebożęta wyciągnęli. Porachuj WM. czasy od śmierci Augustowéj, aż do wesela dzisiejszego pana, jakie oni koszty, podéjmowali, poczty, Rothy sub interregno na Coronaty podéjmując. A zaż tego mało bywało, i tak się wyciągnęli, że gorzéj być nie może, ktemu są niektórzy między nimi, bo siła pieniędzy do siebie zgarnęli; przypatrz się WM. jako trudno o tysiąc złotych, między ludzmi powiadają, że pieniędzy niemasz. Panowie je pobrali i potracili do kupców, kupcy je zaś wzięli do cudzéj ziemi; a co była *residuitas*, to niektórych pozamykali w sklepiech, król też na cegły pozléwał i tak trudno o kopę, że nigdy trudniéj, i już ci czerwone złote snać po złotych dwa i groszy trzech, a talary po złotemu i groszy dziesiąci, a monety gorszéj być nie może, a biorą ją, będą po chwili i gorszą w tym niedostatku brali, więc z tego ubóstwa, jęli się złych pieniędzy kować, dobrze snać jednemu rzeczono, bij ty dudki, a wiedzą kto bije dudki a nie karają.

Za takowém tedy ubóstwem, choć będzie człowiek animuszu wielkiego, widzi, upatruje zgubę ojczyzny, ale *praemit* go *paupertas*, na łożył się dostatkom, zacność jego tego potrzebuje aby był widzian, a niemasz, każe milczéć, a musi rad nie rad obłudy zażyć, u króla bogatego, aby mu dał co pilnować, i *ad nutum* jego

czynić. A mówiłem jednemu niedawno—Mościwy Panie (bá i Mościwe Państwo, które się tak bardzo spospolitowało, musi się niżéj tknąć) widzisz że to złe in Rplca, człowiekeś zacny, naprawuj to, przysiągłeś, quid quid *nocuum sensero, me opponam.* Rzekł mi, pomożcie mi panowie szlachta—Pomożemy, ale skoroby poczęli wołać i ukażywać to złe Reptéj, poszeptanoby wam od króla, że wam dadzą co, jedno nie nacierajcie tak ostro, puściłbyś WM nity M. Panie, a odbieżałbyś nas.

Nie rzekł nic, jedno ramionami ścisnął; niemam za złe, trzeba mu, ja mu niedam by gębę do ucha rozdzierał, bo niemam co, a król ma jako pan; ale o tych paniech dosyć, też to widzisz WM. co i pewienem.

Daléj szlachtę rozdzielę na dwoje. Są jedni których też jako i pany *luxus* zubożył, w ubogim domu narodziło się Miłościwych Panów, przeciwiają się sobie, półmiskują, i nałożyli się, wina, korzenia *exotica* miłują; sobolno, ryśno, złotogłowo bankietują, więc się niektórzy do panów przywiązali, a panowie sami niemając im co dać, porzucają ich, albo ich obietnicami odprawują, więc się też niebożęta podłużyli.—Też ich lichwa zubożyła i tak ubóstwa i niedostatku swego niemasz; jedni PP. służyć niemogą, drudzy muszą milczéć i dać się corrumpować, a swobody swoje tracić i oppressyą na

się włożyć; są za się drudzy ludzie *desiderosi, inutile pondus terrae, pusillanimes.* Drudzy drugą ślachtę psują, ba i panom się dostanie. Ci siedząc doma *w szaréj żupicy*, choć ci luxu niemasz, groch, kapustę, słoninę, krupy je, wodę pije, o Rptéj nic nie myśli, pieniądze tka, zbiera wioski, co się zastawują propter Rempubl. lichwą gubią ludzie, zacne majętności pochłonęli. Ci są wielki *virus* Rn Rpbl., a jeszcze urągają się z nich, ale i po tych mało, co mam pisać, znasz ich WM. dosyć takich.

Do pospólstwa przystępując. Ach mój panie, toż i ci zubożeli, tych prawie *luxus*, ale nie ich, tylko pański zubożył, a snać w piekle ci podobno nie będą. Rzekłem ja jednemu, a on biedny, chudy, odrapany, coś wielkiego dźwiga, nieboże napracujesz się na tym świecie, już też i z nogami do nieba pójdziesz po śmierci.— Panie, i tam ja muszę być za panem, a ktożby tam za panem w piekle drwa woził. Przyznasz mi to WM. sam, że nie masz uboższych chłopów we wszystkiém Chrześciańswie, jako są u nas, ale i o tych, próżno mam WM. bawić. Ukazałem już podobno WM. dostatecznie, że mamy pana bogatego, a samiśmy ubodzy *in genere* wszyscy, prócz kilku senatorów aleć ja i tych ubogiemi zowię, bo choć mają a żałują na poprawę Rsptéj, a potym się porównają, kiedy nieprzyjaciel pobierze, i to co nagromadzili, uka-

żę jaka jest facies Rpbl. To już na Sejmiku bywacie, posły wyprawujecie, artykuły piszecie, i tak mniemacie, że to tak będzie, jako wy tam w Opatowie uknujecie. A insze Województwa także też czynią, jedno że różna fantazya w ludziach, różne też artykuły posłom bywają podane. A potym oni posłowie zjadą się do kupy, ci swoich artykułów popierają, owi swoich nieodstępują, to roswar. Izbę poselską przyrównywam do gaju, co się na nim gawróni lęgą, wszyscy tam wołają, a jeden drugiego niesłucha, ni karczma, ni browar, a potym chłop przyszedłszy, gaj podetnie, gniazda obali, gawrony rozbiera, toż podobno i nam *quod absit.* Swarzą się sześć niedziel, aż conclusia następuje, coż na onéj conclusiéj będzie, napiszą constitucyi gwałt, a żadna effektu nie weźmie, a jeśli któremu panu czego potrzeba, to swoję constitucyą wrzuci, zgoła wszyscy priwaty patrzą, więc się rzkomo wstydzą, a mają swoje dudy; co je nadymają i tak dowodzą co chcą. *O miseranda facies Rpbl.* Więc strożowie praw a swobód naszych, jako przysięgają, jeśli dosyć swéj przysiędze czynią, *judicabit cor Deus.* Nuż sprawiedliwość jaka, w criminałów sądzeniu? owa z kąd ją poczniesz wszędy źle, wszędzie się nachyla do zguby, obłudy pełno, zdrady, oszukania, priwata rządzi. Panowie w swą, xięża w ową, szlachta w swą. Wierę nie wiem by

był kto tak głupi, co by prędkiéj ruiny niewidział. Ale mi WM. rzeczesz, toś mi już wszystko zganił, nałajałeś i xięży i PP. Jezuitom, jeszcze wżdy ukaż jako temu zabieżeć i tego poprawić, jeśli sam na Sejm niepojedziesz, tedy ja z swoją wielką gębą pojadę, będę wołał i ukazywał swoje rady i zdania. Ba, daj go katu, nie publicujecież mię do diabła, s tym co się opęta, by mi kto zaż żebra niechciał pomacać. Posłucham ja WM. nie dla tego abyś WM. miał na to przypadać albo pochwalić (nie *ambitio procul*) ale abym WM. ucieszył, jako ongi kapłuna rozbierając. Z tąd ja pocznę.

Ukazałem WM. rzecz być niebezpieczną, mieć bogatego pana, jako my mamy. Ukazałem co za *nocium* Rpbl. z tego, a jakeśmy miéwali pany przedtym, lecz i to ukażę co by z tém czynić, rzecz bo za się dobra kiedy w swéj klubie, jako trzeba stawić bogactwo, i bodaj był pan bogaty, ale też kiedyby i Rpta i poddani niebyli ubodzy, tedyby to było oboje bardzo dobrze, i już by tu *contemptu inter pares* nie było. Tak wielkiego zubożyć pana trudno. Economiae mu poodcinać i toć mu nie z drogi, ale by podobno trudno tego dopiąć, rzeczy to są znaczne, nie uczyni tego *omnino* król, żeby je miał Rptej puścić, więc tego zaniechać, bodaj miał i więcéj, choćby Starosty economiami założył, zaczym executia na swowolne wedle prawa zginąć mu-

si, jednak by to niemogło być starosta bogaty, a każdy (oczém niżéj będzie,) miał intratę. A żebyśmy tak niepotrzebowali dostatków królewskich i jego bogactw, za którą potrzebę musimy milczéć. Wziąć to królowi, aby, Rpta *vacantiae* rozdawała, i takby już potrzebniczkowie nie królowi, ale Rptej folgować musieli, i od niéj do zatkania dziwnych niedostatków swych ratunku prosić, a o porządku rozdawania vacantii przez Rptę, łatwie by się sposób nalazł. Oczém potém. Ale WM. rzeczesz, toć już król straci zatym i *autoritatem suam*, i byłby u nas jako cyfra? Na co tak WM. odpowiem. Nie przyznam wierę tego WM. kiedyby był król ubogi mogłoby to być, ale iż bogaty, a nasi nienasycą się nigdy, będą radzi brali, jeśli im dadzą i od króla bogatego i od Rzptéj nie ubogiéj, a któréj by się dosługować musieli. Upewniam w tym WM. i każdego żeby się ni wczym prędziéj zabieżało priwacyi ludzkiéj, jedno tém, i król by był *in sua Majestate* uszanowany i zachowany, bo by był nie ubogi i Rzpta miałaby też swoje, coby jéj dobrodziejstwa potrzebowali i służyli, bo by też była nie uboga, i nie cierpiałaby Rpta od Boga żadnych contemptów. Przystępując za się do ubóstwa panów. Jeśli mi ich WM. każe ubogacić, to namże trudno dać im, co kiedy sam niemam nic, ale i wtém co byś WM. rozumiał, dogodzę WM. zubożeli bardzo Panowie,

zubożyły ich wyprawy, częste sejmy, interregna, electiae, trzeba im jakie *medium* ukazać, aby im było lżéj do czasu. Słyszałem kiedyś król jednemu chudzinie zasłużonemu *beneficium* uczynić niechciał, to mu dał dar żelazny, jakiś list żeby był od długów do czasu wolny. Ale to gruba człowiekowi zacnemu, wziąć drugiemu, dać trzeciemu, ale mediować te rzeczy, niechby po złotych cztéry lichwiarze brali od sta, a warować to constitucyą, aby i ten co ją weźmie więtszą i ten co ją da więtszą od kogo był pozwany, aby miał *forum* o to i znacznie był sądzon. Rzeczesz WM. toć pieniędzy nikt nie pożyczy, kiedy będzie potrzeba. Potrzeby zachowaj Boże jakiéj, kiedy luxus ustanie, który jakoby znieść ukażę wyżéj — potrzeb mało będzie. Jest ci coś w Statucie o téj lichwie, ale do executiej któż poprze? Więc potrzeba kiedy ustanie, lichwiarz, kamieniowi nie rad w domu, da cztéry złote od złotych sta. A jeśli majętność będzie trzymał, tak mu porachować intratę onéj majętności wychowanie pokazawszy u urzędnika, jedno żeby mu po cztéry złote lichwa wyniosła. Niedość podobno WM. czynię o téj lichwie tym discursem, poprawże WM. jako *zelator* Rp. I o żydowskiéj lichwie, która też panów siła gubi, aby nie brali, jedno po ośmiu groszy na tydzień odesła, łacno by lichwę i potrzebę i luxus znieść mógł, którego constitucyami nieznie-

siemy pewnie, bo mówią niektórzy, że to *liber-tati nostrae* w brew, niemógłby go żaden wy-gubić prędzéj jako sam król, kiedy by go sam porzucił, zaczym i jego słudzy, żeby się nim brzydzili. Kiedy kto do dworu przyjedzie w de-liéj złotogłowem podszytéj, aby się z niego śmiano, szydzono, z białych głów także panie dworskie; ażeby temu król nie dał nic i Rpta, co przy nim *luxus*, prędko by to stanęło między pany a ślachtą, a wolności niebyłoby żadne *prae-judicium.* A na pospólstwo i Rzemieślniki, ku-pce i żony ich, którzy *non gaudent ea libertate*, jako my uczynilibym *legem sumptuariam*, aby się *luxus* w nich zniósł, by jedno od równiejszych rzeczy począć od obówia, tedy by inne rzeczy *lente* ustawały, między nami. Niechajby żaden *plebejus cujuscunque conditionis et status*, nie-chodził w safianie ani w kordybanie. Już nie chaj ma na sobie salendysz, adamaszek, kitaj-kę, sobola pod czapką? jedno żeby obówia nie było tylko z prostego rzemienia, a kiedy mu pój-rzę na suknie, na czapkę, mniemam że szlachcić, a kiedy na nodze poznam że chłoptas. *a*) A wierz mi WM. że lekko kładąc wychodzi z polski na

a) Ten ustęp mógłby służyć za wyjasnienie przysło-wia znanego: — *Znać pona po cholewach.*

P. R.

rok za safiany, kurdyban million. Jest teraz ludzi w polsce (1606) co używają do sta tysięcy safianu, są drudzy, co nań wydają za rok sto złotych, trzydzieści, drudzy dwadzieścia, drudzy mniéj, ale computując jednego z drugim po złotych dziesięć na rok, uczyni million. Rzeczesz WM. a skoroby safianu niekupowano tak wiele, byłby prosty rzemień drogi, a teraz się go dokupić niemożem. To sprawa żydów zdrajców, bo go dużo do Niemiec wychodzi, ale by temu łacno zapobieżeć o tym discursu niepotrzeba.

(reszty brak.)

II.

LITERATURA.

I.

RZUT OKA NA LITERATURĘ NIEMIECKĄ.

Dwanaście lat temu jak W. Menzel, w ten sposób zaczynał dzieło swoje o literaturze niemieckiéj: „Niemcy nie wiele działają, lecz ogromnie piszą. Jeśli, za kilka wieków zamarzy się komu spójrzéć w tył na nasze czasy, uderzą go pewnie więcéj xiążki niż ludzie. Pomyśli, żeśmy marzyli i spali w xiążkach. W istocie bowiem staliśmy się narodem przedewszystkiém piszącym, i zamiast dwógłównego orła, powinnibyśmy gęś nosić w herbie."

Ten wylew xiąg, na który krytyka zwracała uwagę w roku 1828 z pełną goryczy ironiją, jeszcze wezbrał od tego czasu. Corocznie powiększa się katalog nowych publikacyj; corocznie tysiąc strumieni xięgarstwa niemieckiego, zale-

wa niezmierne składy Lipskie. Dawniéj można było jeszcze wyrachować nie siląc się zbytecznie, dzieła które się ukazywały regularnie na jarmarkach wielkanocnym i S. Michalskim. Teraz, najbieglejszy statystyk nie odważy się na ten rachunek. Lepiéjby liczyć liście, które wiater jesienny z drzew obrywa. Nie można tego stanu rzeczy nazwać normalnym, jest to raczéj plaga, nakształt egipskiéj szarańczy.

Gdy Anglia i Ameryka oddają się bezustanku ciężkim doświadczeniom przemysłowym, gdy Francya skupia się przy trybunie politycznéj; Niemcy nieruchome, siedzą jak prządka u komina i cierpliwie snują nić swojéj kądzieli. To co tak żywo i gwałtownie porusza Francyą, tu zaledwie przerwie milczenie. Rzucone myśli nowe, podlegają pracowitemu rozbiorowi niemieckiemu, i gdy świat cały porusza się i działa, Niemcy marzą.

Raz tylko w naszym wieku, widziano Niemcy powstające dumnie i z zapałem przeciw Francyi. Jednym okrzykiem ozwały się wszystkie dawne pokolenia teutońskie, jedną myślą skupiły. Nie chodziło im o granice królestw, xięztw, dominiów. Rozczłonkowane imperium dawne zrosło się pod zbroją jedną i pasem rycerskim. Północne Niemcy podały rękę południowym, lud, rozjątrzony jak byk dziki, zajadły jak lew raniony, rzucił się na plac boju wy-

wijając mieczem, puszczając na wiatr długie złote włosy. Muzy nawet ubrały się w szyszak Minerwy. Professorowie wychodzili z zakątów swych, jak mnichy średnich wieków spiesząc na krucyatę, studenci przedawali xiążki a kupowali konie, poeta strunę swéj liry na łuk naciągał. Zapalczywy Jahn na gościńcu do Francyi prawił o narodowości niemieckiéj, młody, rycerskiego ducha Koerner śpiewał w biwaku *pieśń miecza* a Ruckert strzelał swojemi *zbrojnemi sonety a*) jak ostremi strzały.

Lecz zaledwie z wysokości swego wozu rzuciło im zwycięztwo kilka palm nie płodnych, ci żołnierze jednodniowi pospieszyli do domów; a widząc ich, jak najrychléj zabierających się do nauki, rzec było można, że chcieli piórem nagrodzić czas, stracony z orężem w ręku, i potok krwi wylanéj, zatopić w falach atramentu. Już w 1815 Uhland zapytywał z duchem proroka-poety, czy boje i rany jego czasów ludzi, posłużą na co następcom. Dziś możnaby na to odpowiedzieć. Te boje i rany posłużyły za przedmiot wielu pisarzom i zrodziły mnóstwo xiążek. Niemcy, po bitwach nie wznieśli bronzowego pomnika jak francuzi, lecz wyższy i

---

a) *Geharnischte sonnetten*, świeżo przedrukowane pod tymże tytułem.

większy mogliby wystawić z broszur, pisemek, dyssertacyi i niezliczonych opowiadań zrodzonych w ostatnich wojnach. W Niemczech połowa życia upływa na rozmyślaniu, druga połowa na pisaniu. Przejdz wszystkie zakąty staréj Germanii, zajrz do jakiego chceszmiasteczka, do nędznéj mieściny, w każdéj znajdziesz pewnie drukarnią, może gazetę, a pewnie dwóch lub trzech literatów, piszących. Ci, którzy niemają jeszcze posad, piszą aby je otrzymać, ci co są w urzędowaniu, piszą aby okazać, że są w stanie spełniać je godnie. Professorowie Uniwersytetów piszą dla utrzymania sławy swojego uczonego zgromadzenia, młodzi ludzie zaledwie schodzący z ławek szkolnych, piszą mszcząc się za odebrane od mistrzów swoich lekcye, słowem w tym szczęśliwym kraju, wszyscy piszą lub przynajmniéj marzą o szczęściu pisania.

Niemcy całe, są rzeczpospolitą mandarinów (przypuszczając że wyraz mandarin nie jest zupełnie jednoznaczący z literatem.) Wydający najpotężniejsze tomy są Senatorami téj rzeczypospolitéj, bogaci xięgarze patrycyuszami, giełda Lipska Kapitolem. O czémże to nie piszą ci poczciwy, pracowici niemcy, od czasu jak się połączyli w jedno bractwo pisarzy i drukarzy! Pokażcie imie, fakt, xiążkę dawną lub nową, któreby niezostały dotknięte i rozebrane przez

nich? Pokażcie myśl, którąby stokroć nie była przez nich roskładaną, wyważoną? Cóż jednak zostaje z téj massy xiąg, która co półrocze zalewa magazyny? Kilka dobrych ale rzadkich dzieł. Przeszedł ten czas, kiedy wielcy ludzie Wejmarscy zadziwiali świat wspaniałością swych tworów, kiedy Tieck budował swe czarodziejskie pałace kolumnami i łukami średnich wieków, kiedy Novalis opowiadał swe cudne widzenia, kiedy bracia Schlegel rozwijali swe wytworne teorye, a Jan Paweł Richter przebiegał olbrzymim krokiem nieskończoną krainę wyobraźni. Skonały jeniusze, ludzie utalentowani drugiego rzędu, którzy ich przeżyli, zatrzymali się na drodze, znużeni wiekiem, zaskoczeni snem zarychłym. Pierwszy z nich najsilniejszy, po najsilniejszych, Tieck, rzadko już bardzo w osłabione ręce bierze pióro i papier, na któren wprzódy wylewał tyle wdzięcznych fantazyi. Uhland swą melancholijną arfę rzucił pod trybuną. Grillparzer rdzawieje, dawszy się owionąć życiu zwykłemu swych współbraci.

A. W. Schlegel pisze wiersze saficzne, a od lat kilku muza zadumana i żartobliwa Henryka Hejne, przestała odzywać się piosnkami.

Minął czas dzieł wielkich. Goethe zakończył tę erę świetną, któréj przebiegł wszystkie epoki. Jak pilny gospodarz, który dogląda dzieła przedsięwziętego do końca, doczekał zejścia

ostatniego z robotników i schodząc do grobu, zamknął za sobą wrota, które otwarli Klopstock i Lessing. Gdy Goethe umarł, ci których on wstrzymywał potężném swém spójrzeniem, sądzili że przyszła godzina ich panowania; rzucili się na łupy jego, jak dawniéj centurioni na pozostałe cesarzów Rzymskich insygnia. Temu dostało się berło, temu korona, ciężące i wgniatające ich do ziemi. Wielki cień poety uśmiechać się musiał za grobem. Ale, gdy postrzegli dziedzice, że wdziewając suknie Goethego, niknęli w niéj zupełnie; niemogąc go zastąpić jęli go zaprzeczać. Porzucili drogę przez niego utorowaną, tak piękną i szeroką, a złożyli towarzystwo, które nazwali *Młode Niemcy* i poczęli od pierwszego dnia zaraz kazać i dogmatyzować. Między innemi to towarzystwo zowiące się narodowém, wynosiło nad wszystkie jeniusze Voltair'a; a apostołowało za Saint-Simonizmem! Myśli nowe zaiste!!! Założono dzienniki (między innemi *Fenixa*, który spłonął już na wieki) pisano dramata, romanse, poezye, sądząc że niemi zreformuje się świat, brano nawet w dobréj wierze oburzenie wzbudzone paradoxami, za oznakę powodzeń, kadzono się na wzajem i lubowano w tych dymach, których sobie członkowie po bratersku nie szczędzili. Już już miała się świątynia zamknąć dla braku prozelitów, rozwinąwszy wszystkie swe teorye i

wyłożywszy obszernie korzyści swych zasad i wdzięki swego stylu, już, już miano usnąć w czczości i nikczemności dokonanego dzieła i pozyskanéj sławy, gdy towarzystwo zaczęło być prześladowaném; to je ożywiło trochę na kilka miesięcy przynajmniéj.

Nareście pękły węzły wszystkie, a najgorętsi apostołowie zmienili się w uczciwych i spokojnych obywateli, żyjących w najlepszych ze wszystkiemi stosunkach. Jeden z członków, który rzucał anathema, na instytucyą małżeństwa, pierwszy się ożenił. Drugi, sławny z zapalczywości demagogicznéj, zysk z przedaży ostatnich swych rękopismów, obrócił na sprawienie sobie liberyi i pracuje nad ułożeniem herbu.

Nie ma teraz szkoły pisarskiéj w niemczech, a raczej tyle jest szkół, ile ludzi piszących xiążki. Uczony, który nowym sposobem tłumaczy text starożytnego pisarza, stawi się głową nowéj szkoły, poeta który niezwyczajnym sposobem powiąże zgłoski i trafi na rytm nieznany, staje się także naczelnikiem szkoły. Krytyk paradoxem, historyk cytacyą, romanso-pisarz melodyą miłośnego frazesu lub zręcznie użytą zbrodnią; zakładają szkoły. Zaledwie xiążka tego rodzaju ukaże się; nad obozem literacko-naukowym, jak gdyby się zjawiła chorągiew, spieszą do niéj wszyscy piszący i piórem wo-

jujący. Jedni napadają na nią, drudzy jéj bronią. Dwa stronnictwa rzucają na siebie dysertacyami, metaforami, cytatami. Rzekłbyś że to jedna z tych walk scholastycznych średnich wieków; jedynym zaś tego wszystkiego wypadkiem cóż jest? o to zbiór artykułów po dziennikach, xiążek, świstków, które czas zmiata i pogrąża w letę zapomnienia.

Natura niemieckiego języka, przyczynia się jeszcze do powiększenia liczby tych sekt jednodniowych. Język podlega co dzień nowym probóm i nowym rozbiorom; ludzie wielcy XVIII wieku wydoskonalili go bardzo, lecz nie ustalili zupełnie. Żadna akademia nim nie rządzi, żaden professor retoryki nie przepisuje mu reguł. Nie ma obowiązku jak francuzki, iść ostróżnie brzegiem ścieżki, któréj znane są wszystkie zakręty, unikać zadawniałych sposobów mówienia i uciekać od neologizmów. Język niemiecki stosuje się do wszystkich fantazyj pisarza, poważny jest lub lekki, przybiera szatę średnich wieków lub gazowy strój tegoczesny, składa wyrazy, wymyśla przymiotniki, tworzy przekładnie. Ku południowi staje się słodkim, mięsza więcej samogłosek dla przymilenia się uszom kobiet i poetów, ku północy, twardnieje, staje się filozoficznym, nie lęka się wszystkich innowacyj filozoficznych. Tu, jest on mięszaniną wyrazów cudzoziemskich, słów

zamienionych w rzeczowniki, frazesów których nie widać końca, w których znaki pisarskie nawet nie pomagają do wyjaśnienia rzeczy. Indziéj, jest delikatnym haftem narysowanym sztucznie, wypracowanym starannie we wszystkich szczegółach. Koniec końcem, w niemczech tyle jest języków, ile klass oddzielnéj natury pisarzy. Język poety inny jest wcale, inny język historyka, innym pisze autor romansów, innym filozof. Hegel stworzył sobie jakiś dyalekt, którego wyrazów trzecia część nie znajdzie się w żadnym dykcyonarzu, a wielu innych pisarzy mieliby wielką zasługę u poczynających czytać ich dzieła, gdyby byli łaskawi łączyć do nich glossarya i noty; bo, choć z téj rozmaitości stylów, wynika bogactwo filozoficzne, sprowadza ona także zamięszanie, mianowicie, że wielu pisarzy niemieckich, zajętych jedynie główną myślą swego dzieła, obchodzą się z językiem, jak mistycy XIV wieku z ciałem, to jest uważają go tylko za grubą powłokę i materyą, nie wartą zastanowienia i pracy. Był przed kilkù laty w Heidelbergu professor, którego umysł wznosił się do najsubtelniejszych spekulacyj filozoficznych.

W ciągu długiego i pracowitego życia, wszystkiego się nauczył, wszystko zbadał, jednéj tylko małéj rzeczy zapomniał, sądząc ją nie-

godną siebie: zapomniał nauczyć się sztuki arcypospolitéj jasnego wyrażania swych myśli.

Gdy posyłał uczoną jaką rozprawę do roczników Berlińskich, cały komitet redakcyjny zgromadzał się dla czytania jéj i tłumaczenia. W najciemniejszych miejscach każdy dawał zdanie; ale najczęściéj szanowne to zgromadzenie, niemogąc wydołać téj pracy sfinxa, niepojmując wysokich zagadnień filozofa, odrzucało je, z żalem zostawując w rękopiśmie. Historya tego professora jest historyą wielu niemców bardzo zapewne uczonych, lecz których nikt nie czyta, bo ich niepodobna zrozumieć. *a*)

W niedostatku wyższego rzędu jeniuszu, któryby wskazał prawdziwą piękność i w sferę swoją pociągnął drugiego rzędu talenta; każdy pisarz idzie drogą jaka mu się podoba, każdy tworzy swoję teoryą i język, ten źle, ten dobrze, wiele stopnia siły i cierpliwości. Każdy z nich, wydawszy dzieł kilka i nasyciwszy się ich sławą, w myśli swéj staje się ważną postacią, koronuje się własnemi rękoma i czyni się królem małego jakiegoś kraju.

---

a) I to i wiele innych zdań przebaczmy powierzchownie trochę rzeczy biorącemu francuzowi, zdało mu się zapewne, że nikt nie zrozumie tego, czego on nie pojął!
(*P. R.*)

Odtąd wierzy w siebie najmocniéj, tytułuje się królem z łaski Bożéj i muz, a za zdradę uważa najmniejsze pokuszenie się krytyki. Jest i we Francyi wielu takich królików, ukoronowanych płatnemi pochwały i feuilletonami. Tam jednak, mimo blasku korony, widać nieraz ich nikczemność, są co ją czują, są co panowaniu przeczą. We Francyi, gdy żaden pisarz wielki nie ukazuje się na horyzoncie, żadne dzieło znaczące nie zjawia się w literackim świecie; krzyczą że sztuka upada, że brak myśli i żywota. Te krzyki oznaczają przynajmniéj uczucie wewnętrzne potrzeby innego stanu rzeczy.

To czego się lękają, wyraża razem czego pragną; w Niemczech zaś zadowalniają się uspieniem, którego marzeń nic nie przerywa. Od dziesięciu lat, śmiało powiedzieć można, wielka liczba niemców uczuła jak miły jest odpoczynek, jak szczęśliwa mierność.

Szczególną anomalią, iż ludzie którzy względem siebie, w stosunkach z sobą, są pełni obrażającéj się dumy, dla cudzoziemców, skromni się stają zupełnie. Zajadle wyrywają sobie berło literackie, ale ustępują go grzecznie sąsiadom. Xiążka napisana w ich języku, wydrukowana w kraju, musi się lękać zabójczéj pałki krytyka; lecz dzieło przybywające najskromniéj z za Renu, lub z za oceanu, według wszelkiego podobieństwa, spodziewać się może pa-

tentu nieśmiertelności. Smutny jest ten stan rzeczy, bo w nim się zawierają oznaki słabości i zawiści, z jednéj strony objawia się srogość niesprawiedliwa, z drugiéj przesadzone uwielbienie, a co najgorzéj brak zupełny uczucia narodowości. Cudzoziemiec lubiący Niemcy, pojmujący czémby ten kraj być mógł, zasmuca się widząc go poniżającym się dobrowolnie, zapierającym się swych sił. Stan rzeczy jaki malujem z boleścią, jest istotnym, niezaprzeczą mu Niemcy sami. Póki żył Goethe, wstrzymywał ich nad brzegiem, z którego gdy zabrakło silnéj ręki, zsuwać się w głębinę zaczęli. On starał się utrzymać swoich ziomków w uczuciach szlachetnéj dumy i narodowości. Wspomnienia jego lat świetnych, świeże jeszcze, wpływały na ugruntowanie w tych uczuciach. Dość było spójrzeć na kilka lat ubiegłych, wspomnieć sławne imiona tych, którzy z łona ich powstali, dzieła których dokonali, aby się przekonać ile było życia i siły w Niemczech. Lecz zaledwie zgasły ostatnie brzaski téj świetnéj ery, Niemcy uczuli niespokojność i pomieszanie na widok opasujących ich cieni i poszli dawniejszą swoją drogą. Dziś chylą się przed zagranicznemi wyroby literatury, niżéj jeszcze niż za czasów Gothscheda. Trzeba się przypatrzyć z jakiém staraniem ci literaccy herborysci układają w swych zielnikach exotyczne plan-

ty, z jakim zapałem poszukują wszystkiego, co pochodzi z Francyi, jak przedrukowują dzieła francuzkie, jak je tłumaczą. W tém zapalczywém odtwarzaniu literatury obcéj, Niemcy, musim to wyznać, nie zawsze nawet złe od dobrego rozróżniają. Mylą się w sądach o stylu i wartości dzieł wielu francuzkich pisarzy; na jednéj szali kładą płody bardzo różnéj wartości i wprowadzają do pantheonu imiona, które się indziéj nie spotykały. Bojąc się opuścić cokolwiek; chwytają co tylko wpadnie im pod rękę, od gałęzi cedru aż do listków hysopu. Niema we Francyi takiego pisarza, któryby nie był cytowany, rozbierany, a nawet tłumaczony za Renem, bo w Niemczech wszystko tłumaczą.

W Lipsku, w Jenie, są fabryki tłumaczeń, jak gdzieindziéj drukowanych płócien, są wyrobnicy pracujący za byle od łokcia, od sążnia, którzy rano przy śniadaniu zaczynają przekład romansu, a we dwa dni potém rzucają go pod prassę, w niemieckiéj sukni, gotowego wystąpić na świat. Z czego nie można zrobić xiążki, składają żurnale, dzienniki — Hamburskie *Literackie kartki*, *Didaskalia* Frankfortskie, *Minerwa* wychodząca w Jenie, *Europa* w Stuttgardzie i pięćdziesiąt innych tygodniowych pism lub miesięcznych, tłumaczą z francuzkich *Revues* i dzienników. Z tych publikacyj, lepszemi są *Magazyn* P. Lehman i *Ausland* P. Pfizer,

które przynajmniéj spełniają sumiennie to, co innè dzienniki starają się tylko dokonać jak najprędzéj.

Ale to jeszcze nie wszystko. Niemcom nie dość, że z daleka obserwują francuzów, starają się im przypatrzyć z blizka i podróżują często w tę stronę. Często oni wyrzekali przeciw pisarzom francuzkim, że źle malują ich kraj, chcą też zapewne przykładem okazać, jak potrzeba poznawać obyczaje, ducha i charakter obcych narodów. A chcecież wiedzieć, jak podróżni niemieccy, którzy głośno wołają— Byłem we Francyi!!— widzieli ją i poznali? Oto dwa fakta na próbkę. Niemiec jeden przybywa do Paryża przed kilką laty, uważcie że to był człowiek w ważném urzędowaniu, professor uniwersytetu, doktor filozofii, przyszły członek konsystorza, jedném słowem, znakomita figura. Wylądowuje na ulicy Richelieu, tém stanowisku zwyczajném, wieśniaków i cudzoziemców; tegoż dnia rozsyła prosząc o posłuchanie do dwunastu pisarzy, których uważał za najwięcéj znaczących. Pierwszym z nich był P. Châteaubriand, drugim Paul de Kock, a P. Touchard-Lafosse zdaje mi się następował immediate w spisie po Wiktorze Hugo. Gdyby dziś przybył znowu, musiałby do nich dołączyć koniecznie P. Flourens. Nazajutrz nająwszy kabriolet, oddał jedénaście wizyt. Miał wielką ocho-

tę za jednym zachodem i dwunastą odbyć, ale tu trzeba było jechać aż za miasto, bo dwunasta była dla Berangera, który mieszka w Passy. Dopełniwszy tego, Niemiec poszedł widzieć inwalidów i cyrk Frankoniego, bursę i kawiarnią ślepych (Café des Aveugles) ogród botaniczny i smętarz Lachaise. Przypatrzył się trzem xięgarniom i dwóm składom litografii, ponotował sobie z gazety wieczornéj polityczne wiadomości, przebiegł w tymże celu pamflet P. Cormenin, kupił trzy romanse, które przedsięwziął tłumaczyć i pospieszył potém do dyliżansów Lafitta. W ośm dni po sławnym swoim wjezdzie na ulicę Richelieu, już był na gościńcu do Niemiec, a ledwie z powrótem do uniwersytetu, wydał dość spory tom pod tytułem: *Listy o Paryżu* (*Briefe über Paris, von O. L. B. Wolff.*)

Inny Niemiec, który nie jest jeszcze professorem, ale nim pewnie będzie i stara się sławę professorską uprzedzić pozyskaniem literackiéj, mieszka w Paryżu od lat trzech, samotny w hotelu, jakby w studenckiéj ciupce w Goetindze lub Lipsku. Nie wychodzi z domu, nie bywa na zgromadzeniach, nie miesza się do żadnego stronnictwa politycznego, do żadnéj salonowéj koteryi. Jeśli kto go odwiedzi, to chyba Niemiec; jeśli on sam zdecyduje się wysunąwszy się z pantofli i szlafroka, wybiedz zuchwale

na ulicę, to chyba dla odwiedzenia Niemca. Resztę czasu, poświęca przerzucaniu najcięższych woluminów z zadziwiającą cierpliwością, rozbiorowi całego *Monitora*, tłumaczeniu arkuszy ogromnych francuzkich gazet. A gdy tak zatrudnia się zbieraniem nót i posłyszy rozruch w ulicy lub spadającą z dachu dachówkę, wysadza ledwie głowę i zaraz wraca znowu do swojéj roboty. Cóż myślicie za dzieło pisze on w tém ustroniu, do którego nie dochodzi żadną szparą życie zewnętrzne? Dzieło w czterech tomach in 8-vo pod tytułem: *O stanie politycznym*, *moralnym* i *umysłowym Francyi w r.* 1840. Że to dzieło może w sobie zawierać ciekawe poszukiwania i wiele erudycyi, tak się zdaje; lecz żeby mogło malować żywo Francyą— bardzo wątpię.

Jednakże wszystkie te xiążki dobre i złe, pisane pospiesznie lub powolnie wypracowane, drukują się i sprzedają, bo Niemcy potrzebują niezmiernie wiele xiążek. Potrzebują ich ludzie światowi, których jeszcze jak we Francyi, nie zajmuje wyłącznie polityka, potrzebują ich spokojni, szczęśliwi średniéj klassy ludzie, mający sobie za obowiązek uczyć się i oświecać, potrzebują ich nawet rzemiślnicy i wieśniacy, wszyscy umiejący czytać i pragnący przy warstacie lub w chatce mieć kilka tomów na wieczory zimowe i dni niedzielne.

Ztąd pochodzi, że xięgarze, którym się trafiają fałszywe spekulacye, i którym w końcu roku wraca część dzieł nieszczęśliwych zwanych *rakami* (*krebsen a*) zbogacają się jednakże, lub przynajmniéj utrzymują swoje interessa w dobrym stanie.

Malowałem dotąd złą stronę literatury niemieckiéj, jest jednak druga, na którą miléj spójrzéć. Tracąc kolejno ludzi, którzy wznieśli tak wysoko Niemcy w opinii obcych narodów, nie pozbyły się one wszystkich swych illustracyi, jak las, w którym siekiera drwala nie zostawi drzewa ni krzaczka. Życie ich nie zgasło pod żałobą, męzka piękność narodowa nie osłoniła się całkiem wdowiemi szaty. Póki kraj tak wielki trzyma się swych spokojnych instytucyi, ogranicza się rozsądnemi ulepszeniami, i zachowuje zwyczaj pracy nie tracąc przymiotów swych głębokiéj rozwagi i wytrwałości; czegoż po nim nie można się spodziewać dla literatury i nauk! Obracam się do was, szkoło braci

---

a) Wszystkie operacye xięgarskie w Niemczech, zasadzają się na komissach. Wydawca rozsyła exemplarze xiążki wydanéj swoim korrespondentom, którzy na jarmarku Lipskim rachują się z nim jeśli rozprzedali dzieło, albo pozostałe exemplarze zwracają. Exemplarze tym sposobem wracające nazad, zowią się terminem zwyczajnym *rakami* (krebsen.)

Grimm, i uwielbiam wzniesienie gmachu, zbudowanego przez was z tylu poszukiwań i pełnych talentu obserwacyi. Otwieram podwoje Uniwersytetów, i spoglądam na ćmy erudytów, którzy z cierpliwością mniszą, kończą prace poczęte przez swych poprzedników. Tu, Ottfried Müller dopełnia swych poszukiwań archeologicznych, tam Ritter dodaje kartkę do swojéj geografii, a gdy Bopp i Hammer, pod względem literacko-filologicznym korzystają z skarbów wschodu, Lachmann, Wolff, Hoffmann von Fallersleben, Vander Hagen, pobożną dłonią zbierają szczątki poetyczne średnich wieków. Jeśli tu nie cytuję Humboldta, to dla tego, że czytelnicy naprzód o nim sami pomyśléć musieli, bo mówiąc o uczonych niemcach, on pierwszy przedstawia się każdemu. Z tego pola naukowego, schodząc do poezyi, znajduję ostatnie wiersze i ostatnie listy, które Chamisso umierając, zostawił w spuściznie; dwanaście miłośnych idylli-parabole wschodnie, i melancholiczne elegie Rückert'a. Obok smutnych i zimnych kwestyj zrodzonych xięgą Strauss'a, oto pobożne piosnki i naiwne legendy Guido Goerres'a, syna filozofa, który je w myśli religijnéj rozrzuca wśród katolików. Obok wszystkich słabych literackich naśladowań francuzów, oto poezye Gustawa Schwab, i podania niemieckie zebrane na północy i południu, mające przynajmniéj na sobie charakter

narodowości. Wreście, wśród mnóstwa prób dramatycznych bez talentu i siły, po większéj części kalkowanych z francuzkiego teatru, ukazują się niektóre, wróżące lepiéj na przyszłość. Taką, między innemi, jest tragedya *Griseldis*, któréj autorem syn sławnego dyplomaty, P. Münch-Bellinghausen, pod pseudonymem skromnym, F. Halm. Jest to jedno z najtkliwszych podań średnich wieków udramatyzowane przez człowieka, który głęboko uczuł piękności naïwne i poetyczność téj epoki. Jest to obraz poświęcenia się wielkiego, poświęcenia się kobiéty miłości ku swojemu mężowi. Odzywają się tu wszystkie imiona znane w podaniach dawnych, ukazują wszystkie ślachetne i wdzięczne postacie, odmalowane przez dawnych poetów Francyi, Niemiec, Włoch i Anglii; waleczny Artur, piękna Ginevra i Lancelot du Lac i Tristan, którego tragiczne przypadki opisał Gotfried Strasburski i odważny Percival, o którym Wolfram z Eschenbach wyspiewał poemat dłuższy od Illiady! Wszystkie te jednak postacie nikną przy Gryzeldzie, biédnéj córce węglarza, uwielbianéj na świetnym dworze, przy téj kobiecie bez żółci i zazdrości, przed którą schyla czoło królowa. Nic tkliwszego nad scenę, w któréj, pozbawiona dziecięcia, wypędzona z domu, opuszczona przez męża, oddala się szepcząc jeszcze ostatnie życzenie szczęścia dla tego, który

wzniosłszy ją wysoko, dawszy jéj imie wielkie, odrzuca ją znowu w nędzę i cierpienia. — Lecz, gdy jéj potém oznajmują, że wszystkie jéj cierpienia były tylko igraszką, że wydzierając jéj dziecię, wypędzając z zamku, odzierając z imienia, chciano tylko wyprobować jéj cierpliwości i łagodności; gdy się dowiaduje, że mąż własny śmiał jéj zadać tyle boleści — znikają dla niéj wszystkie złudzenia, znika szczęście. Dla tego, o którym sądziła że ją prawdziwie i gwałtownie kochał, znieść potrafiła wszystko, upokorzenie, ubóstwo, samotność; lecz myśl że została igraszką dziwacznego kaprysu, przedmiotem próby, ona tak ślachetna, tak czuła, tąk pewna swojéj miłości, myśl ta sroższą jest dla niéj niż doznane wprzódy boleści. Naówczas pełna godności oburza się, i odrzuca od siebie tego, który był ślepym i poznać jéj nie umiał, który był nielitościwym i zadał jéj tak okropne męczarnie. — Tu kończy się dramat. Nie zakrwawia go żadne zabójstwo, ale obraz ten przedstawia okropną boleść, wiarę gasnącą, myśl ślachetną zabitą i piękne serce na wieki zakrwawione. *a*)

Jest jeszcze gałąź literatury niemieckiéj, która zasługuje na wzmiankę; — składają ją wszy-

---

a) Tragedya ta, która miała wielkie powodzenie w Niemczech, przetłumaczono na francuzki, układają ją nawet dla teatru.

stkie *Keepsake*, *Annuals*, *Taschenbücher* (noworoczniki), które w miesiącu Grudniu ukazują się w oknach każdéj xięgarni, w wytwórnéj oprawie, jak wiązanki kwiatów, które mieszkańcy północy rozwieszają nad oknami, dla ożywienia smutnych dni sniegu i zimy. W Anglii, drukują je na najpiękniejszym welinie, okrywają złotem i axamitem, i mieszczą w rzędzie rzeczy *modnych*. We Francyi służą tylko dla dogodzenia wieśniakom i cudzoziemcom, którzy ich poszukują. W Niemczech jeszcze noworoczniki mają znaczenie literackie. W nich to około połowy XVIII wieku studenci Goettingscy poczęli drukować ody i elegie, które przepowiadały nową erę poezyi niemieckiéj. W jednym z tych noworoczników Goethe i Schiller ogłosili sławne swe *Xenie*; bo one długo w Niemczech tém były, czém są we Francyi *Revues*. W nich poeta i romansopisarz występowali raz pierwszy na świat literacki, a wielu pisarzy znakomitych nieopuściło zbioru, który przyjął pierwsze ich próby.

Tieck wspierał *Uranią*, dając jéj co rok jednę z pięknych swych powiastek, nie dawno jeszcze przed śmiercią Chamisso imie swoje kładł na czele *Almanachu Muz*. W kraju, który całe swe życie naprzód układa, który za szczęście uważa powrót systematyczny jednakich materyalnych i umysłowych roskoszy, u-

kazanie się tych xiążeczek, które pod morowym futerałem ukrywają pretensye do wdzięku i wytworu, jest przyjemnością naiwną oczekiwaną zdawna, jakiéj Francuzi nie pojęliby teraz. Niemcy równie zasmuciliby się, widząc zimę przechodzącą bez *Noworoczników*, jak wiosnę bez kwiatów lub jesień bez żniwa. Większa część tych zbiorów zawiera tylko powieści i poezye. Inne poświęcone są artykułom o sztuce, teatrze, historyi. Każdy sobie wybiera noworocznik, jak gdzie indziéj gazetę; są rodziny, w których szafach zachowują się święcie noworoczniki, jak pamiątka lat ubiegłych.

Z publikacyj poważniejszych wymienię xiążkę P. Arndt, o główniejszych wypadkach życia Gustawa III i Gustawa IV (*Schwedische Geschichte unter Gustaw dem dritten*). Jest to ten sam P. Arndt, który w czasie wojen niemieckich z Napoleonem, odznaczył się nadzwyczajną przeciw niemu nienawiścią i pismami swemi przeciw Francuzom. Gdy bitwa pod Jena zachwiała los Pruss, Arndt nie czując się bezpiecznym umknął do Szwecyi, gdzie pisma jego, anti-napoleonskie, zjednały mu naturalnie łaski Gustawa IV. Mieszkał czas jakiś w Stockholmie, przebiegł potém niektóre prowincye Szwecyi, opisał swoję podróż dość jednostajnym i nudnym sposobem, ale zawarł w niéj wiele ciekawych obserwacyj i faktów. Potém wró-

cił do Niemiec i został professorem w Bonn. Tu rozpoczął swoje diatryby przeciw Francyi i rozprawy o stanie Niemiec. Podejrzany wkrótce od rządu, zaledwie, usunięty od wykładu publicznego lekcyj, mógł się usprawiedliwić i wrócić do spełniania pierwszych obowiązków.

Dzieło teraz wydane, nosi na sobie cechy jego sposobu widzenia rzeczy politycznego. W przedmowie wyznaje, że powziął sympatyą dla Gustawa IV z nienawiści, jaką tchnął ku Napoleonowi. We wstępie maluje obraz obszerny i zajmujący stanu Szwecyi. Wszystko co pisze o stanie moralnym kraju, charakterze ludu i obyczajach, jest bardzo rozsądném i sprawiedliwém. Nie cierpi tylko arystokracyi. Ile razy wspomni o niéj, burzy się i wzdyma. Zapomina o tém, że ona przez kilka wieków była Szwecyi podporą, najistotniejszą częścią jéj bytu, że się wsławiła na polu bitwy z Gustawem Wazą w lasach Delecarlii, z Gustawem Adolfem pod Lützen, z Karolem XII w Polsce. Opowiadanie następujące po wstępie nosi na sobie też cechy anti-arystokratyczne. Gustaw III i Gustaw IV ukazują się w niém, jako dwie postacie wielkie i poważne, wśród otaczających niespokojnego charakteru magnatów. Oba jednakie, wyznaje autor, mieli swoje wady, ale byliby największemi w świecie królami, gdyby nie otaczająca ich arystokracya. Takie zdanie

autora, ale jak fałszywe, każdy znający historyą, łatwo postrzeże.

Gustaw III był, prawda, monarchą obdarzonym wielą przymiotami, piękny, dowcipny, uczony, namiętnie kochający sławę wojenną i naukową; lecz oślepił go widok obcych dworów, zaparł się męzkiéj prostoty swych przodków. Otoczył się przepychem, naśladował kosztowny zbytek Wersaillu. Jedném słowem, z większą godnością i wznioślejszym umysłem, był Ludwikiem XV, Szwecyi. Był kochany i czczony jak on, lecz jak on także na kilka lat przed śmiercią, postradał współczucie.

Co się tycze Gustawa IV, popełnił on tylko jeden błąd niewielki, zdało mu się że był w sile walczenia z Napoleonem z Francyą, i nie jedną Francyą? z Rossyą, Danią i Anglią! — sam jeden zapędził się w wojnę ze wszystkiemi. Królestwo swoje wyobrażał sobie ziemią bajeczną, jakąś, któréj obszerności i bogactw nie pojmował dobrze. Jednego razu, nakazał kontrybucyą 200,000,000 i bardzo się zdziwił dowiadując, że ta summa składała dwudziestoletni dochód całego kraju. Zdawało mu się że Szwecya była jeszcze *vagina gentium*, któréj ziemię uderzyć było tylko trzeba, żeby ludzi wydała. P. Arndt umniejszył ile możności błędy obu panujących; z tego względu dzieło jego nie jest kompletném, lecz zawiera ważne dokumenta

objaśniające wypadki, których sam autor był świadkiem. Zresztą, dotąd nie mieliśmy dzieła tak obszernego o téj epoce historyi Szwedzkiéj, a nim Geiier odmaluje ją z przenikliwością sobie właściwą, a Fryxell ożywi nowością myśli i siłą stylu, dzieło P. Arndt, będzie ciekawym pamiętnikiem, dającym się czytać z korzyścią i zajęciem.

Inny professor Uniwersytetu w Bonn, P. Loebell, który wydał już kilka rozpraw historycznych dość ważnych, napisał właśnie dzieło bardzo zajmujące. Jest to biografia dość obszerna Grzegorza z Tours (*Gregor von Tours und seine Zeit*), obraz jego epoki, i ludzi współczesnych. P. Guhrauer, który w r. 1839, przesłał akademii francuzkiéj umiejętności moralno-politycznych, pamiętnik o projekcie expedycyi do Egyptu podanym Ludwikowi XIV przez Leibnitza, dokompletował teraz wiadomości o tym ciekawym fakcie i napisał o tém xiążkę, ważną dla historyków francuzkich (*Kur-Mainz in der Epoche von* 1672.) P. Heeren i Uckert, którzy przedsięwzięli zbiór kompletny dzieł historycznych, nie ustają w swéj pracy. Wyszła teraz *Historya Anglii* przez *Lappenberga* i początek *Historyi Danii* przez Dahlmanna. Z innéj sfery poszukiwań, wspomnim tu o zbiorze całkowitym Minnesingerów, od tak dawna

oczekiwanym, a nareście wydanym przez P. Vander Hagen.

Tak więc, rozbierając nowe katalogi xięgarzy niemieckich, jeśli w nieskończonéj liczbie dzieł, które zawierają, znajdzie się wiele wartego nagany, znajdą się także, dzieła pochwał godne. Nawet ganiąc Niemcy, potrzeba im trochę zazdrościć. Winą ich jest zbytek xiążek, ale one są uczone, po większéj części wypracowane; dowodzą usilności i płodności. Czytająca publiczność niemiecka zbogaca xięgarzy, gdy we Francyi ich rujnuje. W niemczech potrzebują całych tomów, we francyi dość feuilletonu.

(*X. Marmier Revue des deux Mondes* 1840.)

II.

RZUT OKA NA LITERATURĘ ANGIELSKĄ.

W roku dopiéro 1688 protestantyzm przeniknął literaturę i obyczaje w Anglii. Duch protestancki, którego losy i upadek odgadł Bossuet, nie zgadłszy długiej jego wziętości; analiza niezależna od indywidualnéj krytyki gwałtownie się objawiły za panowania Elżbiety, Karola I, Karola II i Jakuba II; jako broń zaczepna lub odporna, lecz nie jako pierwiastek organiczny. Twórczość zdawała się przeciwną jego naturze, zamykał w sobie znaczenie ujemne, tendencyą niszczącą. Rewolucya 1688 roku dopełniła osobliwszego dzieła, pogodziła najniezgodniejsze rzeczy i uorganizowała czczość. Wszakże osobne grupy zostały względem sie-

bie nieprzyjacielskiemi; znużone wojną śmiertelną, przestały na nienawiści. Złożono broń, lecz nie uczucia. Jeden tylko katolicyzm został wygnany. Jako nieprzyjaciel wspólny wszystkich, łączył on stronictwa różne, które innéj sympatyi, nad antypatyą mieć nie mogły.

Wilhelm III osiadł na tronie. Wnet zmienił się ton literatury, rozpadła się ona jak protestantyzm na części; stała się specyalną, drobnostkową, ułamkową; przyjęła charakter szczegółowy *hollenderski*, życie prywatne uorganizowało się moralniéj, indywidua stały się niezawisłemi, czego wprzód nie było. Wszędzie panował protestantyzm; organizował i literaturę, wedle metody krytyki protestanckiéj. Historya moralna literatury dotąd nienapisana, w Anglii objawia się pod bardzo zajmującemi względy. Tak, w XVIII wieku, Anglia, w któréj łonie nie licząc katolicyzmu, było dwadzieścia sekt religijnych, w literaturze swéj, miała dwadzieścia literatur osobnych; rzekłbyś że to były poezye i dramata kilku narodów, nie jednego, tak się między sobą różniły. Pope reprezentował dwór i wielki świat, u niego i u Adissona pewna konwencyonalna moralność dobrego tonu, łagodziła rozwięzłość obyczajów dawnego dworu; został przy wytworności, opędzając się zepsuciu. Richardson idzie daleko daléj, jest purytanem popularnym, kalwinistą

nieubłaganym i niechodzi mu o to żeby się zabawił; czci on przedewszystkiem prawdę aż w najdrobniejszych szczegółach i skrupulatną prawidłowość. Cały systemat filozoficzno-religijny zawiera się w jego romansach. Fiel-ding przeciwnie, ten sędzia pokoju, który tak wyborne rzeczy tworzył popijając maderę i zajadając pasztety ze zwierzyny, autor (*Tom Jones*) *Podrzutka*, nudził się ciągłym jednostajnym purytanów śpiewem, i wierny obyczajom klassy średniéj swego narodu, obyczajom weselszym i łagodniejszym, wyśmiewał bez litości hipokryzyą i *cant*. Inni reprezentowali filozofią sceptyczną, kwakeryzm, kościoł anglikański, narodowość irlandską, narodowość szkocką. Co raz bardziéj literatura dzieliła się i rozłamywała na części drobne. Jakobityzm, toryzm, whiggizm, miały echa swoje. Mnóstwo *Review* i *Magazynów* jęły przemawiać z osobna do części różnych towarzystwa, dzieląc się jeszcze wedle zatrudnień ich i gustów. *Miłośnik ogrodnictwa*, *Boxer*, *Koniarz*, *Myśliwiec*, mają wierne organa swoje. Nie ma podobno najdrobniejszego towarzystwa billardowych graczów, któreby nie wzdychało do unieśmiertelnienia się drukiem.

Ten potop drobnostek przypaść tylko może do smaku mierności. Wielcy ludzie są heroicznego ducha, oni walczą ze swoim wiekiem;

to ich przeznaczenie. To też syntheza, myśli wielkie uniwersalne, stały się im najdroższe, a tém droższe im ogół rzucał się bardziéj w nieskończone frakcye i wyszukiwał stosownych sobie drobnostek. Taki charakter Burke, Walter Scott'a, Burns'a, Byron'a, Godwin'a, Southey'a, Wordsworth'a. Oni przemawiali do całéj ludzkości, nadewszystko Walter-Scott, nie tyle odznaczający się wzniosłością i kolorytem, jak raczéj miłą swoją sympatyą ku całemu rodowi ludzkiemu. W tém jego sława i Goethe'go. Crabbe i Cowper, zdolności rzadkich, poeci wyborni, już nie tak daleko sięgają. Winniśmy oddać tę sprawiedliwość Bulwer'owi, że starał się przynajmniéj o uniwersalność w sposobie widzenia rzeczy. Lecz mnóstwo podrzędnych talentów, wynoszonych wysoko przez lat parę, znikło w ścieżkach ciasnych i niedojrzanych; jeden malował tylko okręt, drugi pisał jedynie o więzieniach, inna nie śpiewała o niczém tylko o swojém dziecięciu, inna znowu oddała się przedmiotom Biblijnym. Z tego wynikły cząstkowe powodzenia, prace niekompletne, sławy kuse przechodzące z głowy na głowę, a dziś Anglia własnie widzi już skutek ostateczny téj analizy nieskończonéj. Poruszenia umysłowe zwykle wyczerpnąwszy się dopiéro zupełnie, ustają. Analiza protestancka, tworząc drobnostki, zastosowując podział pracy do tworów u-

mysłowych, zniszczyła wielkie filozoficzne przedsięwzięcia i dzieła.

Anglia, miasto jednéj wielkiéj literatury, ma dziś ze sto rodzajów literatur różnych. Nadewszystko powodzi się teraz literaturze obrazkowéj i literaturze komicznéj. Ukazują się zrzadka utwory literatury morskiéj (litterature maritime) naprzykład *Spitfire*, nie zły romans Kapitana Chamier; ale Kalambury Hood'a, facecye Cruis-hank'a i jego akollitów, daleko lepiéj są przyjmowane. Cała jedna *Review* (*the humorist*) zapełnia się farsami, jest prócz tego *Comic Almanack*, *Comic Annual*, *Comic Review*, i, (ktoby to już uwierzył!) *Komiczna gramatyka łacińska!!* Przekręcono gerundia w kalambury i karnawałowe maski powkładano imiesłowom. Nie ma zdaje się nad ten pewniejszych znaków upadku literatury, po epoce płodnéj Walter-Scott'a i Byron'a. A choć komiczność jest w modzie, jednakże satyra Swift'a umarła; nikt berła jego potężnéj żartobliwości i wyobraźni śmiałéj a delikatnéj, niepodniósł, berła, które po Sternie odziedziczył był Karol Lamb; epigrammatami dowcipnemi Thomasza Moor'a zamknął się spis postrzegaczy satyrycznych obyczajów. Pewien anonym świeżo chciał się probować w tym rodzaju i wydał *Postrzeżenia xiężycowe*, pisane pewnie chyba dla mieszkańców xiężyca, a zaledwie warte wspomnienia.

Stary Southey, jak Jan-Paweł Richter, zebrawszy szczątki swych wypisów i ostatki niewypotrzebowanéj erudycyi, złożył z nich pięć tomów mięszaniu, szacownych dla tych, którzy lubią osobliwości literackie. Hartley-Coleridge, Croker i Wilson posądzani byli z kolei o tę xiążkę, przez zaintrygowaną czytającą publiczność; lecz powszechne jest mniemanie, że autorem tych zajmujących fantazyj musi być Southey.

Rzadki to talent Roberta Southey; płodny, głęboki, ognisty, zbogacony nieustanną pracą, niedał się pożyć wszystko wysuszającéj starości. Stracił nieco wytworu, śmiałości, popędu, epicznéj żądzy przywłaszczania wszystkiego, zapomniał o utopiach uniwersalnych; ale pozostał jeszcze czynnym, czułym, marzącym, myślącym, uczonym. Między Robertem Southey i Karolem Nodier, znający dobrze obie literatury, znajdą wiele podobieństwa. Anglia umiała wspomódz rozwinienie umysłowe swego historyka i filologa i godnie go ocenić; francuzi, chlubiący się swém zamiłowaniem prac umysłowych, korzystali z Karola Nodier przygniatając go, odejmując mu siły i odwagę, męcząc go i spotwarzając. Zaledwie Akademia francuzka, z roczną nagrodą tysiąca dwóchset franków pensyi, uwieńczyła w starości tego polyhistora, filologa, umiejętnego pisarza, poetę razem i erudyta,

tę szczególną i pełną organizacyą, zawołano, że Nodier, nie dość się zasłużył, i nie wiele napisał. A jednak autor dwudziestu wielkich tomów kompilacyj, bez krytyki i stylu, spi tymczasem na beczkach złota, i twórcy wielkich dykcyonarzy mahrattskich i czerkieskich, zasypiają także swobodnie w Instytucie, utytułowani geniuszami! nikt im nic nie wyrzuca. Chcą francuzi koniecznie *tomów*. Śmieszny to i smutny symptomat dziecińńistwa umysłowego, braku zostanowienia; to uszanowanie dla ilości tomów, ta cześć liczby ich i wagi. Nie sądzą, ale ważą tylko. Nad gran złota, wolą centnar ołowiu. Sto tomów, które wydał P. Delille de Sales Akademik, czynią go bardzo ważną figurą. Te zaś umysły zamiłowane w prawdzie, rozsypujące powolnie i po jednemu rzadkie promienie zgromadzonego światła, te dusze myślące, głowy mocne, które przenoszą jedną myśl wielką, nad uporządkowane a próżne kartki i rozdziały, we Francyi późno są cenione i przez nie wielu. *Pascal*, *Vauvenargues*, *la Rochefoucauld*, ledwie się z tłumu wybili, bo mało po sobie zostawili. Anglicy tém są wyżsi że umieją oceniać ludzi z wartości, nie z wielości dzieł. Coleridge i Lamb są dla nich wielkiemi ludźmi, czczonemi, ulubionemi, chociaż nie rozleli bardzo wiele atramentu.

Mieszaniny Southey'a wydane pod tytułem:

The Doctor, przypominają dziełko Karola Nodier, *Petits Melanges tirés d'une grande bibliothèque*. Angielski pisarz wszakże mniéj się stara o porządek, więcéj dziwaczy, swobodniéj idzie, przemawia tonem mniéj zwyczajnym i okazuje się istotnie daleko niepodleglejszym. Francuzi choć udają swobodę i kaprysy, zawsze jednak chodzą jeszcze na paskach; szanują konwenanse zamiast cnoty, niemając siły, podpierają się na kulach. Co się tycze nauki, dowcipu złośliwości skrytéj, erudycyi, cytacyi, stylu, wdzięku, satyryczności delikatnéj i miłéj, dwaj pisarze nie ustępują sobie. Southey odważył się w swoich mieszaninach na wszystko, czego tylko Karol Nodier nieśmiało probował w *le Roi de Boheme*, romansie który swego czasu za szalony uchodził, a wcale jednak szalonym nie jest. W *The Doctor* znajdzie się wszystko: cytacye, biografie, powiastki zabawne, anegdotki, dissertacye, portrety, poezye, novelle, kazania, popychają się i mieszczą razem. Jedne rozdziały mają po kilka wierszy, drugie po sto stronnic. Staruszek dla swojéj zabawki, o niczém nie zapomniał, położył *Uwagi* na początku, *Przedmowę* na końcu, *Ostrzeżenie* wpośrodku. Są także *preludja*, *interludja*, *pod-rozdziały wstawki*, i wiele innych rzeczy, których tu za wzór nie stawię, bo składają w istocie tylko okładkę xiążki saméj. Odwiń tę okładkę, znaj-

dziesz pod nią skarb zachwycających cytacyi wyjętych z zapomnianych poetów, z nieznanych prozatorów, z pisarzy fantastycznych, wiązankę kwiatów, których czas nie zniszczył, kwintessencyą trzydziestu tysięcy tomów, całą uczonego tekę, ale uczonego z duszą poetyczną, który to wszystko wysypuje dla twojéj zabawy. Jakiż jest pisarz tak nędzny i mizerny, któryby nie utworzył w szczęśliwéj godzinie, choć kilku wierszy godnych zastanowienia? Ocean zapomnienia je zalał; wody wieków płyną po tych zatopionych perłach; cierpliwy i sprawiedliwy Southey nurza się w głębinach i dobywa je. Przyłączył on do tych szczątków, swoje osobiste wspomnienia, fantazye dziwaczne, pewną dozę kalamburow, jakąś historyą, któréj nie ma początku i nie dopytać się końca, trzy czy cztéry osoby spadające jak z obłoków, a z tego wszystkiego złożona mieszanina sprzedała się wybornie, choć anonyme wydana.

Zresztą, berło literackiego królestwa, które po śmierci Walter Scotta pochwycił E. Bulwer, odtąd jest ciągle w ręku umarłych lub odpoczywających. Bulwer, który poświęca teatrowi wolne godziny, oddał się cały politycznemu zawodowi. Co dzień gasną dawne sławy wielkiéj Brytanii lub siwieją i chylą się do grobu. Brougham, Southey, Wordsworth, Campbell, Thomas Moore stoją jeszcze na ruinach i mogiłach

ludzi, którzy tak świetnie otwarli wiek XIX. Southey w samotności, igra że swemi wspomnieniami układając „*The Doctor*“ Wordsworth ukryty w lasach, używa swéj sławy, dojrzewającéj z czasem. Southey, przeziera i gotuje wydanie swych dzieł kompletne, Thomas Moore z zapomnianych xiąg robi wyciągi, miss Edgeworth w przeciągu dwóch lat wydała słaby romans, pod tytułem „*Helena*“ lady Morgan gaśnie, Rogers milczy, Leigh Hunt, znakomity ale niekompletny talent, pisarz przesadzony, kolorysta fałszywy, który we Francyi zapewne pozyskałby wielką sławę, a w Anglii stworzył szkołę wyśmianą; traci swą przesadę i wziętość; Wilson spełnia missyą krytyka w *Blackwood* (Magazynie); Lockhart, Campbell i Croly toż samo czynią. Wydają, piszą noty, komentarze, dodają obrazki; Byron, Scott, Cowper i Crabbe przedrukowują się pod wszelkiemi postaciami. Bulwer uważając zawód swój literacki za skończony, wydaje zupełną edycyą swoich romansów.

Jest to epoka annotacyi, nót, kommentarzy; wydawania pośmiertnych listów i biografij. Korrespondencya i dzienniki Shelley'a ukazały się, wydane przez kobiétę. Zaczynają zwracać uwagę na tę poezyę metafizyczną, długo nie wiele przez Anglików cenioną, poezyą przezroczystą, ulotnioną, która nie idealizuje rzeczywi-

stości, lecz usiłuje w formę stałą zbić chmury panteizmu mystycznego. Zresztą uwielbiając Shelley'a, nie naśladują go. Literatura Angielska wygląda już nie jak literatura, lecz jako literatury zakończenie; po dniu zmrok. Nie ma nic nowego, nic wielkiego. Gdzie się podzieli mistrze? Gdzie Crabbe tragiczny, Lamb wdzięczny komik, myślący Coleridge; jenialny Godwin, który jedno tylko stworzył arcydzieło; Szkot Galt; młody natchniony poeta Keats; najliryczniejszy z nowych pisarzy Shelley; Mistriss Hemans, któréj natchnienie więcéj się odznaczało moralnością niż poezyą, i ta nieszczęśliwa Miss Landon, która usnęła na wieki nad brzegiem dalekiego morza? Gdzie są, ekonomista Sadler, demokratyczny Cobbett, mizantrop Egerton Brydges, który pisał liczne sonety i zbierał rzadkie xiążki? Nawet pasterz Etrick'i, odbicie słabe Roberta Burns, umarł także; wszystkie światła jedne po drugiém, gasną.

Tak umilkła muza angielska za Jakuba I, za Karola I, po wielkim wspaniałym koncercie najwznioślejszych swych jeniuszów. Trzydzieści lat upłynęło, Milton, Butler i Dryden, za Karola II, nowym ją blaskiem okryli. Znowu potém nastąpił spoczynek i milczenie, aż do panowania wpół zfrancuziałego Pope, Adisson'a i Samuela Johnson; po nich jeszcze nowa przerwa zapełniona zwycięzkiemi nicościami Mason'a

i Hayley'a. Ż początkiem XIX wieku ozwały się inne głosy; trzydzieści lat świetnych i płodnych nadeszły, ale się już kończą.

Nawet romanse Bulwera, ostatnie kłosy tego wielkiego żniwa, zdają się wyczerpane. Nie zobaczym już dawnych lat, które przynosiły z sobą tom Byron'a, zbiór od Wordsworth'a, historyczne dzieło Southey'a, próbę Lamb'a, hymn Campbell'a, melodyą Thomas'a Moore. Dymi się jeszcze wielkie ognisko, ale ci co je rozłożyli, pomarli lub odpoczywają. Gdy niedawno staremu Wordsworth'owi oznajmiono o śmierci, Etrickiego pasterza, Hogg'a; upadek literatury, gaśnienie kolejne wszystkich pisarzy, oberwanych jak liście jesieni, przyszły mu boleśnie na myśl. Poruszony tém napisał odę pełną prostoty i naiwności, poświęconą pamięci starego przyjaciela, człowieka miłego i dobrego, poufałego Walter Scott'a i Wilson'a, wieśniaczego partyzanta prerogatywy, przyjemnego opowiadacza, tęgiego bibosza, wierszopisa łatwego i pełnego prostoty:

— „On to, (mówi Wordsworth) pasterz Ettrick'i, wiódł mnie za rękę, gdym raz pierwszy, schodząc z rodzinnych gór, odwiedził dolinę odkrytą i niepłodną, skrapianą wodami Yarrow'y.

— „On jeszcze wiódł mnie znowu, gdym raz ostatni nad temiż brzegi przechodził gaje, których złocony liść zerwany jesienią zasypywał ścieżki."

— „Wielki ten poeta nie żyje. Legł na wieki wśród ruin, które w proch się rozsypują. Śmierć zawarła powieki pasterza-poety, uspionego nad krzaczystemi brzegi Yarrow'y.

— „Zaledwie dwa lata ubiegły, jak cudna myśl Coleridge'a ostygła ze wszystkiemi dary tego potężnego ducha."

— „I on spi w mogile, i on, z iskrzącém okiem, z czołem boskiém, duszą natchnioną. I on spi także, Lamb; nie ma go przy samotném domowém ognisku, nie ma miłego, żartobliwego przyjaciela."

— „Jak oni jeden po drugim uszli, brat po bracie, opuszczając ziemię podsłoneczną, dla świata, któremu nie przyświeca słońce! spiesząc się jak chmury przelatujące przez gór wierzchołki, jak wody, których nic nie wstrzyma!

— „A jam został, ja com przed niemi wszystkiemi obudził się w kolebce dziecięcéj; jam został słuchając głosu, który mi szemrze i pyta — „Kto teraz upadnie i zniknie z was pierwszy?"

— „Życie nasze wieńczy się u wierzchołka ciemnością, jak Londyn okrywa się czarnemi wyziewy; Londyn, na który patrzałem z tobą zdaleka, o Crabbe, gdyśmy stali razem na wrzosach Hampstead'skich, owiani łagodnym wiatrem.

— „Wczoraj to było, mój przyjacielu, a ciebie już nie ma, tyś mnie sam uprzedził. Możemyż słabi pozostalcy, płakać po was, dojrzałe kłosy, których żniwiarz zebrał?

— „Płaczmy, ale po téj kobiecie-poecie (Mistriss Hemans), która uszła przed czasem, czysta dusza, duch

święty, nieskalana jak powietrze wiosenne, głęboka jak morze, płaczmy po téj, która zwiędła nim jesień nadeszła."

Dziwny to widok, u zmierzchu dnia umysłowego żywota; ciemności już wpół okryły przedmioty, wszystkie barwy gasną, i wielka zasłona spuszcza się, jak mówi Dante, na *belle cose*, piękne rzeczy stworzenia. My cośmy widzieli z blizka rozwinienie tych wszystkich kwiatów świetnych; my cośmy byli w Londynie, gdy Child-Harold z Włoch i Grecyi spadał na Anglią, jak lawa daleko wybuchłego wulkanu, my cośmy byli w Edimburgu, gdy *Waverley* wzbudzał równe uczucia w czułych i surowych sercach; nie możemy, na widok tego upadku coraz wyraźniejszego a nieuchronnego opędzić się smutkowi, któren głębiéj jeszcze dojmuje czytając piękne strofy Wordsworth'a.

Ostatnie imie, które poeta umieścił w tym spisie niekompletnym, Mistriss Hemans, była bez wątpienia najznakomitszą z kobiét poetów angielskich ostatnich czasów. Nie Corinna to, nie Sapho; natchnieniu jéj brakło siły. Mniéj ma wyobraźni niż czucia, a uczucie jéj nie jest namiętne; raczéj łagodne. Lecz co za wdzięk w moralności, co za czystość wytworna, jak widoczne ślady uprawy umysłowéj znakomitéj! wynoszące ją nad inne współzawodnice. Zdarza jéj się czasem zastąpić myśl lub uczucie tą melo-

dyą marzącą, tak niebezpieczną dla poetów północy, jak melodya wyrazów nic nieznaczących, dla poetów zachodu. Dwie poezye, północy i zachodu mają równoznaczne sposoby zastąpienia myśli w sposób nic nieznaczący; jedna wywodzi tony, druga wiąże westchnienia, jedna spiewa sonety, druga łzami się zalewa. W poezyi francuzkiéj, dydaktyczna tęż samą gra rolę. Francuz, któremu brak zapału, rozumuje i rozprawia o miłości, przyjaźni; poeta włoski bez siły, nadstawia się dwunastą głośno brzmiącemi rymy; a poeta angielski, w niedostatku natchnienia, usypia na mogiłach i owija się obłokami.

Zaraz po Mistriss Hemans, kładziem Miss Leticyę Xandon, zmarłą młodo, która poszedłszy za mąż w r. 1838, zgasła w obcym kraju, w Październiku, tegoż roku. Była to kobiéta dowcipna i miła, któréj los godzien litości; z wyobraźnią nie silną i nie bardzo płodną, z uczuciem nie tak żywém jak Mistriss Hemans, lecz biegła w swéj sztuce, umiejętnie urozmaicająca i kolorująca swe obrazy, odtwarzająca z talentem malownicze widoki, zamiłowana nadewszystko w wystawności, opisach świetnych i części teatralnéj, poezyi; mogła była wydać dzieła pełniejsze, trwalsze, więcéj znaczące, gdyby towarzystwo, w jednéj z chwil szczególnéj, przesadzonéj swéj skromności, nie ubo-

dło ją okropnie. Sama się sądząc i rzucając okiem na życie swoje i talent nierozwinięty, melancholicznie lecz sprawiedliwie, tak śpiewała o sobie: (tłumaczenie cieniem tylko będzie wdzięcznego oryginału.)

— Życie się składa z gorzkich godzin. Wszystko cośmy posiąść chcieli, wszystko cośmy okupili żądzami, nadzieją, usiłowaniem, wszystko za czém goniło pragnienie, przychodzi nareście, lecz napiętnowane nieszczęściami cechy, z myślą bolesną: *Niestety! myśmy być mogli.*

— Nigdy przyszłość przeszłości nie odda młodéj wiary i ufności, które jéj powierzyła. Na bladym kamieniu, który okryje nasze popioły, napiszcie te słowa, pierwszą i ostatnią prawdę naszego życia: *Myśmy być mogli.*

Miss Landon, przed samą śmiercią swoją wydała godny uwagi romans, *Ethel Churchill.* Proza jéj nie tak jest wytworna jak Lady Blessington, a mniéj dowcipna od P. Gore; tych dwóch królowych romansu *fashionable* angielskiego. *Guwernantka* (*Governess*) lady Blessington jest jednym z tych delikatnych i drobnostkowych obrazów, które szczegółowie malują, jeden punkt obyczajów krajowych.

The Governess w Anglii, nie jest to, to co nauczycielka, *institutrice* we Francyi; mniéj znowu niż *femme du monde*; troszkę pedantyzmu i odcień *niebieski*, wchodzą do składu téj

postaci, któréj tylko powierzchowny widok narysowała lady Blessington, ale nie pochwyciła strony komicznéj.

Jest nieco talentu także w *Diary of Nun*, podróży do Włoch, opisanéj w romansie, w *Faworycie* Miss Joanny Roberts, nawet w *Przyjaciołach*, ostatniéj probie historycznego romansu, tak zarzuconego dzisiaj. Lecz, mówny prawdę, wszystkie te kobiece utwory, płody chwil kilku wolnych, które w życiu angielek są rzadkie; nie mają siły i oryginalności. W Anglii nie ma Sandów. Świetny i wonny kwiat jeden zagasiłby wszystkie te róże białe, kołyszące się z wietrzykiem i rozlewające woń słabą. Pani Gore, według nas, dowcipem, trafnemi postrzeżeniami, przechodzi wszystkie swe współzawodnice. *Cabinet Minister* pełen jest szczegółów komicznych i śmiałych, *Dworak z czasów Karola II*, dobrze maluje epokę. Pani Gore dobrze zarysowuje charaktery, cieniuje i wyświeca śmieszną stronę, bez przesady. Wspomnienia dworu Jerzego III i ery świetnéj, w któréj na jednym teatrze walczyli Sheridan, Burke, Fox i Pitt; dostarczyły jéj przedmiotu do romansów tém znakomitszych, im mniéj są romansowe a więcéj czas malują.

Prawdziwie ważnemi dla historyi angielskiéj XVIII wieku, są *Listy lorda Chatham*, świeżo wydane. Dowodzą one fałszywości przy-

słowia pospolitego „*il n'y a pas de grand homme pour son valet de chambre.*" Zapewne, wielkość teatralna, fałszywa, szarlatanizm, heroizm aktorski, pozory wielkości, jeniuszu, poświęceń fałszywe, nikną dla blizkich; lecz są istotne przymioty duszy i umysłu, które zyskują widziane z blizka. Listy, o których mowa, podnoszą jeszcze lorda Chatham, ukazując go z nowéj strony. Odkrywają najpospolitsze szczegóły jego życia, zawsze pełnego prostoty i ślachetności, uczuć wzniosłych i uczynków, dumy często obrażającéj, lecz ślachetnéj i bezinteressownéj. Roczniki polityki angielskiéj XVIII wieku oczekiwały na to ważne dzieło.

Nie potrzebujem tu prawie wspominać o Kapitanie *Mendows-Toylor*, który zamarzył sobie ułożyć romans z życia indyjskiego *thug'a* (dusiciela, etrangleur). *Wyznania thug'a* będą pewnie tłumaczone, a raczéj przekaleczone na francuzki, jak to jest teraz we zwyczaju. Postępowanie francuzów z utworami obcych literatur nadto jest dziwaczne, a może niedość wszystkim znane, żeby o niém kilku słów niepowiedzieć. Są we Francyi wycinacze xiąg obcych, którzy je rozrzynają, mieszają, posypują, układają, podlewają sosem i tak podają czytelnikom. Romanse kobiéce, podróże wojskowych, zbiory anegdot, razem padają pod nożem tych kucharzy literackich. Z rozczłonko-

wania ich, składają szczególną przyprawę, któréj narzucają tytuł angielski. Gdyby się tak działo tylko z miernemi utworami, mniejszaby o to było. Ale najlepsze nawet xiążki podległy takiéj metamorfozie; cudne kartki Audubon'a, jego życie w lasach, osobiste postrzeżenia, ten romans prawdziwy życia poświęconego zastanawianiu się nad naturą; jeden z najlepszych utworów nowéj literatury, wkrótce wyjdzie tak obcięty, przekształcony, dla mizernéj spekulacyi. Ktokolwiek zna bieżącą literaturą niemiècką i angielską, w tłumaczeniach francuzkich napotka tysiąc osobliwszych falsyfikacyi i pseudonymów dziwacznych. Dwanaście romansów różnych autorów, przyznano w tłumaczeniu autorowi *Trevelyan'a* i *Małgorzaty Lindsay*, dla tego tylko żeby się lepiéj sprzedały; *Pickwick'a* zmieszano z romansem Lorda Normanby, szczególne pobratanie najgęstszego błota z najnudniejszym zapachem. Nędzne te wyroby bardziéj na śmiech niż na gniew zasługują; ale dowodzą brak sumienia zupełny i bezwstydne zaprzedanie się spekulacyi.

Sad Literacki Anglików, odznacza się jakeśmy mówili wyżéj, wielą liśćmi dzikiemi i owocami bez smaku, co jest nieuchronnym wypadkiem rozbicia się literatury na części, nieuznające żadnegoześrodkowującego dogmatu. Mają osobną literaturę baptyści, metodyści, swe-

denborgiści, katolicy, osobną najpłodniejszą, prozelici panującego kościoła. W tém scieraniu się opinii rożbitych, wznosi się wiele czczéj kurzawy, której zbierać nie będziemy. James Howitt i Marya Howitt, kwakrzy, zasługują tylko na uwagę. Są to dwie dusze poetyczne, zamiłowane w ideałach piękności, lecz przywiązane zwyczajem życia angielskiego do porządku, faktów, dat, ścisłéj regularności, miejscowości i erudycyi sumiennéj. Charakter nabyty, składający się z jakiejś surowości łagodnej i scisłości w spełnianiu obowiązków, cudnie się wydaje, gdy go odżywia zapał prawdziwy i namiętność, miło jest patrzeć na złoto połyskujące wyobraźni, rozsiane po tle ciemném i surowém. To też xiążki P. James Howitt, i utwory słabsze i prościejsze Maryi, zajmują czytelnika w sposób szczególny. Zamiast zimnego nieładu, jaki panuje w wielu francuzkich pismach, u James Howitt znajdziesz namiętność spokojną. Kocha, duma, myśli, płacze, rozczula się; wszędzie czujesz wzruszenie pisarza ciągłe lecz utrzymywane na wodzy, nigdy lekko nie szkicowane, lecz wykończone, płomień to silny lecz czysty, exekucya staranna, nie jak gdzieindziéj gwałtowna i bezładna, formy czyste; wszystko to podrzędne przymioty gdy główna myśl słaba, lecz wiele znaczą w pisarzu głęboko czującym i myślącym. Nieszczęściem

a może szczęściem, Howitt, pilnując prawideł swéj wiary, nie porywa się na wielkie kwestye filozoficzne i historyczne, pisze tylko xiążki o wychowaniu.

Wspomnim tu tylko, *Historyą anegdotyczną królowych angielskich*, kompilacyą niesmaczną; nie złą podróż *po Renie* i *Oriental Outlines* przez *W. Wright'a*, w których nic nie ma odznaczającego się. Szkot Tytler, erudyt i znakomity pisarz, zawarł ciekawe i nowe materyały w swojém dziele, *Anglia za Edwarda VI* i *Marya Tudor*. Jednakże prawdziwi erudyci więcéj się pożywią w *Mabinogion*, zbiorze podań i powieści, tłumaczonym z języka gallickiego (*welsh*) przez Miss Karolinę Guest. Dzieło to, które zaledwie wziąć można za kobiéce, nie jest wprawdzie dopełnione z całą scisłością, jakiéjby po niém żądać można; lecz nie wielka ilość pomników literatury celtyckiéj, ważném czynią i tę publikacyą. Musiemy zacytować dalszy ciąg *przypadków aktora Mathews*, xiążkę miernie pisaną, lecz tak zabawną, że jakiś manipulator śmiały, gotów ją będzie przypisać Talmie, Kean'owi, Iffland'owi, wedle życzenia xięgarza.

Noworoczniki i wydania obrazkowe zarodziły i tego roku. Brak myśli dobrze się zastępuje, tą manią sztychów, złudzeniem oczów przepychem dziecinnym, któren dziś tak bardzo

wszyscy lubią. Kochamy się w białości papieru, okrągłości liter, wielkości marginesów, wytworności oprawy. Poetyzujemy te dzieciństwa i zarzucamy stoliki salonów, xiążkami bez myśli. Gdy wydania obrazkowe wyczerpnęły wszystkie przedmioty angielskie, francuzkie, włoskie, szukają im pokarmu w dalekich, nieznanych stronach. Irlandya, Ameryka, Hiszpania, Australazya, okryły swemi widoki nieskończone przestrzenie miedzi i stali, teraz koléj na Gibraltar, który major Hart wystawił w przepysznym lecz głupim Almanachu. Utalentowani nawet ludzie, prowadzeni przez rysownika, introligatora i sztycharzy, redagować muszą almanachy i napełniać prozą swoją bezsilną, zimną, całe ryzy welinu. Tak to, na grobie Byrona i Walter Scotta zakwita cywilizacya przemysłowa, poświęcająca myśl zmysłom, która obejmuje prawie wszystkie europejskie ludy. Miss Landon, któréj nie zbywało na wdzięku i łatwości, lady Blessington odznaczająca się dowcipem, Pani Norton tak srodze przez towarzystwo angielskie traktowana, Galt, którego opisom nie brak oryginalności, z kolei poddać się musieli rozkazom wydawców, władzy białego papieru, tyranii spekulacyjnéj. Dawniéj dorabiano sztychy do xiążek, dziś robią xiążki dla sztychów, Literatura staje się służącą, a była wprzód panią. Idzie pokornie za wozem

artysty rysującego winiety, złocącego jedwabne i axamitne okładki.

Xięga piękności (Book of Beauty), którąby się lepiéj dała nazwać—*Piękności angielskie*, ma honor być wydawaną przez lady Blessington; oto podobna cała jéj zasługa. Tu z arystokracyi nazwisk, przepychu, bogactwa, kokieteryi, wybrano dwadzieścia uśmiéchających się twarzy, z świecącemi włosy, pulchnemi rączkami, drobnemi usteczkami, wielkiemi oczyma, kwiatami we włosach i melancholijnym wejrzeniem i postawą. Bawi na chwilę ta galerya. Tegoż rodzaju jest *The beauty of a Season*, lady Blessington; tu tylko nie tyle sztychów, jeśli nie myśl tu znajdziesz, to przynajmniéj szczgóły prawdziwe, jeśli nie poezyą, ładne wiersze, jeśli nie zajmujące opowiadanie, to wytworne za to. Niezmiernie to wszystko przypomina, owe kwiatki, które we Francyi rodziły się około 1750 roku; mało barwy, nie wiele ognia, żadnego zapału, nieco powierzchownych postrzeżeń, słowem odblask gasnący sztucznéj cywilizacyi. Tytuł nawet nie powiada co ma znaczyć, miasto *The beauty of Season*, powinno było być: *Trzy miesiące z życia Angielki*. Naprzód piękna, ośmnastoletnia, pierwszy raz ukazuje się na świat, bale, wieńce, zabawy ją spotykają, bledną lica, rumieniec gaśnie od przedłużonego czuwania—to jest dopiero *coming out*. Potém,

otwierają się przed nią drzwi pałaców, przebiega marmurowe wschody królowéj, ukazuje się na dworze, to *prezentacya*. Następnie namiętność zabaw przychodzi, po kadryllu tysiąc razy powtórzonym, szuka innego ślachetniejszego zajęcia.

Bal kostiumowy przedstawia się jéj dramatycznie z historycznemi wspomnieniami, poezyą axamitów i atłasów; może zostać królową lub mléczarką — wolno jéj wybierać. Srednie wieki, Włochy, Tyrol, Szwajcarya, Flandrya, otwierają się przed nią. Wszystko to przebiega heroina i dobija nareście szczęśliwie do portu małżeństwa, wiedziona przez lady Blessington, która tu ją opuszcza kończąc utwor swój wdzięczny lecz dziecinny.

Tak to nizko spadła poezya; widzieliśmy na czém stoją historya i romans. Dramat tylko daje jeszcze znaki życia. *a*)

Wśród téj powszechnéj niepłodności, ukazał się tylko jeden pisarz istnie oryginalny (jako pisarz pod względem stylu nieznaczący) nim jest *Carlile*, tłumacz *Wilhelma Meister* Goethego i innych dzieł niemieckich, nie należy on do żadnéj szkoły angielskiéj. Pełen tendencyj metafizycznych, wykarmiony od dzieciństwa

---

a) Patrz w N. 1 tego pisma, o *Teatrze dzisiejszym angielskim*.

Schelling'iem, Heglem i Novalis'em, pisze językiem dziwacznym, który nie jest ani angielskim, ani niemieckim, lecz w gruncie saxońskim; pożycza form gramatycznych angielskich, składni niemieckiéj; trzyma się wreście zwyczajów niemieckiego mistycyzmu, oślepiającego neologizmami bardziéj niż nowością myśli. — Oryginalność wynikająca z tych cudacznych archaizmów, nie zawsze jest pierwszéj próby. Znajdziesz u niego przymiotniki pięćdziesiąt łokciowe i składane wyrazy bez końca. Jak Richter którego za wzór sobie obrał, jak Novalis którego uwielbia, pozwala sobie przenośni straszliwych i obrazów dziwacznych. Głębokie myśli kryją się pod tą maskaradą stylu; lecz nadewszystko mamy mu za złe te wyciąganie myśli, te ustępy nieskończone, w których się plącze, te poszukiwania historyczne, co chwila i do wszystkiego wracające, przy najprostszych zadaniach. Tak, o *Chartyzmie*, nowéj zupełnie chorobie, dotykającéj klassy wyrobnicze, mówiąc, widzi potrzebę sięgania aż do kolebki pokolenia saxonów, od któréj idzie aż do początków rodu ludzkiego; a gdyby tylko mógł, poszedłby wyżéj jeszcze. Zawsze to ciekawy fenomen, talent Carlil'a; w którym zlewają się, duch obserwacyjny i praktyczny angielski z erudycyą i mistycyzmem niemieckim. Gdyby ten znakomity pisarz, chciał oczyścić,

wzmocnić i ustalić systemat swój i postrzeżenia, mógłby obdarzyć Anglią tém, czego oddawna nie miała, dobrą xiążką filozoficzną.

On bowiem jeden, ze wszystkich polityków angielskich, pojmuje naszą epokę boleśną odrodzenia, próby ognia i łez którym podlega towarzystwo ludzkie, gdy przyjdzie czas odbudowania zwalonych gmachów.

(*Philarète Chasles. Revue des deux mondes* 1840.)

III.

NOWOŚCI LITERACKIE.

Nowe dzieła angielskie.

Z nówszych dzieł angielskich, zwracają uwagę najbardziéj następujące:

Poezye Mrs Boddington, które co do wdzięku i wykończenia delikatnego, porównywają z znanemi Felicyi Hemans; wyszły one w przepyszném wydaniu z winietami.

Woman and her Master. (Kobiéta i pan jéj) znanéj lady Morgan, romans a raczéj rozprawa we dwóch tomach, gorsza od dawnych dzieł téj autorki.

The Pathfinder, romans F. Coopera, lepszy podobno od pięciu, które go poprzedziły, a nadewszystko od historyi jego marynarki amerykańskiéj.

Xięgarz Murray, wydaje *Pamiętniki Samuela Romilly.*

Autor *Cosmusa Medicis a*) napisał nową tragedyą, pod tytułem: *Grzegorz VII.*

Mnóztwo drobnych pisemek o kwestyi *opium*, zalewa drukarnie angielskie.

Lord Mahon, przygotowuje nowe wydanie *Historyi Anglii w przeszłym wieku.*

Professor *Milman* wydał nową *Historyą Chrystyanizmu*, wielce chwaloną.

Lecz podobno publikacyą najsławniejszą, a przynajmniéj najbardziéj wziętą i czytaną, jest dotąd romans H. Ainsworth, pod tytułem *Jack Sheppard.* Jest to historya sławnego złodzieja i rozbojnika, napisana z podań o nim, nie bez talentu zapewne; lecz przesadzona okropnościami. Romans ten o mało nie ufundował nowéj szkoły rozbojniczych romansów, którą już zwano *szkołą Newgate.* Przyjaciele P. E. Bulwera, tego dość bladego talentu, korzystając z nowego wydania dzieł jego, stawią je jako antidotum przeciw wyrobom w smaku H. Ainsworth; a nawet przeciw najpopularniejszemu dzisiaj Karolowi Dickens, zwanemu zawcześnie w Anglii, Shakespearem romansu.

Z powodu bankructwa dyrektora teatru w Drury-Lane, P. Hammond; nowe rozprawy

---

a) Patrz pierwszy Tom Athenaeum.

o organizacyi teatrów, a między innemi: *A brief View of the English drama, by F. G. Tomlins.*

Jako dramatyczną osobliwość zacytować musim dramat mający za przedmiot *Towarzystwo Wstrzemięźliwości!* pod tytułem: *The temperance emigrants.* Styl i rzecz téj sztuki, jak powiadają anglicy, składa się z *milk and water.*

Kapitan Marryat, po swoim *Diary in America*, wydał tylko romans *Poor Jack.* Podróży wychodzi coraz a coraz więcéj w Anglii, nie darmo tak też wiecznie podróżują Anglicy, po całym świecie. PP. Turnbull, Gleig i Paget wydali dowcipny opis podróży swéj po Austryi. Ostatni mianowicie opisał zajmującym sposobem Węgry i Transylwanią. G. W. Earl wytłumaczył z hollenderskiego opis expedycyi brygu Dourga, na archipelag wysp Moluckich. Mrs Postan wydała szkice o Indyi. Townshend drugą edycyą swoich *Wycieczek łowieckich* etc.

Oto wszystko prawie, co dotąd w r. 1840 znakomitszego wyszło w Anglii, dodawszy wspomniane wyżéj w artykułach o *teatrze* i *literaturze*, czytelnicy nasi mieć już będą wyobrażenie stanu literatury Wielkiéj Brytanii.

J. I. Kraszewski.

Nowe dzieła francuzkie.

Jakkolwiek przeciwni jesteśmy zbytecznemu rozmiłowaniu się w literaturze francuzkiéj i temu jéj upowszechnieniu u nas, które postępom naszéj własnéj staje na przeszkodzie; nie możemy jednakże pozbawić czytelników naszych wiadomości o nowo wychodzących dziełach francuzkich, zwłaszcza wiedząc, że tym może jednym sposobem, potrafim się im podobać.

W literaturze francuzkiéj wszystko zdaje się pożarł i w sobie zamknął romans; najwięcéj wychodzi, pisze się i spożywa romansów; to dowodzi, że ci wszyscy, którzy się tak lekką strawą kontentują, silniejszéj nie są w stanie przyjąć. Z liczby wielkiéj wyrobów tego rodzaju, kilka ledwie pod względem artystycznym mają wartość, reszta istne tylko wyroby i spekulacye, nie tyle xięgarskie, ile autorskie. We Francyi bowiem, piszący tylko w początkach piszą dla sławy i z zapałem, raz pozyskawszy imie i wziętość, pracują tylko dla pieniędzy, Ta uwaga szczególnym sposobem powinnaby naszych amatorów literatury francuzkiéj ku niéj

oziębiać, lecz, niestety! żeby złudzenia nie stracić, gotowi prawdzie nie wierzyć. Mówmyż już o nowszych tegorocznych dziełach.

Trzeci tom *Babel*, publikacyi składającéj się z artykułów celniejszych pisarzy, wyszedł. Są tu przecie dwa kawałki historyczne dosyć ciekawe, kilka powieści i trochę poezyi. Zrobim tu jedną uwagę, a ta jest, że francuzi tak są cali w romansie i powieści, że nawet gdy piszą historyą, sadzą się na to, żeby z niéj cóś przynajmniéj podobnego do romansu uczynić. Oto jeszcze nowe powieści i romanse:

L'écran przez hrabinę Dash.

Tribord et Babord, romans morski Edwarda Corbiére.

Soirée aux aventures, Alfonsa Brot.

Jacques Patru przez Juliusza David.

Rosémary; Celeste, Leona Gozlan.

Madame de Rieux etc przez P. Reybaud.

Jean Cavalier ou les Fanatiques des Cevennes Eugeniusza Sue. Jest to dzieło potwierdzające to, cośmy wyżéj powiedzieli o historyi i romansie. Jeden feuilletonista, nazywa to historyą ale zgadywaną. (c'est de l'histoire devinée).

Le foyer de l'Opera, pod tym tytułem, ma być obraz obyczajów świata *fashionable*, odrysowany ręką bardzo wielu współpracowników. Pierwszy tom wyszedł, zawiera cztéry artykuły.

P. Balzac wydał dwie nowe powieści. *Pierrette* i *La princesse parisienne*, a jego dzisiejszy współzawodnik Ch. de Bernard, *La Chasse aux amants*.

Komedya P. Walewskiego pod tytułem *l'Ecole du monde*, narobiła była przed kilką miesięcami wiele hałasu; więcéj podobno dla tego że autor ma wielu przyjaciół na wielkim świecie, niż dla wielkiéj swéj doskonałości. Krytycy z professyi ostro ją osądzili, mszcząc się za kilka słów zawartych w przedmowie, które z wysokości swego arystokratycznego fotelu rzucił na nich P. Walewski.

Alfons Karr znany autor kilku humorystycznych romansów, w których potrafił zmieszać francuzki dowcip z niemiecką fantazyą; zaczął wydawać szczególnego rodzaju satyryczne pismo pod tytułem *Osy* (*Les Guèpes*). Zbiera ono wszystkie plotki o wszystkich i zajmuje się wyśmiewaniem dowcipném. Zdaje się że mimo dowcipu jaki posiada P. Karr, nie potrafi on ostrzéj kąsać i głośniéj brzęczéć od wesołego *Charivari*.

Confession generale, Frederyka Soulié — Niby znowu dalszy ciąg, a przynajmniéj cóś przypominającego sławne *Memoire du diable*. Ale krytycy francuzcy utrzymują, że diabeł P. Soulié starzeje widocznie.

Le Marquis de Létorière przez E. Sue. Na ten raz jest to powieść bez intencyj filozoficznych i nic niedowodząca. Niektóre ustępy bardzo zabawne; romansu tego przedmiot wzięty z kilku wierszy pamiętników pani de Créguy.

Chroniques chevaleresques d'Espagne et de Portugal wydane przez Ferdynanda Denis. Lepsze nad inne pisma, bo przynajmniéj pewną epokę, kraj i ludzi maluje i opiera się na poszukiwaniach. Ono może obeznać z najpiękniejszemi legendami, z których tylu poetów już skorzystało.

Histoire des Français depuis les Gaulois przez Th. Lavallée. Oprócz zbytecznie podobno absolutnego podzielenia na epoki różnych charakterów, w których nie widać przejścia z jednéj do drugiéj, historya ta jest dość chwalona.

Autor jéj jest szkoły *humanitarnéj* (humanitaire.)

Wyszła nowa edycya Kursu literatury P. Villemain; znacznie powiększona.

Z obrazkowych publikacyi, podobno najszczęśliwiéj pomyślaną, a raczéj najszczęśliwiéj naśladowaną jest *Les Français peints par eux mémes;* którzy się ukazali po takichże *Anglikach.* Są tu obrazki ludzi wszelkiego stanu, ludzi-typów różnych klass obu narodów, dość ciekawe, i mogące kiedyś może oświecić naszych wnu-

ków o moralno-obyczajowym stanie ich zacnych przodków.

Anglików rysował P. Kenny Madous, Francuzów Gavarni i H. Monnier, opisywali zaś różni najznakomitsi współcześni autorowie.

Biographie universelle des musiciens etc. p. F. I. Fetis, wyszedł tom szósty.

Napoleon, Alexandra Dumas. Wieleż to już napisano o Napoleonie! W roku przeszłym zdawało się że po P. Laurent de l'Ardéche, który poprzedników swoich zbił w jedną massę i z pomocą ołówka H. Verneta stworzył jeszcze nową historyą Napoleona, daleko znakomitszą pod względem artystycznym niż literackim; zdawało się że już przynajmniéj na długo, nikt się na nic nie odważy. Otóż znowu występuje Dumas, który tą razą zapewne rozwija tylko myśl rzuconą wprzód w znajomym z tegoż przedmiotu dramacie. Powiadają że P. Thiers, obiecał także historyą Napoleona, i przedał ją jeszcze nienapisaną, za 500,000 franków.

Vie et avantures de John Davys, Dumas'a. Nie wiem dla czego Dumas coraz jest płodniejszy; miałożby to znaczyć, że coraz więcéj potrzebuje pieniędzy?

Sławnego Sand nowe są *Pauline* i dramat *les Mississipiens*, nieliczącgranego w teatrze, o którym wiedzą zapewne czytelnicy nasi.

Des classes dangereuses de la population dans les grandes villes przez P. Frégier, pismo uwieńczone przez Akademią umiejętności moralno-politycznych.

(*Resztę na drugi raz odkładamy.*)

J. I. Kraszewski.

Nowe dzieła niemieckie.

Kur-Mainz (Elektorat Moguncki w r. 1672) przez G. L. Guhrauer. Wspomnieliśmy nieco wyżéj o téj xiążce w ogólnym przeglądzie literatury niemieckiéj, Tu nieco wytłumaczym, co zawiera.

W r. 1803, pisarz jakiś bezimienny, zapewne opłacony przez ministerium angielskie, wydał w Londynie pamflet, który narobił dość hałasu. Odkrył on projekt expedycyi do Egiptu podany Ludwikowi XIV przez Leibnitza; a okazując myśl filozofaniemieckiego,konkludował naturalnie, że Napoleon nie był pierwszym jéj twórcą, i wziął ją tylko po prostu z rękopismów niemca (*A summary account of Leibnitz's memoirs addressed to Lewis the fourteentth.*) Wyrodziły się ztąd długie rozprawy; stronnicy Napoleona wyobrażając sobie, że pożyczenie i wykonanie cudzéj myśli mogło szkodzić jego sławie, zbijali dowodzenie anglika. Rozsądniejsi okazywali że nie poniżało bynajmniéj Napoleona wykonanie projektu, którego Ludwik XIV nawet nie pojął.

Niemiec jeden z innego punktu rzecz widząc, napisał w r. 1806 xiążeczkę (*Napoleon Bonaparte und das franzoesiche Volk unter ihm*) dowodzącą że myśl wyprawy do Egyptu, nie była Napoleona, że ją podał Carnot, który przypadkiem w czasie zjazdu w Rastadt, odkrył projekt Leibnitza i realizując go pozbył się niebezpiecznego rywala. P. Thiers na mocy tego zapewne wspomina o ważnych dokumentach, które Bonaparte miał sobie udzielone, a Michaud wyraźnie wymienia, że znany mu był projekt Leibnitz'a. Xiążka P. Guhrauer w części znacznéj rozpatruje tę kwestyą, biorąc ją u zródeł, dochodząc powodów dla których Leibnitz napisał *Consilium, aegyptiacum*. W r. 1795 Eberhard pierwszy odkrył tę rozprawę, która nie była podaną Ludwikowi XIV. Anglicy zrobili z tego pamflet, Generał Mortier w r. 1803 kazał przepisać *Consilium aegyptiacum*. W przeszłym roku w tymże przedmiocie podał P. Guhrauer Akademii francuzkiéj *Memoriał*; a teraz zrobił z tego xiążkę, dodawszy wiele rzeczy podrzędnego interessu.

Geschichte von Danemark przez T. L. *Dahlmann'a*, zbyt podobno mało rozwinięte dzieło i ważne zagadnienia początkowéj historyi tego kraju, nie dość stanowczo rozwiązujące. Ceniony jest jednakże styl i sposób pisania autora, pełen życia i jasności.

Geschichte von Port-Royal przez doktora Hermann'a Reuchlin. To dzieło zeszło się jednoczesnie z drugiém w tymże przedmiocie P. Sainte-Beuve. Reuchlin wydał tylko tom pierwszy, Sainte-Bouve gotuje dopiero swoje; skorzysta on zapewne z poszukiwań pracowitych niemca, które tém bardziéj zadziwiają, że przedmiot czynił je dla cudzoziemca trudnémi. Pierwszy tom P. Reuchlin jest niezmiernie zajmujący i z uczuciem napisany, którego erudycya nię zabiła.

— *Schiller's Flucht nach Mannheim*; musi zająć tych wszystkich, którzy jeszcze czytają Schillera, pomimo tylu niesprawiedliwyoh krytyk jego dzieł. To pewna że wielce głęboko rozumujący krytycy Schillera, nieprzeżyją go, ale raczéj on ich. Jego jenjusz jest jednym z tych, których czas niepożywa.

Geschichtliche übersicht der Slavischen sprache von E. V. O.

Dla nas słowian zajmujące dzieło, bo dowodzi że i o nas niemcy, choć kiedy niekiedy myślą. Zawiera ono treściwy wykład rozmaitości dyalektów słowiańskich, ale zbyt treściwy; skarżą się na to cudzoziemcy, niemogący korzystać z xiążki ileby chcieli, my zaś jeszcze bardziéj skarżyć się musiemy, bo nas autor traktował, jak gdyby słowiańskie literatury dłuższego więcéj rozwiniętego dzieła warte nie

były. Boli nas to zwłaszcza dla tego, że znamy jak mało kosztuje niemców troskliwe przygotowanie materyałów i zbadanie ich estetyczno-filozoficzne.

Das Buch der Lieder wydane przez L. Stolle; jest to wybór piosnek różnych nowych autorów, jako to H. Heine, Anastaziusa Grün, Lenau (w istocie Nimptsch) Juliana Mosen i innych.

J. I. Kraszewski.

Nowe dzieła polskie.

Obrazy litewskie przez Ignacego Chodźkę T. I. str. 180, *T. II. str.* 181. *Wydanie Adama Zawadzkiego* 1840 *r.*

Z dwóch wyjątków drukowanych przed kilką laty, znane już były i ocenione w części *Obrazy litewskie* P. Ignacego Chodźki. *Domek mojego dziada*, czytaliśmy w *Wizerunkach*, a *Samowar* w *Birucie*. Są to pełne prostoty, uczucia i dowcipu *Obrazy* z tylko co upłynionych czasów; nakréślone ręką wprawną, z wielkiém przejęciem się rzeczą, które tłumaczy łatwo, to, że autor nie zmyślone postacie, nie urojone miejsca, ale tylko wspomnienia swoje osobiste, a sercu drogie, opisał. Niektórym z tych obrazów, możnaby zarzucić zadaleko posuniona komiczność, lecz tłumaczy je ich naturalność; i to, że autor nie szukał, nie gonił, za effektem, ale brał tylko z kolei wspomnienia, usiłując je jak najżywiéj odtworzyć. Dla tego więc przebaczyć potrzeba w *Majówce Boruńskiéj*, trywialne szczegóły umizgów Pana Dyrektora, do Panny Katarzyny, które są prawda zbyt komiczne,

skarykaturowane na oko, a jednak opierają się na postrzeżeniach obyczajów miejscowych i czasowych; toż i inne sceny tego rodzaju.

Obrazy litewskie składają się z sześciu oddzielnych, z których każde trzy mniéj więcéj się z sobą łączą. *Domek mojego dziada*, *Boruny* i *Śmierć mojego dziadka*, są najwyborniejsze. Staruszek, którego autor tak dobitnie odmalował, jest typem, którego naturalność, każdy uczuć musi. Z małemi odmianami miejscowości, któż nie widział, któż nie znał, kto przynajmniéj nie słyszał, o poczciwym staruszku? Śmierć jego jest sceną w swéj prostocie, cudnie patetyczną; tu szczegóły trywialne, sam Pan Jakób ze szczupakiem, przydają jeszcze prawdziwości, doskonałemu obrazowi. A processya do Krzyża, a pożegnanie z włościanami, jakże to piękne wszystko!

Boruny, wspomnienia studenckie pełne życia. I tu znowu każdy musi mimowolnie się przenosząc w młode swoje lata, uznać prawdziwość obrazu, który obumarłe w duszy wspomnienia, rozbudza. Obrazy *Majówki*, historya pustelnika, postać staréj żebraczki, charakter xiędza fizyka, doskonale odmalowane. Pejzaż, w którego ramach pomieścił malarz te sceny, choć zaledwie naszkicowany, lecz tak umiejętnie, że większego wykończenia nie żąda czytelnik. Toż powiedzieć można o okolicy w *Dom-*

ku mojego dziadka, której obraz kilką słowy dostatecznie nakréślony.

Następne trzy obrazy, więcéj komiczne i (zdaje się nam) niższe są od pierwszych; chociaż i w nich autor wymawia się naturalnością.

Ostatnia sessya exdywizyi, nie dość jest podobno rozwiniętym obrazem; dla saméj trafności rysów, życzyćby należało kompletniejszego, nie tak nagle urwanego. Pan Grzegorz Adwokat i Pan Dagocki stary poczciwy sługa, są tu głównemi postaciami, których charaktery najsilniéj zajmują, bo są żywo i naturalnie odbite. Co za szkoda, że widzim ich tylko, niejako w przechodzie, na chwilkę.

Samowar i *Powrót dziedzica*, chociaż wiążą się z pierwszą sceną, ukazują nam nowe postacie. Tu Pan Sularski, i słudzy poczciwi występują. Charakter Pana Sularskiego, jego domowe pożycie, jego rodzinę znowu autor z zwykłą trafnością odmalował. Historyi *Samowaru*, jeszczebym zarzucił przesadzoną komiczność. Cała ta tragi-komedya nie ma naturalności, któréj tyle jest w innych obrazach. Najnaturalniejsze ze wszystkiego podobno jest znalezienie się Józefa i policzek przez ojca dany pannie Salomei, w którym odzywa się jego ekonomska natura.

W powrócie dziedzica, znowu słudzy oczekujący nań w starym domu, najmocniéj zajmu-

ją. Scena z włóczebném, przerwana przybyciem posłańca, niższą jest od innych, choć zawsze prawdziwą. Szlachcic Babiło postać z natury odrysowana, uderza podobieństwem; tém ciekawsza, że ostatki podobnéj ślachty zagrodowéj dogasają wszędzie; za kilka lat znać ich tylko będziem z opowiadania. Rozrzucenie kopca wybornie pomyślane, dodaje rys do charakteru starego sługi, jacy także podobno już nikną, a przynajmniéj coraz są rzadszemi. W ogólności dwa tomiki *Obrazów litewskich*, są wyborne, pierwszy dla rozlanego w nim uczucia jeszczebyśmy przenieśli nad drugi; dowodzą one niepospolitego talentu w autorze, którego dalszych utworów, z niecierpliwością każdy czytelnik *Obrazów*, wyglądać będzie.

Wizerunki i *roztrząsania naukowe*. Poczet nowy *drugi*, *Tomik XIV*. str. 142, zawiera:

Katedra Wileńska, ciąg dalszy, *Bernard Maciejowski* i *Rozmaitości*, w których zajmujące dwa zabytki: *Dyaryusz Inwestytury Najjaśn. Królewicza Karola, syna Augusta III na Xstwo Kurlandzkie r.* 1759 i *Koronacyą Królowéj Eleonory r.* 1670.

Artykuły historyczne o *Katedrze Wileńskiéj*, których tu dalszy ciąg się zawiera, a które jak zkąd inąd wiemy, przez kilka jeszcze tomików *Wizerunków* ciągnąć się mają, pełne są najciekawszych szczegółów; dotąd jeszcze niewia-

domych, a pierwszy raz dla historyi wyjaśnionych. Autor z zadziwiającą pracowitością zebrane materyały, niemniéj trafnie uporządkował. Pierwsza to tego rodzaju praca z taką metodą i zasobem wiadomości dokonana.

Trzy edykta Władysława Jagiełły i Witolda, z czasów zaprowadzenia wiary świętéj w Litwie i *Dwa wyroki Witolda w sporze granicznym;* wydrukowane tu także, równie dla historyi, jak dla języka bardzo ważne. Jeden tylko z tych aktów ogłoszony był już w *Dzienniku Wileńskim* z przyłączoném *fac simile*, jak sam Redaktor uważa, nieszkodziło jednak powtórzyć.

Wizerunki coraz więcéj umieszczając artykułów historycznych, miejscowe dzieje i całego kraju obchodzących, zasługują na prawdziwą wdzięczność.

Obraz bibliograficzno-historyczny Literatury i *Nauk w Polsce przez A. Jochera.* Wyszedł zeszyt piąty, kończący Tom pierwszy téj ważnéj publikacyi.

Z przedmowy autora o planie dzieła, jego układzie, celu i dążności, powziąć można najdokładniejsze wyobrażenie. W zeszycie tym kończą się noty, pełne zajmujących szczegółów, a mianowicie o pismach peryodycznych, o administracyi dochodów Uniwersytetu Wileńskiego, o Celtesie; zamyka, kilka słów o szkołach. W przedmowie ciekawe wiadomości o

źródłach użytych do dzieła, wykazujące, ile trudów zebranie ich kosztowało.

Witolorauda. pieśń z podań Litwy, przez J. I. Kraszewskiego. Wilno 1840. *Druk J. Zawadzkiego. 8-vo maj. str.* 252. Prenumeratorowie odbiorą ją z Xięgarni Zawadzkiego w Wilnie.

IV.

JOACHYM Y ANNA. a)

Comedia o niepłodności Anny S. z Joachimęm mężem iey których w dziewiędziesiąth lath uraczył P. Bog Potomstwem Błogosławioną Panną Marią między czorkami Syonskiemi nigdy nieporownaną.

Personae.

1 PROLOGUS.
2 JOACHIMUS.
3 ANNA.
4 SARAN SŁUGA.
5 BASCANIA PUELLA.
6 SARX AULICUS.
7 IZAPHAR BISKUP.
8 KUCHIACH SERVUS.
9 GIZĘRA JUDĘUS.
10 HOTZER JUDĘUS.
11 SMOIL JUDĘUS.
12 BARDEY PASTOR 1.
13 MISGOLA PASTOR 2.
14 DIGUTRY PASTOR. 3.
15 ANGELUS.
16 EPILOGUS.

Finis.

---

a) Ten hiero-dramat, a po prostu mówiąc dialog, wyjmujem z rękopismu XVI wieku, należącego do Biblioteki Horodeckiéj JW. Urbanowskiego. Nie wątpim, że jako pierwszy tego rodzaju pomnik w całości drukowany, powinien z wielu względów zająć czytelników naszych. Ci którzy tylko zabawki szukają, mogą ciekawy ten zabytek pominąć. *P. R.*

Prologus.

Rzeć którą teras na thym placzu zaczynamy
Ac nic owszem niegodną osob wasych znamy
Prosim o trochę czaszu byście iey słuchali
A pilność iesli będzie Personąm przyznali
Historyą przykładną godna iest pamięci
Ktorą po wszystkiem świecie dzien dzisieyszy święci
Joachim, także Anna, ludzie świątobliwi
We wszystkich sprawach swoich P. Bógu mili
Ci przesz lath kilka dziesiąth żyli w niepłodnosci
Jednakze przestrzegali we wszystkim czystości
Gdy był dzień poswiączania kościoła Panskiego
Joachim chciał też błagać P. Boga swego
A gdy przyszedł z offiarą, Biskup niechciał przyiąć
Dla niepłodu wijklęthym bydz go pokazuiąc
Tak będąc zawstydzony Joachim cznotliwy
W puste miescia się udał bardzo żałosliwy
Gdzie tam mieszkał s pasterzami swy Bogomyślności
Dotąd aż go wysłuchał Pan Bog z wysokości
Tam mu Angioł obiawił iż Anna w starości
Zrodzic miała czorkę bardzo wielki zacznośći
Lecz nieludzkim sposobem tak odemnie wiedzieć
Bog ją od wieku przeyczał to odemnie miejcie
Więc na znak taki prawdy Angioł do kościoła
Kazał Joachimowi gdzie Anna wesoła
Tam ze była, za co wielkie offiary oddali
Panu Bogu za dobrodziejstwa dziękowali
Historyą przykładną WM. obaczycie
Jeśli oczu i uszu pilno przyłożycie.

ACTUS I.

Joachym y Anna.

JOACHYM.

Bądź chwała tobie Panie Boże dobrotliwy
Ciebie chwalić powinien każdy człowiek żywy
Bądż w częściu, bądź w niescęściu wszystkie twe wyroki
Trwać muszą póko jeno świat stoi szeroki
Nie wiem Panie co sobie we mnie upatrujesz
Nie wiem co mi takiego czynić roskazujesz
Dziewiędziesiąth lath temu prawie od młodości
Spodziewam się potomstwa od ciebie w starości
Wiem że się żaden rozum z tego nie wybłądzi
Jako możność twa Panie wszystko dziwnie rządzi
I co więc niepodobna w myśli ludzki bywa
Zawsze pan możnością swą to ludziom odkrywa
Zawsze to pokazuje, jakowych jusz z rzeczy
Nigdy się niespodziewa miec rozum człowieczy
Będę się pilno starał w swojej szędziwości
Abym nic nie wykroczył w pański życzliwości
Nie tylko sam, lecz żonę wszystką czelać swoje
Będę uczył wyslawiać Panie imie twoje
Fraska wszystko na świecie, fraską są klinothy
Kiedy kto w sobie nie ma bogomyślny cnoty
Żyć na świecie przystojnie to iest naprzednieysza
I do zbawienia droga tu jest najpewniejsza
Anno przystąp sam bliży, a słuchaj spilnością
To co będę powiadal z wielką uprzymoscią
Przymuy do sercza swego bo zeznać musiemy
Że na nasz Bog nie łaskaw tak iście tuszemy.

ANNA *mówi.*

Wszystkie ruszenia stop swych pilniem przestrzegała
Abym się Bogu memu we wszystkim udała
I tobie małzonku mój, wszystkie powolności
Zawszem ia oddawała prawie od młodosci.

JOACHIM

Wierze mi Anno, piękna iest sława mężowi
Kiedy kto dobrze cnego ço małżoncze mówi
Nikt oczu nie zaplusnie, y miedzy rownemi
Sobie smiele usiędzie s ludzmi podciwemi.

ANNA.

Tak iest starusku dla Boga czosz iest takiego
Co wzdy przypadło na cie tak frasobliwego
I prze sęn nie wiem czemusz się tak często porywał
Czegosz iako żywo nigdy nie czyniwał
Niewiem co by to było dobrze nie szaleię
Misląc o tym aż sercze ledwo nie omdleie. *a*)

JOACHYM.

Żebym się miał frasować, mówisz nie do rzeczy
Niepłodność nasza Anno, ta zawsze na pieczy
Gdzie się człowiek obróci, palcem ukazują
Wejże ich jakoć idą, jak chcą tak szacują
Ni mnie z ludźmi zasiadać, ni do żadnéj rady
Przystąpić, a kiedyby chciał człek do biesiady
Dopieroż mowy ludzkie dziwnie się tam sieją,
Już nie wiem jaką serce podeprzeć nadzieją.
Boże mój uslysz prośby, a przyjmij te słowa
Niech sobie w tém nie tęskni biedna moja głowa

---

a) Dotąd pisownia rękopismu, odtąd zastąpim ją zwyczajną, gdy kopia bardzo błędna.

Niech pośmiewiskiem nie będę u złego narodu,
Który odnosić muszę dla swego niepłodu.

ANNA.

Cóż to prze Bog gadacie. Pewnam jest na wieki
Że nas Bóg nieopuści z swéj świętéj opieki.

JOACHYM.

Pewżenem tego Anno ale przyrodzenie
Z trudna zwykło więc znosić pańskie roskazanie.

ANNA.

Trudna to rzec na świecie kiedy Bóg nie raczy
By się po woli wiodło żaden nie obaczy.
Dziwne są sądy pańskie, nie chcę się nie pytać,
Raczéj się twojéj woli Boże będę pytać,
Bo wie że żaden rozum z tego niewybłądzi,
Jako Bóg w swéj możności wszystko dziwnie rządzi
Chociajże tak mieszkamy z niepłodu w żałości
A co wiedzieć, co Pan Bog może uczynić w starości,
Abram pewną swą nadzieję w Bogu pokładał
Przeto też w starości potomka oglądał
Elliasza z Anną ci przez czas niemały
W żałości dla niepłodu w społecznie mieszkali
Aż dopiero nie rychło dziedzic ulubiony
Urodził się i dostał kapłańskiej korony
Także i ty staranie obróć swe do tego
Abyś ufność miał w Panu do żywota swego
Co jeśliże usłuchasz życzliwéj méj mowy
Może od Bog być jeszcze i potomek nowy.

JOACHYM.

Prawdę mówiąc przychodzi odnosić człowieku
Wielki wstyd, Anno już w takowym wieku

To jesteście, na świecie sobie poczytawam,
Komu da Bog potomstwo szczęściem być przyznawam
Bo mieć majętności dość, a nie mieć zaś dzieci
Coż wiedzieć kędy się to po śmierci rozleci?
Ale kto ma zaś dziatki, cwiczy je jak trzeba
Rychléj tacy rodzice dosięgają nieba
Bo kto szczęśliwego co dostąpić może
Co dziateczki ucieszne, ty sam wiesz mój Boże
Takowym się najwięcéj frasować nie trzeba
Bo już pewien dla kogo ma nabywać chleba
Ale my majętności komu zostawiemy?
Nieprzyjaciół snać swoich pociech nabawiemy.

ANNA.

Jużbym się snać i zagrześć pod ziemię wolała
Niżlibym słuchać takich słow od ciebie miała
Tak ci, kłopoty w domu, człowiek podjąć musi
O niego się nieszczęście z każdéj strony kusi.
Zgoła zewsząd frasunek, na człowieka leci
Bądź dla jakich trudności, albo więc dla dzieci
Przetoż się o mój drogi proszę z inszéj strony
Ufaj Bogu niebędziesz nigdy opuszczony
A bądź mąż mężem, na przypadki wszelakie
To grunt miec jedną myśl zawsze i serce jednakie
Ufam ja Bogu swemu że takie kłopoty
Rychło on sam przemieni w radość i wiek złoty.

JOACHYM.

Dziejże się wola Boża, a ja dzięki jemu
Będę zawsze oddawał jako Bogu swemu.

ANNA.

To najlepsza staruszku, da Bóg się nawrócą
Takie czasy które nam tęsknicy ukrócą.

JOACHYM.

Ukrócą ale wtenczas gdy w grobie ulegę.

ANNA.

O nic z tego? pierwéj ja twą głowę zalegę.
Coż temu rzec? Więc tam że już za jedną drugą
Zostawiemy: żałości troskę z duszy srogą.

ACTUS II.

Joachym, Saran sługa, **Anna Bascania** dziewka, **Sarx** dworzanin.

JAOCHYM.

Prawdę znając, wielka to miec sługę dobrego
Jako ja w domu swym mam od czasu dawnego
A kto go sobie jeszcze po myśli wyprawi
Wielką roskosz a pokój, iści w domu sprawi
A kiedy jeszcze trafi ktemu na wiernego,
Jakom ja dostał sługi młodzieńcu dobrego.
Wierzcież mi siła już tam dostaje w tym domu
Swiadomiście nietrzeba powiadać nikomu
Bo co proszę na świecie może być gorszego
Jeno gdy kto ma w domu sługę niewiernego
Patrz i w ten kąt i w drugi jest wszystko spełna
Bo jaki bywa baran taka na nim wełna
Takoż we złym człowieku też złe obyczaje
A zawżdy mu co na złe rozumu dostaje
A no ludzie wiele kroć doświadczyli tego
Że się trudno jest ustrzedz łotra domowego
Alećjuż ono ku mnie jeden sługa kroczy
Patrzcie skoro zawołam jako prędko skoczy
Sługo mój wierny słuchaj: dzisiaj mojém zdaniem
Za twe cnotliwe sprawy uczynię cię panem.

Jednak z kądeś powiedz mi, któregoś narodu
Albo też któremu tam służycie Bogu.
Bo więcéj zawżdy każdy myśli o swym rodzie
A stara się żeby był zawżdy na świebódzie.

SARAN *mówi.*

Wieleby o tém mówić, mój Panie łaskawy
Jakiego Boga mamy i jakie jego sprawy
Co stworzył niebo ziemię, tegoż my chwalemy
Bo jest Bóg nad Bogi o tém pewnie wiemy
A z rodum Chaldejskiego, cnotliwego domu
O swoich ja przygodach niepowiem nikomu
Bo snać kto słuchając chciałby z tego szydzić
A ja bym się za swą krew, i sam musiał wstydzić.

JOACHYM

Niechcę się ja nic pytać o twojéj przygodzie,
To mi miło iż dobrze mówisz o swym rodzie,
Wyznawasz też podciwość na wszem domu swego,
Ja nie tuszę zaiste nic o tobie złego.
Otoż ci już oddawam klucze od wszystkiego
Bądźże dobrym szafarzem proszę dobra mego,
A poznam li cię wiernym w tych posługach twoich
Iście, łacno nagrodzisz przesłych przygód swoich.

SARAN.

Dali Bóg to mój panie wkrótce się objawi
Że mój Bóg w którym dufam nade mną to sprawi,
Choć rządu nie dostanie mnie w mojéj młodości
Żec zdarzy Bóg nie zejdzie bynamniéj wierności
A ty jako mądry Pan, mnie przepuścić raczysz
Gdy z prostoty, nie z chuci, co ku mnie obaczysz.
Bo snać i Bóg co nigdy w swych sprawach nie błądzi
Ten więcéj złośliwą myśl niż uczynki sądzi.

JOACHYM.

Choć cię baczę w młodości, jednak znam bacznego
Miejże proszę staranie koło domu mego
Dziś u nas zaczną święta, już się otwierają
Do Hieruzalem wszyscy tam się więc schadzają
Ale osobliwie płeć męzka, a obfite
Tam więc ofiary czynią swoje znamienite,
Spieszcie za mną jedni pilno w drogę: a wy
Tu zostaniecie domowe odprawujcie sprawy

Studzy mają mówić. Bardzo dobrze.

JOACHYM.

Dobranoc miejcie wszyscy.

SARAN.

Boże z pociechami.
Byście się nawrócili w zdrowiu do nas sami.

ANNA.

Słyszycie a Pana gdzieście tam baczyli?

SARAN.

W drogechmy go dopiero wyprowadzili.

ANNA.

Grzeszna niewiem co mi przydzie czynić
Nikogo tylko was muszę w tym już winić;
Żeście wypuścili tak z domu samego
Bym wiedziała gdzie? szłabym tam do niego.

SARAN.

Szedł do Hierusalem, mieniąc uroczyste
Bydź święto gdzie ofiary czyste.
Przez kapłana miał oddać chwalebnym zwyczajem
A to nic nie mieszkając my też idziem za nim.

ANNA.

Bieżcie rychléj dziateczki mnie się serce trwoży,
Strzeż Boże od nieszczęścia. Coś mi pewnie wroży.

BASCANIA *puella.*

Próżno łzy moja Pani wylewasz obfite
Nocy niespane trawisz i dni frasowite
Proszę niechaj się ten żal w tobie trochę skróci
Rychłoć go P. Bóg ujrzysz w pociechę obróci.

ANNA.

Ach moja miła dziewko, moje miłe dziecię
Kogo co boli zgoła chowa w sercu, wiecie.
I że ja mam swego małżonka starego
Jakoż tedy tęskno nie ma być przez niego

BASCANIA.

Bóg się nim opiekuje i ten go ma w straży
Tenże go ze wszystkich, ufam przygód wyważy.

ANNA

Boże daj to bychmy go oglądali zdrowi
Ano kto? już dawno niewiem na co łowi
Płaci to on naśmiewca? po postawie go znać.

SARX.

Jać to gospodze, jedno niechce wam przeszkadzać.

BASCANIA.

Aty co tu masz działać? przyszedłeś szpaczkować
Znamy cię pędziwiatrze, wszystko chcesz biancować.

SARX.

Ja wam nie przeszkodzę, bo mam dosyć swego
Kłopotu, jeszcze we łbie, nic mi do cudzego.

BASCANIA.

A czegoż się wywiadasz, nieprzyjdzieć nic z tego,
Lepiéj byś oto patrzył, jeśli masz co swego.

SARX.

Widzę hardą postawę, by o świat niedbała,
Chodzi jakoby wszystkim rozkazować miała.

BASCANIA

Wszak ja mówię że ty z nas masz wybierać wzory
Nie twoja rzecz proszę cię szacować ubiory.

SARX.

Być mi się bo godziło, ni twój z pisma doktor
Ślubuję, wyliczyłbym ten wasz różny ubior.

BASCANIA.

Mój duszko to dla ciebie mam się świata odrzec
Ani jeść, ani pić, chędogo się oblec.

SARX.

O niebogo niebogo.
Śmierć ta koniec wszystkiego
Więc i czas odmienności, tysiąc z sobą wodzi
Z których tysiąc frasunków na człeka przychodzi.
A za niewiesz jaki sposob tego to żywota?
Kędy roskosz przebywa tam pełno kłopota.
Bo te krotofile doczesne roskoszy
Nie obaczym jako czas tak prędko rozpłoszy.

BASCANIA.

Cóż to gadasz? a Saba jako się ubrała
Gdy ono Salomona witała.
Albo Hester jaka była
Kiedy żydy wyzwoliła
Albo Judith co czyniła
Gdy Holoferna zabiła.
Nuż Dido, nuż Semiramis
Podobno to sam lepiéj wiesz.

Jako te światem toczyły
I jako pismo króciły
Jakie kształty, jakie stroje,
Więcéj niż dziś, tyle dwoje.
A tak niemasz tu co ganić
Wierzęć każdę stroje za nic,
Mężczyzna i białogłowa
Kiedy chodzi jako sowa.
Ale gdy się na kokoszy
Przydawa jakoś roskoszy.

SARX.

Wejże jakoć łbem ruszyła
Jakoć pisma wyliczyła.
To grunt miła, ubrać się w poczciwe sprawy,
Cnota stan dobry, nadewszystko prawy.
Niewielkie szczęście nabyć srébra, złota,
Wszystko to za nic stoi, gdy z dziurami cnota.
Która na wszem wszystek świat, nadobnie chędoży
A każdemu na świecie wielką sławę mnoży.

BASCANIA.

Już ja widzę (. . . . .) a dymem
Już by lepiéj czas zostać dudku Bernardinem.

SARX.

To prawda, nie mieszkając wstąpię w zakon pański
Będę przystojnie chował ten urząd kapłański.

BASCANIA.

Ho pewniśmy! już się ty na ten stan poświęcisz,
Nie jednego ty jeszcze na świecie wykręcisz.
Dotąd ty jeszcze będziesz tym światem dudkował
Aż byś co szalbierstwem swym na kim wymachlował.

Na dwa kąsy to tobie naśmiać się z każdego
A też, żadnéj z nas nie rzeczesz słowa dobrego.

SARX.

Już nie zwiedziesz pokuso, wszakem już probował
Co świat umie, do śmierci nie będę żałował.
Gdzie jest moja kapica, ja już więcéj z wami
Nieprzestanę, żegnam was i z delicyami.

BASCANIA.

Nie żartuj, oto lepiéj dogadzaj młodości
A trefnemi żartami zabawiajmy gości.

SARX.

Już wędruj a niegadaj. Nie tam kędy chcemy
Ale gdzie nas wiatry niosą tam płynąć musiemy,
Niechciałaś zbliska, więc zdaleka bądź łaskawa.

BASCANIA.

Alboś fantastyk jaki, dziwnaś ty postawa.
Wolno się i na błazna młodemu bierzmować.
Wolno i nim być wiecznie, wolno dokazować
By Gąska — *a*) Byś chciał z nogami do nieba
Za takową rozprawę szkodać już i chleba.

ACTUS III.

Izaphar. Gizera. Kukiach. Joachym.

IZAPHAR.

Zdarz Bóg dziateczki moje, wy na mnie czekacie
Kiedyż dawno, i tęskność w sercach waszych macie.

GIZERA.

Już dawno ojcze miły tu na was czekamy
Którzyśmy do Kościoła przyśli z ofiarami.

---

a) *Gąska* błazen, któremu Kochanowski zostawił nagrobek w swyah Fraszkach. To pokazuje kiedy pisano.

IZAPHAR.

Bardzo dobrze, a juże wszystko zgotowano?

GIZERA.

Już wszystko jako trzeba jest nagotowano.

IZAPHAR.

Nie dziwujcie nam starym, ten obyczaj mamy,
Byśmy chcieli narychléj, zawsze omieszkamy.

GIZERA.

Boże uchowaj, nam starych usłuchać przysłusza,
I owszem niechaj się twa miłość nie obrusza
Tym, żeśmy cię z pokoju twojego ruszyli
I niewczasów podobno wielkich nabawili.

IZAPHAR.

Bynajmniéj nic. Idźcie równym obyczajem
Tak ci być zawsze musi między nami wzajem
Nam jako starym słuchać, wam tu rozkazować
Cobyście mieli czynić, jako się sprawować.
Starzy chociaj nie duży, ale rozum mają,
I młodym ludziom wielki przykład z siebie dają.
Młodzi za się mocni są, ci mężnie wojują
Ale w ten czas kiedy im starzy rozkazują.

GIZERA.

Tak jest zacność i cnotę wszyscy społem znamy,
Która jest napodciwsza między wszystkie stany,
Co cnota, co przystojność rozeznać umiecie
A swe sprawy powinne właśnie rozumiecie
Nikomu czci ni sławy nic nie uwłaczacie,
Każdemu co należy właśnie przywłaszczacie.
O panie, dajże zawżdy nam z takiemi bywać,
A nabożnych przykładów też z wami zażywać.

IZAPHAR.

Chwalę cię w tym cny mężu, to zguba wszystkiego
Kiedy kto nie pilnuje powołania swego,
Ale się w cudzy wtrąca mając swego dosyć
Urzędu, chce jednak cudze brzemię nosić.
A nieborak nie widzi co się doma dzieje
Że się z niego do zdechu drugi sąmsiad śmieje,
Nie bądźże potym bracie takiéj omylności
Raczéj hamuj jeśli masz takie namiętności,
Obrałeś sobie żywot poczciwy a mierny
Żadnemu nie szkodliwy, spokojny a wierny.
Żyjże w powołaniu swym jako w pańskim stadzie
Nie myśląc nic o fałszu, o bliźniego zdradzie
Żywności swéj na świecie podciwie nabywaj
A ony słowa pańskie na baczności miewaj.
Iż on rzekł nieopuści ni na czym wiernego
A chojnie chce rozmnażać każde dobro jego
Używajże też miernie jeślić co Pan Bóg dał
Abyś i bliźniemu snać gdzie mógł tym pomagał.
Nieobmawiaj, nieszacuj, stanu wszelakiego
Jeśli podług twéj myśli chcesz mieć co dobrego
Tak, że jeślibyś godzien rzeczy pospolitéj
I tu byś wiecznie użył zapłaty obfitéj.
Uczyń gwałt przyrodzeniu, widzisz żeć wojuje,
A rozlicznie z tym światem jak z nami kugluje
A nie daj się zwodzić w żadne marne sprawy
Żyj sobie tak podciwie jako człowiek prawy.

GIZERA.

Będę się starał ojcze co jest wola twoja.
Do tego się koniecznie skłania dusza moja.

IZAPHAR.

Kto się tak zachowywa jak komu przystoi
Pięknemi ten swą cnotę iście wzory stroi.
Ale już nam czas przyszedł do ofiarowania.
Nieście tam do ołtarza jakiego barana.
Wino macie gotowe? sól, mąka niech będzie.

KUKIACH.

Już wszystko zgotowano jako trzeba wszędzie.

IZAPHAR.

Chwała Bogu żeście tak na wszystko gotowi
Idźmyż tedy wszyscy społem ku ołtarzowi.

JOACHYM.

A Joachym sługa twój pójdzie panie z tobą,

IZAPHAR.

Proszę nieczyńcie tego, niechcę was mieć z sobą.

JOACHYM.

Proszę Kapłanie, niechaj będę wzgardzony

IZAPHAR.

Inaczéj być nie może, jużeś osądzony.

JOACHYM.

Wżdy niechaj dziś, aby tę ofiarę odprawię.

IZAPHAR.

Joachymie ja nieprzypuszczam cię ku téj naszéj sprawie,
Jawne przeklęctwo pańskie na sobie nosicie,
Próżno się tu z drugiemi do ofiar znosicie,
Weź tam swego barana i idź precz z kościoła,
Bo cię każę wyrzucić powiadam to zgoła.
Niepłodność wasza dawno między ludźmi słynie,
A kto żyw przez Zakonu, bez Zakonu zginie.

JOACHYM.

Zakonu ja przestrzegam służąc Panu Bogu.
I strzegę się ustawnie każdego nałogu.

IZAPHAR.

Cóż potém, znać nie łaskę Pana Boga twego,
Któryć nie dał potomstwa dla twego dobrego,
Nie dał ci starcze patrzeć na twe wdzięczne dziatki,
Którećby przed oczyma stały jako kwiatki,
Najpewniejsze w Zakonie to błogosławieństwo,
A kto więc dziatek nie ma szczére to przekleństwo.

JOACHYM.

A kto wie jeszcze jeśli pan w téj mojéj starości
Nie uczyni poczesnéj jakiéj odmienności.

IZAPHAR.

Wiem że jest Bóg na niebie, możny, sprawiedliwy
Lecz dziw że nas tak długo z miłosierdzia żywi.
A ono głosy w niebo o pomstę wołają,
Gdyż żadnego ratunku w swéj nędzy nie mają.
Uciśnion wszędy nędznik dziwnie od możnego
A nie ma zkądby podparł upadku swojego.
Baczemy to na oko czego doznawamy
Jakie niepokoje tu między sobą mamy.
Poddani panom swoim władzy już ujmują,
Panowie zaś poddanym z hańbą rozkazują;
Nie masz zgody na świecie nie masz ni miłości
Zewsząd nieprzyjaciół dość, bo się kurzą złości.
Żyjemy tu na świecie niby jakie bydło
A też już nabożeństwu ugorywa skrzydło.
Nie będzieli poprawy, niech się każdy lęka
Bo już ofiara pańska dawno z bluznierstw, stęka.

Lecz próżno o tém mówić, kto wie? a to i ty,
Co wiedzieć jaki tam masz grzech w sobie zakryty.

JOACHYM.

W starości méj strzegę się nie daj tego Boże
Żaden cnotliwy wiem to, źle upaść nie może.

IZAPHAR,

Trudno bywa rozeznać z téj świętéj postawy
By tam kiedy musiał być zawżdy umysł prawy.

JOACHYM.

Wiem, postawa zakrytość serca okazuje,
A trudno twarzą zakryć co serce sprawuje.

IZAPHAR.

Toć prawda że czasem bywa umysł prawy,
Ale tu między ludźmi trzeba inszéj sprawy,
Już odemnie precz odejdź, polecam cię Bogu
A my podźmy ofiarę czynić Panu Bogu.

ACTUS IIII.

Izaphar, Hotzer, Joachym, Smoil.

(Tu żydowskie sztuki mają bydź wyrażone, jako najgrzeczniéj, i spiewać mają.)
Potym Biskup zacznie mówić.

IZAPHAR.

Boże mój od którego wszelkie dobro płynie
Którego imie szczerém miłosierdziem słynie,
Dobroci nieprzebrana, skarbnico litości,
I cóż ci mamy oddać za swe wszeteczności,
Czémże cię będziem błagać o Stwórco wszystkiego
Bo nad cię w Izraelu nie masz nic droższego,

Tyś dał przykazanie swe, usilnieś pracował,
Ziściłeś nam wszystkiego kiedyś obiecował,
Przodkom naszym na puszczy łaskęś pokazował,
I z Egyptu nas wywiodł, wolnością darował
Tyś wszędzie strzegł żebyśmy marnie nie zginęli
I z morza Czerwonego dziwnie wypłynęli,
O! jakoż ci Panie nasz już dziękować mamy,
Wielkiegoś imienia Pan, tak cię wyznawamy
A gdyż inszéj ofiary na świecie nie mamy
Tą ofiarą naświętszą imie twe błagamy
A przytém się wszyscy wcale oddawamy
Czyń z nami co ty raczysz w tém się oświadczamy
Byś nam i zginąć kazał dla ciebie samego
Nie będzie nam nic ciężko dla Pana naszego
Zmiłujże się proszę cię nad tą trzodą swoją
Broń jéj, boć ona twą jest, pod obroną twoją
Uchowaj jéj od grzechu i gniewu twojego
A domieść jéj radości królestwa wiecznego.

(Tu kadzidło, palić, kurzyć, barany niech wrzeszczą.
Żydowie Amin Amin niechaj krzyczą.)

IZAPHAR.

Już w pański czas do domów swych się rozejdziecie
Proszę że tak nie rychło za złe mi nie miejcie.

HOTZER.

Myśmy powinni słuchać by Boga samego
Gdyż kapłani sami są posłani od niego
Boże chowaj pogardzać, owszem zwierzchność jego
Czcić winniśmy, jako posła od najwyższego.

IZAPHAR.

Idźcież w dobrą godzinę, mam co czynić z sobą
Daléj się już nie mogę tu zabawiać z tobą.

JOACHYM.

Szczęśliwyście wy ludzie, szczęśliwy człek taki
Że na was Pan Bóg łaskaw znaczne to są znaki
Z różnych stron zeszliśmy się do miejsca świętego
A przeciem ja nieodniósł szczęścia takowego
Jakoście wy odnieśli. Szedłem od ofiary
Lepiéj znać i krwią polać zapalone mary.

SMOIL.

Aza niewiesz Joachymie szczęście kołem toczy,
Jednego wzgórę wzniesie, drugi przez kij skoczy.
Także też kiedy człowiek przetrwa swe przygody
Odmienia się w pociechę frasunek on srogi.
Także i ty jeduo trwaj mocnie w twéj stałości
Ujrzysz że się odmienią te twe przypadłości
I zacniejszym możesz być, potym tu na świecie
Niech cię to nic nie rusza, choć cię kłopot gniecie
Imie twe napotém zawsze w sławie będzie,
Bo więc stała uprzejmość wsławi się wszędzie.

JOACHYM.

O mój miły sąsiedzie, wierz mi żeć się miesza
Myśl moja w wątpliwościach iście się zawiesza
Cobym czynić miał, nie wiem. Już i myśl i ciało
I dobre mienie zginie i rozumu mało.

SMOIL.

Cóż to mówisz proszę cię? azaż pisma mało
Mamy o tém co się kiedy więc z dobremi działo
Joba P. Bóg doświadczał w uprzejméj stałości
Teraz bierzem wzór wszyscy z jego przykładności
Tobiasza jaskółka kiedy oślepiła
Chciał aby się moc Boża nad nim objawiła,

Aby z niego pociechę potém drudzy brali,
Iż się ci nie mylili co Panu dufali.
Także też i Jonasza kazał w morze wrzucić
Który przed jego wolą chciał w cudzy kraj uciec.
Aby potém i drudzy bezpieczni nie byli
Tego się świętéj woli nie nieprzeciwili.
Także i ty będzieszli w woli pańskiéj chodził
Pan ze wszystką pociechą będzie na cię godził.

JOACHYM.

Dziejże się wolą Bożą; bo z tą naszą wolą
Mocnie się przyrodzenie ciągnie na swawolą.
Com umyślił to sprawię, pójdą w inszą drogę
Aza Pan uspokoi w sercu moję trwogę.

SMOIL.

Nie wiem gdzie indziéj masz iść? chyba k domu swemu
Tam będziesz przewodnikiem sam sumieniu swemu.

JOACHYM.

Nie pójdę ja do domu, nazad się nie wrócę,
Ale się w inszą stronę do sług swych obrócę.

SMOIL.

A kędyż to, proszę cię, byś nie wpadł gdzie w sidło?

JOACHYM.

Do Pasterzów swych pójdę kędy pasą bydło.

SMOIL.

Niebezpieczno samemu skłania się ku nocy.

JOACHYM.

Ufam doda mi Pan Bóg swéj świętéj pomocy.

SMOIL.

A żona twoja Anna z kim w domu została?

JOACHYM.

Kiedym tu szedł bynajmniéj o tém niewiedziała.

SMOIL.

Toć w niemałéj dla ciebie została załości,

JOACHYM.

Trzymam o niéj że będzie trwała w swéj stałości
Ktō się dzierży cnéj cnoty wiary a czystości
Ten zawżdy pewnie chodzi w pańskiéj opatrzności.

SMOIL.

Niechceecie już zabawiać idźże prostą drogą.

JOACHYM.

Więc ja pójdę proście tu za mnie Pana Boga
Żebychmy się z pociechą zdrowo oglądali
A łaskę Pana Boga naszego uznali.

SMOIL.

Boże daj to, dobra noc

JOACHYM.

Dobra noc WM.
Ja już muszę tak zostać w serdecznéj żałości.

ACTUS V.

Bardéj, Mizgoła, Digudéj, Joachym, Cosmus, Anniol, Anna, Bascania.

BARDÉJ.

Héj Panowie słuchajcie ktoż tam z owéj strony
Dybie na czas do owiec, przez kilka zagony.

MIZGOŁA.

Któżby tu taki miał przyjść do nas nieświadomy.

BARDÉJ.

Już ci tak jest niedarmo idzie tu w te strony.

DIGUDEJ.

Kataż wolasz lepiejbyś co rychléj tam bieżał
I zastąpił mu zwłaszcza żeby nie ubieżał.

MIZGOŁA.

O zły duchu trafisz tu wnet do nas na gody
Nie tu zbierają w polu przy owcach jagody.

DIGUDÉJ.

Ktości świadomy baczę, bo rączo skoczyli
Parobcy i za nogi wnet go obłapili,
Naszci gospodarz idzie, tęn jest już go znamy
Niedarmo tu on przyszedł cóś nowego mamy,
Witajcie panie miły, twéj miłości radzi
Cóś dobrego niesiecie do swojéj czeladzi.

JOACHYM.

Wszystko dobre dziateczki muszę też przewiedzieć
Co się na polu dzieje, a nie doma siedzieć.

BARDÉJ.

Bardzo dobrze jakośmy obaczyli okiem
Że ktoś idzie zarazem bieżeliśmy wskokiem
Nie mieliśmy, kto inny po głowie, po ręce
Wziąłby był sobie, umialby co mówić o męce;

JOACHYM.

Chwalę was dziateczki me że tak moje rzeczy
Zawsze pilno strzeżecie i macie na pieczy.
Jako zaś z drugiéj strony jest zguba wszystkiego
Gdy sługa nie pilnuje powołania swego.
Na oko wszystko czyni, zda się wrzkomo pilny
Przy panu, gdy odejdzie, aż on omylny.

BARDÉJ.

Otoć prawda że drudzy o cnotę niedbają.

JOACHYM.

Wszak się też taey wszyscy po świecie tułają
Każdy im to zadawa, byś ty co dobrego
Służyłbyś ty człowiecze u pana jakiego
On się kręci nieborak, wstyd go w oczy kole
A gdy się wyrwie zatém toć leci gdzie w pole.
Nie masz ci lepiéj jak służyć ludziom, się zachować
A rostropnie pańskiemi dobrami szafować.

MIZGOŁA.

To prawda dawno już tu mój panie stoimy
Musim odeść od lasów, wilka się boimy.
Bo często tu do owiec we dnie się skradają
Jedno że pilnujemy, psi też odganiają.

JOACHYM.

Dla Boga miłe dzieci pilno opatrujcie
Bym szkody nie miał w bydle, dobrze to warujcie.

MIZGOŁA.

O nic ci panie miły. Czas je gnać do wody.

JOACHYM.

Ten czas dziatki żeńcie, a strzeżcie tu szkody.
(*Tu sam sobą chodząc ma mówić*)
Wieczny Boże takeś mnie pokarał biednego
Takeś mnie takiéj hańby obrał być godnego.
Gdzie się mam, zkąd tu jestem, jakie imie, jakim
Będą nazywać ludzie, na miejscu wszelakiém.
Będą mówić i mówią, już go Pan na wieki
Wyrzucił z swéj obrony, wyrzucił z opieki,

Tak o mnie trefne mowy, trefnie zaczynają
Których śmiech urąganie, żalu mi dodają.
Co ja słysząc na poły od żalu umieram.
Jednak przecie nadzieję jakążkolwiek miewam.
Wieczny Boże że wejrzysz, na moją prostotę
I obrócisz ten pośmiech w wielką moją cnotę.
Można li niech będę miał z łaski twojéj dziatki
Niech twego dobrodziejstwa będą pewne świątki.
Dziatki komu da Pan Bóg zwłaszcza Chrześciańskie,
Wyroki po rodzicach winni pełnić pańskie.
Ażci więc niewie człowiek jakie dzieci rostą
Drudzy ich zażywają z wielką swoją chłostą.
Kiedy więc marnie słyną za żywota swego
Ach bywa w tém człeku coś załośliwego.
Albo gdy przed oczyma rodziców zmierają,
Wielka tam żałość bywa często doznawają.
Jestli wola twa Panie, za żywota mego
Daj bym jeszcze oglądał potomka miłego.

KUKIACH.

Dla Boga coś się ono w bieli zabłeściło,
Ledwie mi już od strachu serce nie omdlało.

JOACHYM.

Daj pokój Angioł pański ku nam przystępuje
Jakoż baczę coś mówić do nas się gotuje.

ANGIOŁ.

Joachymie jestem tu od Boga posłany,
Dając znać że to dzisiaj dzień jest zawołany
Dzień godny, dzień wesoły, dzień pełen radości,
Któryć Pan Bóg zwiastował iż wielkiéj godności
Anna córkę powije, nad którą nie będzie,
W Izraelu, a imie Marja jéj będzie,

Wierz temu moja powieść, pewna a stateczna
Już się ciebie nie puści sława nigdy wieczna.

JOACHYM.

Pobieżę niemieszkając, co rychléj skosztuje,
Nowina wdzięczna pośle, jak cukier smakuje.

ANGIOŁ.

Bież co rychléj, lecz pierwéj wstąpisz do kościoła,
A tam Annę zobaczysz w złotéj bramie zgoła
Któréj się to co tobie powiedziało wszakże,
I znajdziesz nie inaczéj wierzaj mi a wszakże
Za tę nowinę Panu społem podziękujcie,
I w kościele ofiarę wdzięczną ofiarujcie.

JOACHYM.

I owak Boże wieczny tobie dziś dostojnie
Wino i cielce będę ofiarował hojnie.

BASCANIA.

Pani, masz WM. nowinę

ANNA.

Daj Boże, aby dobra.

BASCANIA.

Iście dobrą słynie? Ano Pan idzie wesół

ANNA.

A dla Boga.
Kędyżeście tak byli? a ja tu nieboga,
Oglądam się na ludzi z twarzą zasmuconą
Przecz frasujesz małżonku małżonkę strapioną
Która się zawsze słów twych bez fukania boję.
Abyś mi tę którą znam zawsze miłość twoją
Chciał pokazać? i którąby słusznie już być miała
Jeszczebym to małżonku u ciebie zjednała,

Żebyś się mógł tak wielce jeszcze nie frasować,
Owszem siebie samego we zdrowiu zachować.

JOACHYM.

Nie frasuję się Anno, mowa Angiołowa
Ta mnie dziś pocieszyła lejąc takie słowa,
Że w tém wieku Bóg wieczny już się nas użalił
A potomstwo nam pewne z łaski swéj objawił.
Co więc i mnie i tobie kazał o tém wiedzieć
Zbieżałem w skok tobie słowa te powiedzieć.
Prawi Anna żona twa, już się przyprawuje
W łaskę pańską: a powie córkać się gotuje.
Co rozumiesz jakie to jest do nas poselstwo,
Będzie godne Dali Bóg też i nasze małżeństwo.

ANNA.

Pewnie już jest bo ręka Boża umocniona
Była z nami zawsze. I już poświęcona
W żywocie mym Marja od Boga przejrzana
Pewnie pierworodnym grzechem nie jest zmazana.
Wszakże coby się na świat żywota podało
Chce aby Bogu służąc w kościele zostało
Ten prawdziwy ślub czynię, o tém szkoda myśléć,
Bym tę pannę gdzie indziéj więc miała obrócić.
Bo kto wie? jeśli nie z naszego pokolenia
Messyasz przyjdzie gdyż my z Dawidowego plemienia.

JOACHYM.

Wszystko to być może z zrządzenia Bożego
My panu podziękujmy z daru najświętszego.
Iż nam dzisiaj dzień przyszedł, zdawna oczekany
Wszystek też niechaj będzie w modlitwach chowany,
Bieżcie przynieście dosyć kadzenia, wonności,
Wszystek ten dzień strawiemy w naszéj nabożności,

Owiec kilkadziesiąt par, baranów tak wiele,
Będziemy odprawować ofiary w kościele,
Biała płeć i mężczyzna i ktokolwiek żywie,
Ale między innemi panny osobliwie,
Wieńce z białéj lilii i z róży gotujcie
A niemi piękną pannę Siońską darujcie,
Która tego jest godna bo żadna nie była,
By się kiedy tak zacna panna urodziła.
Z domu Dawidowego wszystkich zsztychowała,
Których jeno na ten czas na świecie zastała.
Benedicite dziatki wesoło krzyknijcie
Ja też precz już odejdę. WM. pokój miejcie.

Epilogus.

Rzecz która się przed wami na tym placu działa,
Co by w sobie za sprawę potajemną miała
Nie trzeba wiele mówić wszystkoście baczyli,
Jeśliście pilnie na to oczyma patrzyli.
Już was nie będziem bawić, bogobojny gminie
U którego prawdziwa pańska chwała płynie,
Dzień pański dziś szczęśliwie wszyscy odprawiajcie
Jeśli kiedy tedy dziś panu chwałę dajcie.
Historyą przykładną tę miejcie w pamięci,
Którą po wszystkim świecie dzień dzisiejszy święci.
Pomnijcie jako P. Bóg raczył błogosławić
Joachymowi i w łasce przy sobie zostawić,
Widzicie jako to jest rzecz można u Pana,
Gdy kto z zupełną wiarą padnie na kolana.
A dla jego imienia ocz go kolwiek prosi,
Baczym iż każdy taki pociechę odnosi,
Jako ci dwoje ludzi, Joachym i Anna
Z których się narodziła ta prześliczna panna

Marja, gdzie się wam już frasować nie godzi,
Bo wesele serdeczne tego dnia przychodzi.
Dziś nabożnie kadzidła wszyscy zapalajmy,
Wszyscy dziś pięknym kołem wesoło śpiewajmy,
Dziś co łąki Arabskie wonne zioła dają.
Niech w święto Anny Ś. z rąk wszystkich pałają,
I z wosku świeca aby przez ten dzień gorzała,
A przy niéj tuż modlitwa przy ołtarzu trwała,
Byśmy przez ten wszystek dzień cną panię chwalili
A niewymównie w sercach swych weseli byli,
A potém z nią społecznie zażyli rozkoszy,
Tam gdzie nigdy zła chwila, w niebie, nie rozproszy.

AMEN. JEZUS.

Nie taim że ten dialog, najobszérniejszy ze wszystkich zawartych w rękopismie, najmniéj ma wartości, najniedbaléj ułożony, najgorzéj przepisany i wielą śmieszności skalany. Jednakże pod względem układu rozwiązuje szczegółowie ciekawe zagadnienie, jak pisano dialogi z przedmiotów historyi świętéj. Dotąd, o ile wiem, nikt całego takiego hiero-dramatu nie odważył się wydrukować; Juszyński dał tylko wyjątki nic nieznaczące. My, jakkolwiek przekonani o bardzo małéj wartości naszego, wydajem go sądząc, że i ten zabytek wart poznania, choć nie ma w jego układzie najmniejszego talentu, a malutka liczba lepszych wier-

szy, żywcem jest z pobożnych pieśni znakomitszych XVI wieku poetów, skradziona. Bynajmniéj od tego nie lepsze *Misterja* francuzkie, drukowano i przedrukowywano przecie, ceniąc w nich pamiątkę tylko. Mamy nadzieję, że następnie nierównie lepiéj napisanym, w innym rodzaju dialogiem *o Męce Pańskiéj*, także XVI wieku i drugim o *Abrahamie*, przysłużym się czytelnikom naszym. Będą to wszystko materyały do zupełniejszéj historyi dramatu w Polsce, która dotąd zaledwie dotkniętą została. Artykuły P. K. W. Wojcickiego w tym przedmiocie, nie tylko nie wyczerpały wszystkiego, lecz zaledwie ogólny rys nakreśliły. Postacie dramatom polskim XVII wieku właściwe, odpowiadające niegdyś, tym popularnym i ulubionym charakterom teatru włoskiego *Stentarello*, *Pulcinello Cassandrino* i t. d. jakiemi były *Albertus*, *Kantor*, *Klecha* (mianowicie zaś pierwszy niezmiernie przypominając Stentarella); postacie te zaledwie nieśmiało dorywczo narysował P. Wojcicki, zasłużywszy się wszakże wielce, zebraniem wieści rozpierzchłych i o nich, i w ogólności o teatrze i dramacie dawnym polskim. Zostaje teraz i materyały jeszcze gromadzić i z nich wywinąć dzieje teatru popularnego, gminnego w polsce, w dwóch jego oddziałach, w dialogach pobożnych i dialogach satyrycznych. Chociaż mamy pod ręką kilka *Intermediów* dość

ciekawych; dla rozpasanéj ich wszakże, swawolnéj, a dziś nieznosnéj swobody, z jaką się wyrażają (bo były dla gminu przeznaczone, który żąda dosadności we wszystkiém i połową się nie kontentuje) niepodobna nam ich wydrukować. Może też znajdziemy inne jeszcze; nie tracim nadziei. Zbiór dawnych zabytków teatru XVII wieku w polsce, dla historyi nawet obyczajów, dla dziejów wyobrażeń i opinii, byłby dość ważny. Lecz dziś szczątki komedyi, dramatów, dialogów tak są rozrzucone, po tylu rękach, po tylu bibliotekach, że zebrać je w jedno mógłby tylko zupełnie się temu oddając, pracowity szperacz. A ileż to razy wśród téj pracy, przyjść by musiała wątpliwość, czyli się ona na co zdała? Najlepiéj znający potrzeby czasowe dzisiejsze, uledz jéj musi, gdy mu przyjdzie całe arkusze nic nieznaczących paplanin, dla dwóch wierzy, mający jakiś interess, wypisywać. Dodajmy, że pseudo-literaci śmiechem szyderskim, zapytaniami żartobliwemi, zachwieją jeszcze nieraz wiarę w potrzebę takiéj pracy. Oni pojmują tylko literaturę łatwą i owoce gotowe; aże nigdy nie pracowali sami, zdaje im się że wszelaka praca, jest tylko dobrowolnie, przez dziwactwo zadaną sobie karą, lub dowodem niepojęcia rzeczy. Aleśmy odeszli daleko od przedmiotu; wracamy do niego życzeniem, aby nasz dialog jakkolwiek innéj wartości

nad swoją dawność niemający, wzbudził chęć poszukiwania lepszych, i ciekawszych. My, z naszéj strony, chociażbyśmy naganieni być mieli, resztę będących w ręku naszym tego rodzaju zabytków, ogłosić postanawiamy, upraszając posiadaczy, już drukowanych, już w rękopismie zostających szczątków dramatów i dialogów polskich, dawnych, aby nam ich udzielić raczyli.

J. I. Kraszewski.

III.

SZTUKI.

I.

WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH PARYZKA 1840.

Tego roku dzieła rzeźby są w niewielkiéj liczbie. Powiadają, że kommissya przyjmująca, wiele z nich odepchnęła, a wiele nawet przyjęcia i wystawy godnych. Możnaby temu wierzyć przypomniawszy co zaszło z grupami zwierząt P. Barye, które przed czterma laty odrzucono, a dziś wszyscy znawcy je wychwalają.

P. Cortot, jeden z członków komissyi przyjmującéj, dał na wystawę grupę złożoną z dwóch figur, *Jezusa Chrystusa na kolanach Panny Maryi.* Odlana jest z złoconego bronzu dla kościoła Najświętszéj Panny w Lorecie; odznacza się zupełną pospolitością. Linje wszystkie dość nieszczęśliwe, głowy mają expressyą, któréj oznaczyć niepodobna, a draperye rzucone tak cięż-

ko i niezgrabnie, że mało im podobnych w rzeźbiarstwie natrafić można. Jeśli, odkładając na stronę, część poetyczną rzeźbiarstwa, o któréj P. Cortot nie pomyślał, uważać będziem tę grupę pod względem rzeczywistości tylko i prawdziwości kształtów; nie potrafim jéj także pochwalić. Głowa N. Panny modelowana jest sucho i twardo do nie uwierzenia. Kiedy P. Cortot nie chciał się radzić tradycyi i nie życzył sobie powtarzać typów XIV, XV lub XVI wieku, powinien był poradzić się natury. W naturze zaś nie ma nic podobnego do głowy N. Panny P. Cortot; czoło, oczy, usta nie są wcale naturalne; ręce złożone z krótkich stawów, są niezgrabne, figura Chrystusa jeszcze jest gorsza. Nie tylko głowa nie ma wyrazu boskiego, nic wzniosłego, nie tylko plany muskularne torsu i wszystkich członków modelowane są zbyt okrągło i jednostajnie; lecz nogi zwieszone nie wiszą. Grupa P. Cortot nie jest ani starożytnéj, ani chrześciańskiéj skulptury, ani rzeczywistości odbiciem; nie dziw też że brak jéj i piękności i życia. Sławny *Żołnierz Marathoński* stojący w Tuileries, którego postawa jest tak śmieszna i tak niezgrabne linie; pewnie co do exekucyi przechodzi grupę P. Cortot; bo choć mu zbywa na śmiałości i wzniosłości, są w nim przynajmniéj niektóre części studiowane i oddane starannie.

Flora Pana Bosio, niższa jest daleko od *Sal-*

macis tegoż autora. W istocie, chociaż *Salmacis* nie zasługuje na pochwały któremi ją obsypano, odkrywa w Panu Bosio, żądzę walczenia z naturą o pierwszeństwo. Jest ono prawdziwe aż do pospolitości, charakteru słabego, drobne; ale aby je utworzyć trzeba jednak było jeśli nie wielkiego talentu, przynajmniéj rzadkiéj cierpliwości, uwagi nieustannéj: oczywiście tu P. Bosio pokakał już ile może. *Flora* modelowana jest okrągło, miękko, inaczéj wcale niż *Salmacis*. Nie mówię nic już o głowie, któréj nicości nic przewyższyć nie może; bo w najlepszych swych utworach P. Bosio nieprzywiązuje wielkiéj wagi do ludzkiéj twarzy; ale z żadnéj strony Flora nie ma linii szczęśliwych. Biodra zaledwie są znaczne i nie okazują młodości, szyja i ramiona składają się z pomieszanych planów i w żadnéj części nie przypominają natury. Co się tycze piersi, które widocznie miały ochotę być prawdziwe i naturalne, one przedstawiają tylko szczegóły nic nie znaczące, których zwykle rzeźba się wyrzeka. P. Bosio na piersiach Flory chciał oddać wszystkie marszczki drzącéj skóry, udało mu się tylko stworzyć massy niekształtne i chude. W pasie i nogach też same wady, ręce oczywiście za krótkie, draperya wygląda jak zmoczony gałgan. Stopa Flory w najwyższym stopniu niekształtna; nie wiem czy z natury modelowana czy nie, to pewna że

niepiękna i nienaturalna. Nie dziw że cała Flora nie ma wdzięku, bo nie ma przyrodzonych kształtów. Może być, że znajdą się chwalcy, którzy to dzieło wysoko wyniosą; ale prawdziwi znawcy, którzy się zastanawiali nad utworami starożytnéj sztuki i naturą, będą zmuszeni wyznać, że *Flora* nie jest wypadkiem, ani naśladowania dzieł greckiéj piękności, ani żywéj rzeczywistéj natury.

Urna pogrzebowa P. Pradier, zaleca się nadewszystko wyborną exekucyą. Rzeźby na niéj obfitują w szczegóły, traktowane najstaranniéj. Wóz cztérokonny przypomina bardzo szczęśliwie sławne konie Panathenéow; naśladowanie widoczne. Co się tycze dwóch figur klęczących, które formują uszy, niepodobna ich pochwalić, bo są całkiem w odmiennym od reszty stylu. Pomysł ich pełen wdzięku i prostòty, ale aby je zgodzić harmonijnie z naczynia rzeźbami, potrzeba było wyexekwować w stylu odrodzenia. tu zaś draperye aniołów są oczywiście gotyckie Styl więc płaskorzeźb różny jest i przeciwny uszom; jak można było popełnić błąd tak bijący w oczy? Jak było nie pojąć, że należało obrać styl najbliżéj złączony z sztuką starożytnych, wytwornością kształtów i miękkością draperyi? Cała urna jest wyborna, kształt jéj wytworny, figury pełne życia, ozdoby smakowne; ale każdy nawet najmniéj z historyą rzeź-

biarstwa oswojony, dostrzeże to pomieszanie stylów?

Model marmurowy pomnika Mikołaja Demidowa, wcale nie usprawiedliwia sławy, jaką pozyskał we Florencyi i całych Włoszech P. Bartolini. Tyle tylko powiemy o grobowcu, któren zdobi mnóstwo allegorycznych postaci. Pomysł ich i połączenie uległy surowéj krytyce.

Chrystus konający na Krzyżu P. Maindron jest naszém zdaniem nierównie wyższy od jego *Velledy*; poruszenie szczęśliwie pomyślane, piersi i ręce studiowane i wydane zręcznie. Sądzę jednak, że lepiejby było, gdyby palce rąk, jednostajniéj się składały. Zapewne P. Maindron chciał każdy palec zwracając inaczéj, wyrazić w tém cierpienia znaki; ale prawidła sztuki, zalecały więcéj prostoty. W głowie są wszystkie charaktery skonania; oczy, usta, policzki wyrażają doskonale, że ukrzyżowany umiera; nieszczęściem P. Maindron zajęty wyłącznie wyrazem boleści, zapomniał o charakterze bóstwa.

Wymodelował głowę konającego człowieka, zapomniał, że powinien był wydać głowę Boga w postaci ludzkiéj. Twarz Chrystusa, acz bardzo naturalna, nie zaspokaja, bo jéj brak wzniosłości. Włosy i korona cierniowa ułożone są w sposób, że się głowa wydaje za wielką. Szczegóły muskułów pod pachami narysowane śmia-

ło, okazują, że P. Maindron stara się naśladować naturę. Może też to staranie za daleko jest posunięte, może lepiéj było niektóre szczegóły ominąć, zyskałaby na tém twarz mianowicie, nabierając wspaniałości i wyrazu. Muskuły lewéj nogi natomiast miękko oznaczone, sama stopa złego kształtu. Szkoda że tę część autor zaniedbał. Wierzę iż P. Maindron wynaśladował dokładnie swój wzór, ale wzór był zły, należało go albo poprawić, albo odmienić. P. Maindron postępuje widocznie w swéj sztuce i doskonali się; jeśli nie w każdém dziele widać oczywisty postęp, jeśli jak w przeszłoroczn éj *Velledzie*, znajdują się uchybienia ważne, talent jego wszakże od pięciu lat wiele się ukształcił.

Orest P. Simart jest bezwątpienia najlepszym posągiem wystawy. Poruszenie całéj postaci pełne naturalności; muskuły piersi oddane wybornie. Plecy i inne członki, choć nie tyle wypracowane, dość są jednak delikatnie skończone. Wyraz głowy stosowny do przedmiotu, oczom tylko brak wdzięku, a policzki nie odpowiadają piękności czoła. Długo wpatrując się w głowę Oresta, badałem czemu włosy tak się wydają cięzkie; myślę że dla tego, iż zakrywają uszy. Pewien jestem, że lżejszeby się wydały, gdyby uszy w pół tylko odkryć, głowa sama lepszyby kształt miała. U-

czeń PP. Ingres i Pradier, P. Simart, korzystał z ich lekcyi; Orest bezwątpienia jest jednèm z najlepszych dzieł wyszłych z szkoły Rzymskiéj.

W ogólności (kończy P. Gustaw Planche) czego najbardziéj brak dziełom rzeźby i malarstwa tegoroczněj wystawy, często nawet zalecającym się ważnemi przymioty, to wzniosłości, harmonii których próżno szukaliby artyści w prostém naśladowaniu natury; bo one wypływają z duszy twórcy. Rzeźbiarze i malarze tegocześni, chcący pozyskać trwałą sławę, powinni się przejąć tą prawdą, dziś zdaje się zapomnianą, że najpiękniejszy wzór żywy posągu, najcudniejszy pejzaż, nie będą piękne w naśladowaniu, jeśli artysta swobodnie ich nie odtworzy, duszą bardziéj niż ręką pracując. Naśladowanie literalne, niewolnicze rzeczywistości, rodzi tylko dzieła niekompletne.

(Gustaw Planche. Revue des Deux Mondes 1840.*)*

II.

BIOGRAFIE ARTYSTÓW.

I.

Gajwazowski.

Niedawno powrócił do Petersburga ruski utalentowany malarz widoków morskich Gajwazowski; wrócił tylko aby tu zostawić płody swojéj podróży w południowéj Rossyi, jako dowody pomyślnie dokonanego przedsięwzięcia, i znowu ruszył w dalszą drogę — do Włoch. Pobyt jego w Petersburgu był bardzo krótki, lecz godzien uwagi, już to dla ukończonych tu przez niego obrazów: już to że oddzielił dwa peryody jego życia, bardzo ważne z powodu wpływów na talent artysty. Nie było sposobniejszéj chwili do rozważenia rozwinienia się i postępów doskonalącego talentu; linia oddzielająca podróż Gajwazowskiego po Rossyi, od

podróży jego do Włoch, powinna być dobitnie oznaczoną w życiu artysty.

Po obrazach przysłanych przez niego na wystawę, wymalował on jeszcze kilka, w czasie pobytu swego w Krymie. Dwa z nich najgodniejsze uwagi, zrobione dla NAJJAŚNIEJSZEGO PANA, ostatecznie ukończone zostały w Petersburgu, wyobrażają:

1. Wylądowanie oddziału wojsk Rossyjskich na wschodnim brzegu morza Czarnego, pod dowództwem Generała Rajewskiego i zajęcie doliny *Subaszy* (teraz *Fort-Łazarew*) z widokiem na morze Czarne. Na pierwszym planie: potyczka między góralami rozsypanymi w krzakach a Rossyanami, wysiadającymi na brzeg. W liczbie osób składających oddział, wyobrażony jest sam Dowódźca Czarnomorskiéj brzegowéj linii Generał Rajewski, Generał Olszewski i kilku oficerów, którzy mieli udział w potyczce. Na drugim planie, okręt *Sylistrya* i inne statki na Czarném morzu, które zamyka obraz. Postawy i fizyonomie Czerkiesów oddane są bardzo żywo i wyraziście; z żalem powiedzieć tego nie można o postawach Ruskich żołnierzy; tuśmy nie postrzegli, ani właściwéj im regularnośsi ruchów, ani naturalności w nich i zapału, jakiemi się wojsko to odznacza. Dymy od wystrzałów z ręcznéj broni, wybornie się łączą i zlewają z massami obłoków, nada-

jąc z niemi razem jeden ton całemu obrazowi, siwawy.

2. Widok Sewastopolskiego portu od strony północnéj. Na pierwszym planie, na lewo od patrzącego, rozlew wody i występ ziemi, na nim kilku majtków i ludzi z gminu, obróconych ku ukazującemu się na prawo, a stojącemu dla patrzących *en trois quarts*, studziałowemu liniowemu okrętowi — *Trech-Swiatitielej*. Cała prawa strona pierwszego planu zajęta morzem, lekko zamglonėm, ton widoku całėgo sinawy. W tyle za okrętem wymienionym, ukazuje się drugi — *Trech-Jerarchów*, na prawo parochód *Kolchida*. Między niemi malowniczo rozsiane szalupy i pomniejsze łodzie; jednomasztowa ambarkacya, odmalowana w skróceniu, ukazuje się bardzo wdzięcznie, rzucona w pośrodku przed okrętem *Trech-Swiatitielej*, i służy oczom patrzącego za przewodnika, zwracając całą uwagę na główny przedmiot obrazu. Daléj, na następnym planie ciągnie się brzeg Czarnego morza, z widokiem miasta Sewastopola, Nikołajewskiéj fortecy i kilku budowli. W części wyjaśnione, w części chmurne niebo, wybornie harmonizuje z tonem wód i dopełnia efektu obrazu.

W ogólności cała jego część górna, atmosfera, obłoki oświecone wieczorném słońcem, prześliczne; z niemniejszą sztuką w obu obrazach

odmalowane okręty i ambarkacye z całém ich uzbrojeniem. W tym względzie oba Gajwazowskiego obrazy szczególnie się odznaczają; większa część malarzy, którzy probowali widoków morskich, nie wyłączając nawet największych mistrzów, popełniali omyłki dla wprawnego oka bardzo uderzające; tu zaś nie ma ich zupełnie.

Nie jest to nasze zdanie tylko; tak utrzymują oświeceni morscy oficerowie, znający sztukę; zachwyceni obrazami Gajwazowskiego, powiadają, że w jego okrętach, nie tylko zachowane ściśle prawidła ich budowy; lecz taka jest harmonia proporcyi wszystkich części, iż oprócz naturalności, mają wdzięk szczególny.

Nie ze wszystkiém zaspokoiły nas wody w *Widoku Sewastopola*, chociaż one są bardzo naturalne i z wielką sztuką oddane. Lecz tu wada nie w exekucyi, a raczéj w wyborze chwili wziętéj za przedmiot.

Życzyćby należało, aby artysta unikał zbytnéj regularności linii, któremi oznaczona jest powierzchnia morza; ażeby starał się w rozrzuceniu cieniów i świateł mniéj mieć pstrokacizny. Uniknąć tego potrzeba było wyborem innéj chwili, innego stanu morza. Gdyby malarz przedstawił je w zwykłym, spokojnym stanie, oko spoczywałoby na niém; lepiéjby także uczynił, gdyby je poruszył wreście silniejszym daleko wiatrem. Ta wada sowicie jest

wynagrodzona wybornym charakterystycznym rysunkiem majtków i ludzi z gminu po lewéj stronie obrazu rozrzuconych.

Cóż jeszcze powiemy o obrazach Gajwazowskiego? Oto to jeszcze, że oba, co do exekucyi, co do mechanizmu, przeszły daleko dawniejsze jego roboty; zdaje się że w nich artysta usiłował zwyciężyć i zwyciężył trudności wielkie, z któremi wprzód mierzyć się nie śmiał; perspektywa powietrza i inne szczegóły dokonane szczęśliwie pełną zapału ręką.— Zkąd inąd, niepodobna tu nie wspomnieć dla porównania o obrazie jego, z ostatniéj wystawy— *Noc w Krymie*, któremu effektu nie można odmówić — effektu może od pomienionych nowych dzieł większego. Lecz nie wina to autora; każdy łatwo pojmuje, że obraz wystawujący szczególny wypadek, zaspokajając pod względem historycznym, bardzo ważnym, nie może razem, w tymże stopniu, dogodzić uczuciu estetycznemu. Piękności takiego obrazu, będąc niejako konwencyonalne, nie mogą czynić tyle effektu, ani miłego lirycznego wrażenia, jakie wzbudzają utwory, dokonane przez artystę z namiętnością, z zapałem, w chwili poetycznego natchnienia.

Słyszeliśmy, że P. Gajwazowski zaczął jeszcze przed odjazdem swym do Włoch kilka naszkicowanych w Krymie widoków. Z niecier-

pliwością oczekiwać będziemy wypadku, dowodów postępu w sztuce, jaki malarz uczynił w czasie swéj podróży. Wieleż to rozwiązać musiał wątpliwości, wiele nabrać kolorytu, siły z napatrzenia się na widoki Krymu, na cudne ogrody Ałupki, morze Czarne, jego malownicze brzegi i niebo podobne włoskiemu.

Otoż i Włochy przed nim. Czarujące ich widoki jeszcze dopiéro w oddaleniu migają przed wyobraźnią artysty i uśmiechają się jego nadziejom. Ciekawy wpływ tych czarodziejskich Włoch na rozwijające się talenta, pełne nadziei, które częstokroc zawodzą. Włochy! W tym wyrazie objawia się dla artysty, druga prawie natura; on obiecuje rozwinienie talentów, utajonych jeszcze w głębi jego duszy; Włochy dopiéro mają je wyprowadzić na jaw. Lecz nie każdy umie korzystać z roskosznego Włoch nieba.

Gajwazowski wielkie o sobie czyni nadzieje; chcielibyśmy widzieć go nie tylko współzawodnikiem P. Gudin, lecz pierwszym malarzem morskich widoków. Ponieważ obrał sobie morze za przedmiot swoich utworów, niech je sobie podbije i zbada wszystkie jego tajemnice. Czy mu się uda widzieć obrazy Schotel'a? Zagraniczne pisma mówią o nich z wielkiemi pochwałami; powiadają że pod względem prostoty i prawdy, P. Gudin nawet mierzyć się z nim

nie może; a na przeszłoroczněj wystawie, Akademia Paryzka, miała mu przyznać pierwszeństwo.

Co będzie — Bogu tylko wiadomo; lecz mamy nadzieję, że Gajwazowski może kiedyś stanowić epokę w historyi malarstwa narodowego.

(*Художественная Газета N.* 15, 1840.)

II.

O. A. Kipreński.

Orest Adamowicz Kipreński urodził się w r. 1783 dnia 13 Marca, ochrzczony w powiecie Oranienbaumskim, w Koporskiéj Sobornéj cerkwi Przemienienia Pańskiego, przez xiędza Piotra Wasiljewa, który był razem jego chrzestnym ojcem. Ojciec Kipreńskiego, Adam syn Karola Schwalbe, był poddanym, dworskim Brygadiera Alexego Stefanowicza Diakonowa. Ten ostatni, piętnastoletniego Oresta, oddał na ucznia do Akademii Sztuk Pięknych, w r. 1788, obdarzywszy go wprzód wolnością.

Utrzymują, że od nazwania Koporski, które dano ojcu Oresta, od miejca jego urodzenia, poszło potém nazwisko Kipreński, które nasz malarz siłą talentu swojego wsławił.

Pierwsze utwory malarskie Kipreńskiego pokazały się około r. 1802. Na cztéromiesięcznych examinach otrzymał on za rysunki z natury, pierwszy i drugi srébrny medal, a na zgromadzeniu akademii 11 grudnia, nagrodzony medalem złotym, za naznaczony do konkursu rysunek *Filemona* i *Baucys*. Z powodu szczególnego ku niemu przywiązania ówczesnego Prezydenta Akademii, Hrabiego A. S. Stroganowa,

wprzód jeszcze, jako osobistą od niego nagrodę, otrzymał drugi medal złoty, za szkic pamiętnika zeszłego professora Rzeźbiarstwa Kozłowskiego.

Pierwszego Września 1803 r. Kipreński skończył kurs akademicki, i wydano mu świadectwo jako artyście z rangą czternastéj klassy; lecz pozostawszy dobrowolnie przy Akademii dla doskonalenia się, na nadzwyczajném zgromadzeniu 1805 roku, otrzymał znowu pierwszy medal złoty, za przedmiot konkursowy — *Dymitr Doński ranny na pobojowisku Mamaja* (Obraz ten znajduje się dotąd w Akademii.)

Wkrótce usprawiedliwił on okazanemu pierwszeństwo, dokonaniem kopii z obrazu Van Dyck'a, odznaczającéj się szczególnie wybornym kolorytem. Za tę pracę Rada Akademii, postanowiła zapłacić Kipreńskiemu 350 rubli. Wkrótce potém, za przedstawieniem Prezydenta, postanowiono w r. 1806, wysłać Kipreńskiego na koszcie Akademii za granicę, dla doskonalenia się w sztuce; jednakże, niewiadomo z jakiéj przyczyny, pozostał w Rossyi do roku 1816 i w przeciągu tych dziesięciu lat, był w Moskwie i Twerze, gdzie jakiś czas towarzyszył Jéj Cesarskiéj Wysokości Wielkiéj Xiężnie Katarzynie Pawłównie; wróciwszy nazad, przedstawił Radzie Uniwersytetu natenczas już wyborne obrazy, a mianowicie portrety Xięcia

Holstein-Oldenburskiego, Xięcia Gagarina, Półkownika Huzarów Dawidowa i Radźcy Kusowa. Za te i inne dokonane prace obrany w r. 1813 Akademikiem, a we dwa lata potém mianowany Radźcą.

Kipreński pierwszy raz wyjechał za granicę kosztem Cesarzowéj Elżbiety Alexiejewnéj w r. 1816. We Włoszech czekała go sława, którą już potrafił pozyskać w Petersburgu, kilką wybornemi utworami. Z tych najznakomitsze: portret jego ojca (kupiony przez Najjaśniejszego Pana do Ermitażu w r. 1835), portrety WW. Xiążąt Mikołaja i Michała Pawłowiczów, Xięcia Wiaziemskiego, S. S. Uwarowa, B. A. Żukowskiego i innych. Wszystkie odmalowane przed jego wyjazdem za granicę i odznaczają się nie tylko podobieństwem, lecz przyjemnym a naturalnym kolorytem, stanowiącym jedną z najważniejszych zalet talentu Kipreńskiego. Starając się naśladować Rubensa i Rembrandta, on mimowolnie malował po swojemu, i zaraz w pierwszych latach nauki, zrobił sobie własną manierę, późniéj tylko wydoskonaloną.

Doskonałe wzory malarstwa, nie miały na niego wielkiego i stanowczego wpływu. Zachwycając się wykończeniem niektórych mistrzów, w tém najwięcéj starał się ich naśladować: w pewnym stopniu nie było to bezkorzystném, i ukończony przez niego naówczas

portret Pani Awdulin, można uważać jako próbę wziętego przezeń kierunku. Lecz wykończenie (fini) doprowadzał on niekiedy, aż do zbytku; jedno z najważniejszych dzieł jego *Grób Anakreona* (znajduje się teraz u A. P. Briułowa), dzieło, którego kosztowało wiele pracy i wiele czasu, wiele traci na zbytecznėm aż do suchości doprowadzonėm wylizaniu. Jednakże, następnie, poznawszy swój błąd, umiał go zwyciężyć. *Sibilla Tyburtyńska* portret Tordwalsena i inne jego poźniejsze obrazy, tego dowodzą.

Najznakomitsze prace Kipreńskiego, dokonane w czasie téj pierwszéj podróży jego za granicę, o ile wiadomo, były następujące: *Odpoczywający ogrodnik*, *Dziewczyna w makowym wianku* i *Cyganka z mirtową gałązką*; portrety, jego własny (znajduje się w Galleryi Florenckiéj) PP. Berlińskiego, La Harp'a i innych. Tu także należy wyżéj wspomniany obraz *Grób Anakreona*.

Włosi zachwycali się obrazami Kipreńskiego, niektórzy wynosili go bardzo wysoko i nazywali nawet Ruskim Van Dyckiem. Tym sposobem wprzód znany stał się sławnym, a sława jego doszła i do Petersburga. Lecz byłże z tego szczęśliwszy? Podniosłoż to jego talent? Zdaje się, że nie. Raczéj, było to może przyczyną poźniejszych jego cierpień. Mówią że zmienna bogini, rozdzielająca wybranym swo-

im, upajający napój, ma zwyczaj mieszać do niego kilka kropel, od których długo i ciężko boli głowa, uszczęśliwionych przez nią śmiertelnych. Cóś podobnego zaszło z Orestem Adamowiczem; lecz o tém, potém.

W roku 1823 powrócił do Petersburga i tu utworzył znowu wiele godnych uwagi dzieł, między innémi kolossalną figurę, wyobrażającą Rossyą, portrety Admirała Szyszkowa (dla Akademii), Hrabiego Szeremetjewa z widokiem w perspektywie pokojów, Puszkina, Łobanowa, Generała Albrechta i innych. Wiele z nich tak są doskonałe, że stawią Kipreńskiego w rzędzie, jeśli nie najpierwszycb portrecistów, to przynajmniéj między najznakomitszymi. Podobieństwo, czystość rysunku, siła i przyjemność kolorytu, są cechami jego talentu.

W r. 1828, powtórnie wyjechał za granicę i już więcéj nie powrócił. Ostatnie chwile pobytu jego we Włoszech zatruł nieprzyjemny jeden wypadek, który i na życie jego i na talent miał wpływ wielki. Zamilczym o nim, aby nie plamić pamięci człowieka, który tyle się przyłożył do wsławienia ruskich artystów. Dla poznania jego charakteru, nie zaszkodzi wszakże, opowiedzieć wypadek, świadczący o dobroci jego serca, lecz wprzód musiemy, wymienić ostatnie jego prace.

W początkach 1833 roku, Kipreński znajdu-

jąc się w Rzymie, odmalował portret Tordwalsena, i portrety dwóch braci Galicyn. Do tegoż periodu należy jego *Sybilla Tyburtyńska* i jeden z jego najlepszych obrazów, *Pazia*, w hiszpańskim stroju, z maską czarną w ręku. Wzorem do niego był mu młody człowiek Florentczyk, którego niespodzianie spotkawszy, artysta zaproponował odmalować, a on się na to zgodził. W tymże czasie odmalował Kipreński, *Młodego Lazarona*, *dziewczynkę z owocami*, *młodych Rossyan czytających Gazetę*. Probował także Pejzażu. Jedyna jego tego rodzaju praca, *widok z okna mieszkania*, znajduje się u Najjaśniejszego Pana. Tu także należą portrety; Pani Żadimirowskiéj z córką, Pani Pucci i Hrabinéj M. A. Potockiéj naturalnéj wielkości, z siostrą i murzynką. Nad to ostatnie dzieło, powiadają, że Kipreński nic lepszego nie zrobił. Wszystko to cośmy wymienili, dokonał w ciągu 1833 i 1834 roku w Rzymie, Neapolu, Florencyi, Bolonii i innych włoskich miastach, gdzie na przemian przebywał.

Mówiąc o artystycznych pracach jego niepodobna ominąć, że litografował także. W tym rodzaju wydał także dzieł kilka, z których szczególnie portret Cesarza Alexandra i głowa Chrystusa z Caraccia, zasługują na uwagę.

O charakterze i osobistych przymiotach Kipreńskiego, wiele powiadają: tak naprzykład,

nigdy nie miał stałego mieszkania, materyały malarskie i obrazy jego rozrzucone były wszędzie; lecz to zaniedbanie nagradzał największém około siebie staraniem, stroił się aż do zbytku i lubił wytworność, jak widać z jego listów i innych pism.

Wszystko cośmy tu powiedzieli o Kipreńskim, oparte jest na najdokładniejszych źródłach; ustne opowiadania, może się kiedyś zbiorą osobno.

Na zakończenie dodamy wiadomość o niektórych ciekawszych wypadkach życia Kipreńskiego, napisaną przez S. J. Halberga.

„Orest Adamowicz Kipreński był wzrostu średniego, dość zręczny i przystojny, a jeszcze bardziéj starający się *far si bello*: stroił się, fryzował, różował nawet, uczył śpiewać i grać na gitarze, a śpiewał szkaradnie! Wszystko to, jak łatwo się domyślić, dla przypodobania kobiétom. Nie wiem ile szczęśliwy, ale rad był z siebie, to pewna. Raz wyrzucał mi moją dzikość, unikanie od ludzi, a gdym na uniewinnienie moje dowodził mu, że się nie mogę przełamać, że się lękam kobiét, odpowiedział mi: O! prawda, biada kto je zaczepi, jeśli nie jest Kipreńskim! I na tém skończył. O ile wiem, do śmierci namiętnie lubił kobiéty, między poufałemi przyjaciółmi możnaby o tém wiele powiedzieć; lecz pisać....? Naprzykład, dla czego młody je-

szcze chciał iść do wojska? Z miłości; wyobraził sobie że się kochał w jednéj kobiécie. Powiadano że lubiła ubior wojskowy, i natychmiast Orest zażądał wejść do rycerskiego stanu i t. d.

Ożenił się nakoniec; żona Kipreńskiego, powinnaby interessować tych, którzy go znali. Jeśli to ta sama Mariuccia, z którą żył wprzódy, a o któréj w swoim czasie chodziły tak różne wieści, to ją znałem. Oto jéj historya, a razem usprawiedliwienie postępowania artysty. Gdy się zabierał malować swój obraz *Grobu Anakreona*, na wzór Faunessy czyli Bachantki, wziął młodą Mariuccię. Wkrótce, postrzegłszy, że matka jéj była bardzo podejrzanych obyczajów kobiétą; użalił się nad losem biednéj dziewczyny, a chroniąc ją od nędzy i złego przykładu, wziął zupełnie do siebie. Matka naturalnie, była z tego bardzo kontenta, bo Kipreński obowiązał się co miesiąc płacić jéj pewną umówioną summę, i dotrzymywał regularnie. Czegoż więcéj żądać mogła matka? rozwiązane ręce, swobodna, uwolniona od kłopotów, od wydatków, i dochodzik jeszcze pewny. Lecz artystom prawie zawsze brak pieniędzy; po niejakim czasie (po roku?) matka z krewnemi przyszła po swoje dziecko. Ale malarzowi pozbawić się wzoru, było to wyrzec się obrazu; obraz był na dokończeniu; w targ tedy, za-

płacił okup i powiększyć musiał miesięczną opłatę. Matce podobała się ta operacya i zaczęła ją coraz częściéj powtarzać; tymczasem Kipreński coraz bardziéj przywykał do Mariucci, do czego się przyczyniało samotne jego życie. Mało kto bywał u niego, on sam rzadko bardzo wychodził; rano, jak tylko wstał, siadał do roboty i pracował do zmierzchu; nikogo niewidząc, niesłysząc prócz małéj dziewczynki, musiał się naturalnie do niéj przywiązać. W istocie, Kipreński całą duszą ją pokochał, często z uczuciem mawiał, o jéj wdzięczności ku sobie, o jéj przymiotach, o miłości, o wierności nawet; zachwycał się nad jéj wrodzonemi przymiotami, nad taktem w postępowaniu i projektował dać jéj jak mógł najstaranniejsze wychowanie. Stary jakiś Abbatuccio, przychodził dawać jéj lekcie. Jednakże Orestowi uprzykrzyło się coraz częstszym i bardziéj wymagającym żądaniom matki dogadzać; zarzekł się że grosza więcéj nie da nad umówioną miesięczną płatę, i znów matka zebrawszy kupę lazaronów, przybrawszy sobie jakiegoś żołnierza w roli męża, gwałtem odebrała córkę. Obraz Kipreńskiego jeszcze nie był skończony (nieskończenie go też kończył) we dwa dni potém poszedł odwiedzić Mariuccię, znalazł ją w koszarach wśród pjanych żołnierzy; ujrzawszy swego dobroczyńcę zapłakała, rzuciła się

całując jego ręce i zaklinając aby ją z sobą zabrał. On sam się rozpłakał, uspokoił ją jak mógł i wyszedł z mocném postanowieniem wybawienia nieszczęśliwéj. Oprócz litości nad biedną, czuł też tęsknotę za nią, chciał dokończyć obrazu. Z matką zawarto nową umowę, już nie słówną, lecz na piśmie, formalnie przy adwokacie, podpisaną przez świadków (ja sam pisałem się za świadka i poręczyciela).

Tym aktem matka i krewni zrzekali się wszelkich praw swoich do Mariucci i przelewali je na Kipreńskiego, a on ze swojéj strony obowiązał się dać jéj wychowanie, jakie mógł najlepsze. Nakoniec i obraz został skończony, czas było opuścić Włochy, ale romansowi nie koniec. Dla przerwania wszelkich szkodliwych związków, wszelkiego wpływu matki, trzeba było córkę wywieźć z Rzymu. Zabierając się do wyjazdu, zamówił miejsce dla niéj w jednym instytucie Toskańskim, gdzie miano przyjąć Mariuccię i utrzymywać do powrótu Kipreńskiego. Pasport jéj był gotowy, wyprawiono ją naprzód z veturinem; malarz miał się z nią zjechać w Perugio, a umieścić ją w Arezzo. On także gotów już był do drogi. Nagle, krewni Mariucci dowiedziawszy się że ją uwieziono, zburzyli się; podano prośbę do policyi o porwanie gwałtowne, posłano za nią pogoń, veturina dognano, i zwrócono do

Rzymu. Wszystko to była tylko operacya finansowa; sami krewni oznajmili Kipreńskiemu, że zgodzą się na wszystko, byle im tyle a tyle zapłacił, on zaś opierając się na zawartym akcie, podał od siebie prośbę do Kardynała Sekretarza Stanu, Gonzalvi, którego wyrokiém, Mariuccia przyjęta do jednego z instytutów rządowych na koszt skarbu, a Kipreńskiemu, dozwolono, po powrócie jego, ożenić się z nią jeśliby chciał; matce i krewnym zabroniono z nią wszelkich stosunków, a dla przerwania ich, umieszczono dziewczynkę tak, że o niéj nikt, gdzie się podziała, nie wiedział. Orest odjechał; pisywał potém do niéj, zaręczając że o niéj zawsze myśli, nigdy jéj nie porzuci i t. p.

Gdy tu przybył poseł papiezki, Monsignor N.N. Orest podał mu notę, a ja trzy razy w tymże interessie byłem u niego. Choć wiele bardzo obiecywał kardynał, nic dla nas nie uczynił; nie tylko nie dozwolił jéj widzieć, lecz nawet nie powiedział gdzie się znajdowała. Ledwie przy największém staraniu, po długim przeciągu czasu, znalazłem ją, lecz srogi nadzór, nie dozwolił mi do niéj przemówić nawet.

Gdzieindziéj powiedziałem jak Orest lubił wystawę i strojność. Za pierwszego jego pobytu w Rzymie, będąc w stosunkach z podróżującemi naówczas bogatemi Rossyanami, był wstanie wystarczyć na przepych. Do tego kil-

ka odmalowanych portretów tak zachwyciły w początkach włochów, że go ogłosili Van Dyckiem i Ticianem; Camuccini i inni traktowali go po bratersku. Nieszczęśliwy wypadek wszystkich od niego odstręczył, nie porywam się uniewinniać go, choćby to można. Tak dalece znienawidziano go, że sam jeden nie śmiał się na ulicę pokazać. Bezwątpienia musiało to wpływać na następne jego dzieła, którym już nie dziwili się Włosi. Sam to widząc, starał się zachwycić ich jeszcze nadzwyczaj silnym kolorytem i najstaranniejszém wykończeniem.

Jeden z naszych przyjaciół, powiedział mu w Rzymie:— A cóż Oreście, zdaje mi się, żeś ty nad portret swojego ojca nic lepszego nie zrobił? On pomyślał i mezzovoce odpowiedział— I ja tak myślę! Wiadomo, że gdy drugi raz pojechał do Włoch i zawiózł z sobą ten portret, zaszła z nim ciekawa historya.

Orest Adamowicz Kipreński umarł w Rzymie $^{5}/_{17}$ Października 1836 roku, we trzy miesiące po ożenieniu jego z tą, któréj był dobroczyńcą od dzieciństwa.

(*Художественная Газета* 1840, *N.* 13.)

IV.

ROZMAITOŚCI.

IV.

ROZMAITOŚCI.

Noworoczniki, Almanaki angielskie — Dzieła najmniéj ważne pod względem artystycznym i literackim, mają jeszcze swoję ważność handlową. *Keepsakes* angielskie zaczynają jednak, coraz mniéj starając się o doskonałość sztychów, tracić na odbycie. Ostatnich lat *Annuals* angielskie kosztowały wydawcom więcéj 100,000 funtów szterlingów, sprzedawano ich 150,000 tomów. Wchodziło za nie około 900,000 funtów; a summa ta tak się dzieliła.

Autorom i redaktorom . . .	funtów	6,000.
Malarzom i rysownikom		3,000
Stycharzom		12,000
Sztycharzom *en taille douce*		4,000.
Drukarzom		3,500
Na papier		5,500
Introligatorom		9,000.
Na materye i skóry do oprawy . . .		4,000.
Na ogłoszenia		2,000.
Inne koszta		1,000.
Wszystkiego .		50,000.

Zostawało więc dla przedsiębierców czystego zysku 850,000 funtów.

W przeszłym jednak roku, z 34 *Keepsakes* wydanych w Londynie, 19 się już nierozprzedało i przedsiębiercy utracili. Rachunek wyżéj przywiedziony wzięliśmy z *Revue Britannique* tegoroczném, czyniony był przed kilką laty.

We Francyi zjawiła się nowa Poetessa, panna Antonina Quarré, żyjąca z pracy rąk w Dijon i pomimo pozyskanéj sławy, nierzucająca swoich zatrudnień. W ostatnich poezyach Lamartina *Recueillemens poëtiques*, jest jedna jéj przypisana. Poezye Panny Quarré wyszły litografowane w Dijon, zawierają między innemi odpowiedź do P. Lamartine.

W Théatre-Français w Paryżu, przedstawiono w Maju, pierwszy dramat Pani (czy Pana) Sand, pod tytułem *Cosima*. Tłum był wielki, oczekiwano czegoś nadzwyczajnego, sztuka jednak, jak powiadają dla gry aktorów, zimno przyjęta została. Nie wiemy nic jeszcze o dalszych jéj przedstawieniach. Główną myślą *Cosimy* jest walka namiętności z uczuciem obowiązków, które (jak łatwo się domyśleć), przed gwałtownością namiętności, zwyciężone upada. Charakter męża *Cosimy* jest dobrze pomyślany; dość naturalny *Veri* zapomniane-

go, milczącego, prawdziwie przywiązanego kochanka, *Ordonio* ze wszystkich najszczęśliwszy a najmniéj wart szczęścia nie jest także bez przykładnym typem.

Nieprzyjaciele Sand'a kilkakroć w czasie przedstawienia sztuki, odzywali się szemraniem; zagłuszono ich, lecz zdaje się że i oklasków brakło, które dopiéro ozwały się, gdy imie autora ogłoszono w końcu. *Cosima* już została wydrukowaną, z przedmową autora, która ma być ciekawą. Jeszcze do nas nie doszła.

Gallerya Kardynała Fesch, któréj znaczna część wedle ostatniéj jego woli ma być sprzedaną, składa się z 2,000 sztuk, nie licząc innych 3,000 przeznaczonych przez niego dla szkoły w Ajaccio. Powiadają że zbiór cały kardynała, ma być zakupiony dla rezydencyi głównéj stanów zjednoczonych.

Sławny malarz Rossyjski K. P. Briułów, zaczął wielki obraz *Założenie Pskowa.*

Wynaleziono nowy sposób malowania, (całe nawet nowemi farbami), na marmurze, zasadzony na wsiąkaniu ich w kamień do tego przygotowany.

Farby wszystkie prawie są metalliczne; sollucya saletranu srébra przenikająca marmur

dość głęboko, nadaje mu kolor ciemno czerwony, solucya saletrosolanu złota (nitromuriate d'or) kolor fioletowo purpurowy, solucya gryszpanu przenikająca marmur na liniję głębokości, daje mu barwę jasno zieloną.

Używają się także koszenilla, gumiguta, auripigment sztuczny; a jako działacz pomocnit czy, *wosk biały*. Niektóre farby kładną się gorące, inne zimne, i inne z przymieszaniem terpentyny lub spirytusu. (*Revue Britannique* 1840 *Mars.*)

Opium w Anglii. Użycie tak szkodliwe opium rozpościera się w Anglii zastraszającym sposobem, mianowicie w prowincyach, gdzie jest najwięcéj rzemieślników. Obwiniają nawet niektóre *Towarzystwa Wstrzemięźliwości*, że opium zastępują wódkę.

W r. 1839 wwieziono do Anglii opium 95,835 funtów, spotrzebowano 31,204 funtów; w roku 1840 wwieziono 196,246, a spotrzebowano 41,671 kto wie czy i Anglia nie będzie zmuszoną jak Chiny zabronić wkrótce zupełnie wprowadzania go do kraju.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

SPIS

RZECZY ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM.

I. Historja.

II. Literatura.

III. Sztuki.

IV. Rozmaitości.

(*W przysztym zeszycie spodziewamy się oprócz innych zajmujących artykułów umieścić kilka ciekawych dawnych dokumentów niewydanych, które nam nadestać obiecano.*)